



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(72) 2025

Rok XIX

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fot. Wiesław Krajewski



Zachwycający Wielki Kanion Kolorado.



Zjawiskowy park Bryce Canyon.



Majestatyczne skały w Dolinie Monumentów.



Tam nakręcono wiele filmów kowbojskich.



Las Vegas by night.



Kasyna w Las Vegas są na każdym kroku.



Słynny tramwaj linowy w San Francisco.



Jeszcze bardziej słynny most Golden Gate.

USA – Zachodnie Wybrzeże

Stany Zjednoczone Ameryki to jedno z największych państw świata (na 4. miejscu po Rosji, Kanadzie i Chinach) i najludniejszych (zaraz po Indiach i Chinach). No i oczywiście jedno z najbogatszych. Co to znaczy dla przeciętnego turysty? Przede wszystkim różnorodność – geograficzna, kulturowa, klimatyczna, przyrodnicza, etniczna. Jest tam wszystko i to w skali niespotykanej gdzie indziej. Jeśli interesuje nas gorący klimat – wybieramy Florydę, trochę chłodu i śniegu – mamy Alaskę, ekstremalnie wysokie, wręcz zabójcze temperatury – jedziemy do Doliny Śmierci, chcemy skosztować trochę raju na ziemi – lecimy na Hawaje. Z jednej strony ogromne, wielomilionowe miasta, z drugiej niezwykła, dziewicza przyroda. Bezkrzesne preerie, pustynie, kaniony, gejzery, wulkany – trudno, żeby zaskoczyło nas coś, czego tam nie ma. A wszystko w rozmiarze XXL. Przepraszam, trochę się zagalopowałem – nie ma tam słoni, żyraf, hipopotamów i lwów.

Jadąc na Zachodnie Wybrzeże, mamy wszystko po trochu. Ogromne miasta, wymienię tylko Los Angeles (Hollywood, Dolby Theatre i coroczna ceremonia wręczania Oscarów, za 3 lata będzie gospodarzem igrzysk olimpijskich), San Francisco (z licznymi stromymi wzgórzami i ulicami, mostem Golden Gate, więzieniem na wyspie Alcatraz i zabytkowymi tramwajami z unikalnym „napędem” linowym) oraz Las Vegas, zwane „miastem grzechu”, które nigdy nie zasypia, zbudowane na pustyni Mojave, słynące z luksusowych hoteli, różnorodnej rozrywki, w tym nocnych klubów dla pełnoletnich, kasyn i hazardu, łatwości zawierania małżeństw i uzyskiwania rozwodów. Tam dopiero widać, co znaczy zarabianie pieniędzy. Nawet do recepcji hotelu, trzeba przejść przez kasyno.

To można zobaczyć, poprobować, ale prawdziwie zachwycająca jest przyroda. Tam jeden park narodowy jest obok drugiego. I każdy z nich inny, każdy oferuje fantastyczne widoki. Oślawiony Wielki Kanion Kolorado, znana z licznych westernów Dolina Monumentów, Zion Park z wyjątkowymi górami i malowniczymi przełęczami, park Bryce z oszalałymi wapiennymi formacjami skalnymi, nawet surowa i ascetyczna, zdawałoby się niegościnna Dolina Śmierci potrafi zrobić wrażenie. A do tego ogromne, majestatyczne sekwoje sięgające ponad 80 metrów wysokości, czy wielkie, nawet kilkunastometrowe kaktusy saguaro. To istne cuda natury.

Ale to tylko fragmenty Stanów Zjednoczonych. Takie atrakcje są tam na każdym kroku. Styl życia Amerykanów, tamtejsze miasta mogą przytłaczać turystę, ale przyroda na pewno zrobi kolosalne wrażenie na każdym

Słowo redaktora



Wszystko ma swój początek i koniec. Wiele okoliczności zaczyna uświadamiać, że możemy czytać ostatnie numery „Nestora”. Między innymi nieustanny wzrost kosztów wydawniczych i relatywnie topniejące wsparcie miasta i powiatu nie napawają nadzieją na przetrwanie obecnego roku. Zachowała się wprawdzie garstka indywidualnych darczyńców oraz niesłabnąca gotowość społecznej pracy zespołu redakcyjnego, ale bez dofinansowania lokalnych instytucji nie mamy szansy na dalszą obecność na rynku darmowych czasopism. Jako redaktor naczelny wierzę w sens i potrzebę wydawania „Nestora”, ale jestem też realistą.

Niniejszy numer jest nieco „odchudzony”, z wiadomych powodów, ale mimo wszystko obfituje w wartościowy materiał dotyczący lokalnej kultury. Na naszych łamach debiutuje wieloletni dziennikarz Juliusz Stachira przedstawiający dzieje powojennego teatru amatorskiego w Krasnymstawie. Poznamy kolejnego debiutanta, jakim jest Jerzy Jacek Bojarski, rodem z Krakowskiego Przedmieścia. Prezentuje portret muzyka Alfreda Schreyera – ostatniego ucznia Brunona Schulza, a na dalszych stronach własne wspomnienia. Miło nam gościć nową autorkę Danutę Żukowską, która podjęła się przywołać i przedstawić dawnych mieszkańców ulicy Kilińskiego w Krasnymstawie. Wydawałoby się, że zgłębianie interesującej przeszłości gminy Izbica nie przyniesie nieznanych tematów, ale nic bardziej mylnego, ponieważ Elżbieta Kmieć i Waldemar Seroka ciągle dostarczają nam nowych opowieści. Nie stygnie pióro Andrzeja Stanisława Adamczuka, kronikarza dziejów Jaślikowa. Gmina Siennica Różana również nie daje o sobie zapomnieć głównie za sprawą Tomasza Sienickiego i Moniki Nagowskiej, organizatorki Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego „Leśny album”, którego patronem medialnym od siedmiu lat jest „Nestor”.

Jak zawsze poznamy wybrane relacje z ważniejszych spotkań literackich krasnostawskich bibliotek, a nawet z Nocy Kosmonautyki. Wszystko za sprawą Elżbiety Patyk oraz Ireny Kulik.

W części literackiej oczekuje nas zróżnicowana oferta form prozatorskich, a w tym miniatury Wojciecha Bielunia, Jana H. Cichosza, Mirosława Iwańczyka i Leszka Janeczka oraz obszerny fragment przygotowywanej do druku książki Andrzeja Bałysa. Nie zabrakło stałych akcentów poetyckich, a wśród nich wierszy Łęsi Stępowyczki z Ukrainy w przekładzie i recenzji Waldemara Michalskiego.

Całość zamyka refleksyjny felieton Wiesława Krajewskiego na temat podwójnej moralności.

Wiesław Krajewski

Andrzej David Misiura

Spis treści

USA – Zachodnie Wybrzeże	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Kiedyś Krasnystaw teatrem słynął	3
<i>Juliusz Stachira</i>	
Izbicka koza	6
<i>Elżbieta Kmiec</i>	
Wycieczka [do Tarnogóry]	8
<i>Waldemar Seroka</i>	
Alfred Schreyer (1922-2015) z Drohobycza, osobowość wielokulturowa, skrzypek i śpiewak, pedagog, ostatni uczeń Brunona Schulza	10
<i>Jerzy Jacek Bojarski</i>	
Historia warta upamiętnienia wg Danuty Żukowskiej ..	18
<i>Danuta Żukowska</i>	
Moje wspomnienia	23
<i>Marta Kafarska</i>	
„Idziemy na Niemienice?!” Z cyklu: „Mój Jaślików”	24
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Bądź sobą! Z cyklu: Solilokwia	27
<i>Elżbieta Petruk</i>	
Krakowskie Przedmieście, Krasnystaw – macecznikiem Bojarskich. Część I.	28
<i>Jerzy Jacek Bojarski</i>	
Patriotyczne i poetycko-muzyczne spotkania w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie	33
<i>Irena Kulik</i>	
Anna Kamieńska dzieciom	35
<i>Irena Kulik</i>	
„Niewysłuchani” – głos w sprawie, o której trudno mówić	36
<i>Elżbieta Patyk</i>	
„Anna Kamieńska w moim życiu” – spotkanie z prof. dr. hab. Karolem Samselem	37
<i>Elżbieta Patyk</i>	

Spis treści

„Leśny album” na Siennickich Augustynkach	38
<i>Monika Nagowska</i>	
Reyów i Siennickich wspólne biesiady	41
<i>Tomasz Sienicki</i>	
Relacja z Nocy Kosmonautyki – kosmiczne święto w bibliotece!	42
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Chciał Polską cały świat zadziwić	44
<i>Lucjan Cimek</i>	
Galeria 72 – okno na sztukę współczesną	46
<i>Elżbieta Petruk</i>	
Reszta życia. Rok 1991 (wybór z dziennika)	47
<i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Z cyklu: „Moje lapidaria”	53
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Opowieści nie tylko dla krasnostawian	54
<i>Leszek Janeczek</i>	
Poezja – Łesia Stepowyczka	58
Wiersze jak podanie ręki. O poezji Łesi Stepowyczki .	60
<i>Waldemar Michalski</i>	
Punkty widzenia	62
<i>Wojciech Bielun (Targosz)</i>	
Proza – Mirosław Iwańczyk	64
Proza – Jan Henryk Cichosz	65
Miasteczko	67
<i>Andrzej Bałys</i>	
Podwójna moralność	76
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Obrazy nie istniałyby bez naszego spojrzenia i wrażliwości	80
<i>Teresa Chomik-Kazarian</i>	

Serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe składamy stałym darczyńcom: pani Barbarze Rusinek-Zdun z Ciechanowa oraz osobie anonimowej z Krasnegostawu. Łącznie otrzymaliśmy 500 złotych na zakup materiałów drukarskich. Liczymy na dalszą pomoc również ze strony Zarządu Powiatu oraz Burmistrza Krasnegostawu. Pamiętajmy, że wszystkie przyjazne gesty są gwarancją przetrwania „Nestora”. Dziękujemy.

Uwaga! Nastąpiła zmiana subkonta.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: **VeloBank S.A. 28 1560 0013 2030 2066 2000 0004**. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 2 (72) 2025 – ROK XIX NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Józef Adam Dąbek (Lublin)
Elżbieta Kmiec (Izbica)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Juliusz Stachira**Kiedyś Krasnystaw
teatrem słył**

Równo 80 lat temu w Krasnymstawie zaczął działać półamatorski Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego – jeden z pierwszych teatrów działających na terenie Polski Lubelskiej. Po raz pierwszy na scenie zaprezentował się w październiku 1944 roku. Jego założycielką była znana już przed wojną aktorka Stanisława Zbyszewska-Kisielińska, a swoje pierwsze aktorskie kroki stawiała w Krasnymstawie jej córka – Maria Zbyszewska, czyli Mania Pawlakowa z filmu „Sami swoi”. Krasnostawski teatr odnosił znaczące sukcesy, ale w połowie lat 60. ubiegłego wieku znikł. Dziś do kontynuacji pięknych teatralnych tradycji nie ma – podobno – chętnych.

Grunt przygotowała Stanisława Zbyszewska

Stanisława Zbyszewska już przed wojną była znaną aktorką. Zaczynała w 1922 roku w „Reducie”. W sezonie 1924/25 występowała w warszawskim Teatrze Narodowym, w latach 1925-1927 w zespole „Reduty” w Wilnie, w latach 1926-1927 występowała też w Grodnie. W 1928-1929 występowała w Ateneum w Warszawie, następnie w Teatrze Polskim w Katowicach i Teatrze Kameralnym w Częstochowie. Początek wojny zastał ją w Kaliszu. Okupację Stanisława Zbyszewska-Kisielińska przetrwała na Lubelszczyźnie. W 1944 roku założyła w Krasnymstawie teatr.

Trafiła na podatny grunt, na chętną i utalentowaną młodzież. To w tym teatrze, w Krasnymstawie zaczynała swoją karierę jej córka Maria Zbyszewska. W teatrze mamy, Maria poznała swoją pierwszą miłość, początkującego aktora Zdzisława Zasadę. Ich związek zakończył się tragicznie. Zdzisław Zasada został zastrzelony na krasnostawskim rynku przez pijanego radzieckiego żołnierza. Tak sobie, bez żadnego powodu.

Po tej tragedii, chociaż nie była ona przyczyną, obie panie Zbyszewskie opuściły Krasnystaw na zawsze. Pociągał je wielki świat teatru. Stanisława Zbyszewska-Kisielińska w 1945-46

występowała w Teatrze Kameralnym w Krakowie. Potem było Opole, Sosnowiec, Kielce, Radom, Białystok. Od 1957 roku aż do śmierci w 1961 roku występowała w Teatrze Rozmaiłości we Wrocławiu. Maria Zbyszewska ukończyła studia aktorskie w Studiu Ivo Galla w Krakowie. Tam też poznała swojego przyszłego męża Ludwika Benoit.

Kontynuowała Maria Gładkowska

27 maja 1945 roku do Krasnegostawu przyjechała Maria Gładkowska. Już 1 czerwca objęła kierownictwo Referatu Kultury i Sztuki Powiatowej Rady Narodowej w Krasnymstawie. Była repatriantką z Wołynia, z zawodu nauczycielką szkół średnich, a z zamiłowania animatorką kultury. Po pół roku kierowała kulturą w trzech powiatach: krasnostawskim, zamojskim i chełmskim. Szczególną opieką otoczyła Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego. Z wielkim powodzeniem kontynuowała, to co zaczęła Stanisława Zbyszewska-Kisielińska.

Reżyserowała, występowała na scenie, projektowała i szyła kostiumy. Dzięki niej teatr zasłynął w województwie ambitnym repertuarem i wysokim poziomem spektakli przygotowywanych dla dorosłych i osobno dla młodego widza. Był okres, że mały pięciotysięczny Krasnystaw przodował w kulturze teatralnej, dając 15 spektakli miesięcznie. Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Krasnymstawie miał też scenę objazdową, co było rzadkością nawet wśród teatrów zawodowych. Aktorzy jeździli po okolicy, między innymi z bardzo popularnym w tamtych czasach spektaklem „Damy i huzary”.

Pod koniec 1945 roku, z inicjatywy Marii Gładkowskiej zorganizowano pierwsze wieczory autorskie lokalnych poetów: Stanisława Bojarczuka z Rońska, Edwarda Wolskiego z Ostrowa Krupskiego, Aleksandry Rybczyńskiej z Woli Siennickiej i Stefana Gładkowskiego związanego z teatrem. Jesienią 1946 roku po raz pierwszy zorganizowano w Krasnymstawie Tydzień Sztuki. Na imprezę zaproszono 7 teatrów amatorskich. Występy połączono z obchodami Święta Ludowego. Dochód przeznaczono na założenie powiatowej szatni kostiumów teatralnych.

Pod koniec 1946 roku w teatrze coś zaczęło się psuć. Zaczęło się od wzajemnych animozji i konfliktów personalnych. Doszło do wyborów no-

wego kierownictwa, jednak nic to nie dało. Tarcia wewnątrz zespołu doprowadziły w końcu do upadku prężnie działającego teatru.

Drugie życie teatru

W roku 1956 reaktywowano Teatr Amatorski im. Stanisława Wyspiańskiego, tym razem pod szyldem Powiatowego Domu Kultury w Krasnymstawie. Ze skompletowaniem zespołu nie było żadnego problemu. Teatr działał jak zawodowy. Był zespół aktorski, zaplecze techniczne, suflerzy, garderobiane, dźwiękowcy, oświetleniowcy itp. Z biegu młody teatr zaczął wystawiać sztuki nie gorsze od tych wystawianych przez teatry zawodowe w dużych miastach. Jednocześnie dzięki Marii Gładkowskiej uaktywniły się amatorskie teatry wiejskie. W Latyczowie prężnie działał teatr prowadzony przez Antoniego Dobosza, w Małochwieju teatr zorganizował ZMW, a w Niemienicach już działał Ludowy Zespół Teatralny.

Z czasem sztuki wystawiane przez teatr były coraz bardziej ambitne i wieloobsadowe. Przedstawienia były plakatowane. 19 lutego 1959 roku odbyła się premiera „Słowika” wg baśni Christiana Andersena w reżyserii Marii Gładkowskiej. W roli cesarza wystąpił Władysław Gawlikowski. W tym przedstawieniu wystąpili: Marian Wolicki, Stefania Stokłosa, Janina Humin, Tomasz Kasperki, Zdzisław Lipczyński, Ryszard Piwowarski, Lucyna Ciołek. Zaangażowani byli też statyści. Suflerem był Alojzy Stokłosa.

Dekoracje do przedstawienia zaprojektował i wykonał Zygmunt Tokarzewski, stolarkę Franciszek Łubiński. Stroje zaprojektowała i uszyła Izabela Kicińska, za charakteryzację odpowiadał Zygmunt Tokarzewski. Nagranie muzyczne przygotowali Cezary Szumski i Roman Świeciński. Taniec chiński „Zbiór herbaty” opracowała choreograficznie Izabela Kicińska, a wykonał dziecięcy zespół taneczny działający przy Powiatowym Domu Kultury. Muzykę opracowała i przygotowała do nagrania orkiestra Społecznego Ogniska Muzycznego.

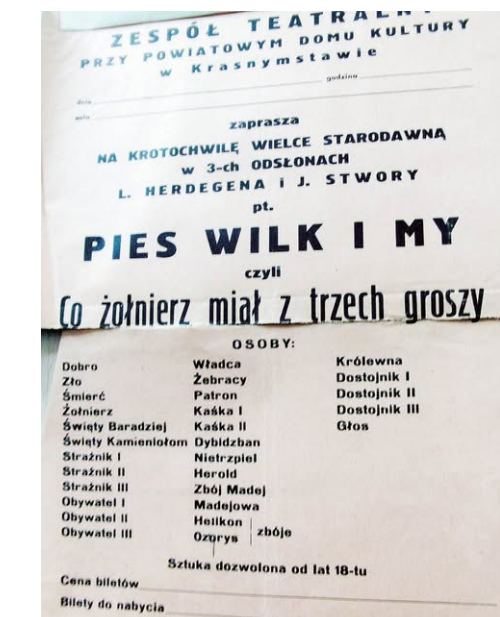
Trzy miesiące później była już nowa premiera. Tym razem był to „Świętoszek” w wersji dla młodzieży i dorosłych. Ta sztuka wystawiana była również w Szczepreszynie i Zwierzyńcu. 26 marca 1960 roku teatr wystawił „Zaczarowaną

królową” według Artura Oppmana. Sztukę wyreżyserowała tym razem Zdzisława Lipczyńska. Projekt i wykonanie dekoracji – Zygmunt Tokarzewski i Franciszek Łubiński. Stroje zaprojektowała i uszyła Izabela Kicińska. Muzykę opracował Stanisław Brzozowski, a choreografię Janina Błędkowska. Charakteryzacją zajęła się Maria Gładkowska, a suflerkami były Jagna Banaszkiewicz i Zuzanna Szatan. Za światła odpowiadali Kazimierz Złomańczuk i Bolesław Stojański. Była to sztuka wieloobsadowa. Na scenie wystąpiły 42 osoby.

W latach 60. ubiegłego wieku Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego z Krasnegostawu znany był nie tylko w powiecie i województwie. W numerze z 26 listopada 1962 roku „Sztandar Ludu” pisał o sukcesach teatru z Krasnegostawu, który pod kierownictwem Zdzisławy Lipczyńskiej ma na swoim koncie 30 wystawionych sztuk. Kolejna premiera odbyła się 9 marca 1963 roku. Był to „Marchoń” Romana Brandstaettera w reżyserii Zdzisławy Lipczyńskiej. Dekoracje – Kazimierz Kulecki, kostiumy – Izabela Kicińska. Było to przedstawienie wieloobsadowe wystawione z wielkim rozmachem.

Tytułową postać Marchońta zagrał Władysław Gawlikowski, jego żonę Marchońtową – Wiesława Niewidziało, Wojewodę zagrał Jan Szymański, w Kalitowskiego wcielił się Ryszard Piwowarski, Burmistrz – Ludwik Kafarski, Dusimieszek – Mieczysław Dziduch, Dławikabza – Jerzy Rysak, Baltazar – Ryszard Banaszkiewicz, Kasper – Ryszard Antończak, Tomasz – Ryszard Złomańczuk, Zawadzki – Janusz Popławski, Anusia – Danuta Marszycka, Kasia – Danuta Kwiatosz, Zosia – Lucyna Pawłowska, Płachta – Dariusz Smerdel, Rotmistrz – Kazimierz Szewczak i Kał – Jakub Bliźniak.

29 września 1963 roku odbyła się premiera Teatru Poezji – Warszawskie Wspominki w reżyserii Sławomira Litwińskiego, wybór tekstów – Zdzisława Lipczyńska, muzyka – Jerzy Rysak. Dochód z przedstawienia przekazano na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. 9 marca 1964 roku odbyła się premiera sztuki „Pies, Wilk i My” Leszka Herdegana i Jacka Stwory w reżyserii Zdzisławy Lipczyńskiej. Dekoracje zaprojektował i wykonał Kazimierz Kulecki, kostiumy – Izabela Kicińska. Przy fortepianie zasiadł Jerzy Rysak, przy światłach Bolesław Stojański, suflerem była Maria Zalewska.



Z tą sztuką teatr z Krasnegostawu ruszył na podbój Polski. Po eliminacjach powiatowych, wojewódzkich i centralnych, zaprezentował ją na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich



w Łodzi zorganizowanym wtedy dla uczczenia 20-lecia Polski Ludowej i 1000-lecia Państwa Polskiego. Na festiwalu teatr odniósł sukces, II wyróżnienie na 22 biorące udział w eliminacjach zespoły teatralne. Pierwszy był teatr działający przy WDK w Lublinie, a trzeci – teatr z Wrocławia.

Po tych sukcesach coraz mniej mówiło się o teatrze, a sam teatr też nie bardzo przypominał o sobie. Podobno zaczęło brakować środków. Ludzie zaangażowani w teatr odchodzili z różnych powodów, nowych pasjonatów nie było. Z czasem o teatrze i jego twórcach zapomniano. W Krasnostawskim Domu Kultury mówi się, że brak jest chętnych do działania w amatorskim ruchu artystycznym, a teatralnym szczególnie. O Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Krasnymstawie zapomniano. Pozostały jedynie zapiski w starych kronikach i teatralne afisze.

Juliusz Stachira

Zdjęcia ze zbiorów Krasnostawskiego Domu Kultury
Przedruk: „Nowy Tydzień” nr 51(990), 16-22 grudnia 2024

Kadry ze spektaklu komediowego „Marchoń” wg Romana Brandstaettera w wykonaniu Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego przy Krasnostawskim Domu Kultury. Premiera 9 kwietnia 1963 r. Reżyseria: Zdzisława Lipczyńska. Kostiumy: Izabela Kicińska.



Od lewej: Ryszard Złomańczuk, Danuta Marszycka (Żukowska), Ryszard Antończak i Lucyna Pawłowska.



Zdjęcia z archiwum rodzinnego Danuty Żukowskiej (z domu Marszyckiej).

Elżbieta Kmieć

Izbicka koza



Jeżeli, drogi Czytelniku, spodziewasz się, że poniższy tekst będzie nawiązywał do popularnego przed wojną powiedzenia „Izbica – kozia stolica”, będziesz zawiedziony. Oczywiście, nieliczni już, najstarsi mieszkańcy Izbicy, pamiętający czasy przedwojenne, mogliby coś na ten temat powiedzieć. Kozy, jako zwierzęta łatwe w hodowli, często były trzymane w biednych żydowskich rodzinach. Pasły się, wyskubując trawę na pagórkach otaczających osadę. Wpisywały się w izbicki krajobraz, skacząc po zboczach i skarpach oraz nierzadko niskich dachach lichych, drewnianych domów.

Jednak tym razem będzie o kozie, która nikomu mleka nie dawała, zabierała natomiast wolność. Czyli o areszcie gminnym w Izbicy. Dziś instytucja aresztu gminnego jest już reliktem przeszłości i dlatego nadaje się do przypomnienia na łamach czasopisma „Nestor”. Na Lubelszczyźnie areszty gminne organizowane były już w latach 60. XIX wieku, pod rządami ustroju administracyjnego Rosji i przetrwały – na podstawie polskich przepisów – do końca II Rzeczypospolitej. Według stanu z 1936 roku, niemal w każdym historycznym miasteczku województwa lubelskiego będącym siedzibą gminy, funkcjonował areszt. Kara siedzenia w kozie mogła być nałożona przez wójta w ramach czynności policyjnych, określonych w ówczesnych przepisach o samorządzie terytorialnym, a także przez starostwo na drodze administracyjnej. Wyroki skazujące na areszt orzekały sądy pokoju oraz, w późniejszych latach, sądy grodzkie. Ponieważ wyroki tych sądów przeważnie orzekały karę grzywny z zamianą na areszt, to do aresztów trafiali głównie biedniejsi ludzie, niemający pieniędzy na zapłatę grzywny. Prawo o wykroczeniach z 1932 roku przewidywało dwie kary za czyny objęte tą ustawą: areszt do trzech miesięcy i grzywnę do trzech tysięcy złotych, albo jedną z tych kar. W razie nieściągalności grzywny lub w razie gdyby jej ściąganie narażało skazanego na ruinę majątkową, karę zamieniano na areszt, przyjmując dzień aresztu za równoważnik grzywny od 1 do 50 zł.

Od października 1932 roku zniesiono swobodne uznanie i grzywnę w wysokości 50 zł można było zamienić na jeden dzień aresztu.

Izbicka koza znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie budynku urzędu gminy, na podwórzu od strony południowej. Powstała przez adaptację pomieszczeń gospodarczych, a składała się z czterech cel i jednego dużego pomieszczenia administracyjnego. Obok budynku znajdowała się studnia gminna, tzw. pompa, z której korzystali osadzeni podczas wykonywania codziennej toalety. Z powodu braku korytarza, do cel wchodziło się bezpośrednio z posesji, a poszczególne cele przypominały bardziej komórki, niż pomieszczenia odpowiednie do przetrzymywania ludzi. Zgodnie z regulaminem aresztu, uchwalonym przez Radę Gminną w Izbicy w 1936 roku, cele aresztu powinny mieć dobrze izolowane ściany i odpowiednio grube oraz tak urządzone, aby uniemożliwiały porozumiewanie się aresztantów na zewnątrz i z siedzącymi w innych celach. Aresztant żywiony był przez rodzinę. Żywność dostarczoną przez bliskich przejmował dozorca, który sprawdzał jej wartość i dopiero wtedy przekazywał zatrzymanemu. Aresztem zarządzał kierownik aresztu, którego zatrudniała gmina. Był on przełożonym dozorców, prowadził wymagane ewidencje i odpowiadał za

prawidłowe wykonanie kary, za spokój i porządek. Według regulaminu, temperatura w celach w okresie zimowym nie powinna być niższa niż 14 stopni. Aresztantowi nie wolno było opuszczać swojej celi bez zgody dozorczy. Wyjście z niej wiązało się wyłącznie z załatwianiem potrzeb fizjologicznych, krótkim spacerem bądź wykonaniem drobnych prac gospodarczych dla potrzeb aresztu.

Wymierzanie kar administracyjnych przez wójta odbywało się głównie na podstawie doniesień karnych, do których byli upoważnieni sołtysi, policja państwowa lub inne władze. I tak, na podstawie doniesienia karnego Posterunku Policji Państwowej w Izbicy z 6 lutego 1934 roku, stwierdzającego, że „Agnieszka R., zamieszkała w Tarczyniechach nie trzymała psa na uwięzi, który chodził bez kagańca i obroży” wójt skazał wymienioną na grzywnę w kwocie 1 zł, z zamianą na jeden dzień aresztu zapobiegawczego, w razie niemożności jej ściągnięcia. Kara aresztu mogła dotknąć nie tylko prostych ludzi za drobne wykroczenia, ale także przedstawicieli lokalnej władzy, tj. sołtysów, wójtów lub sekretarzy gmin. Starosta krasnostawski 17 kwietnia 1924 roku wydał decyzję, na podstawie której ukarał siedmiodniowym aresztem sołtysa Wólki Orłowskiej oraz pięciodniowym aresztem sołtysa Orłowa Drewnianego, za „oznaj-



Budynek izbickiej kozy (fot. ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie).

mienie wobec inżyniera drogowego wysoce karygodnej niesubordynacji, wyrażającej się odnośnie nie tylko wykonania ale nawet przyjęcia polecenia mego o dostarczenie furmanek". W drugiej połowie lat dwudziestych, wobec sprzeciwu działaczy związkowych Pracowników Administracji Gminnej RP oraz Rady Naczelnej Związku Pracowników Samorządowych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało okólnik skierowany do starostów, zabraniający im wymierzania kar aresztu względem sekretarzy gminnych, wójtów i sołtysów, utrzymując prawo do nakładania kary grzywny.

Po wybuchu II wojny światowej areszty gminne zmieniły swe przeznaczenie, stając się jednym z instrumentów represji stosowanych przez niemieckie władze okupacyjne. Nie inaczej było w Izbicy. Budynek aresztu na podwórzu gminnym stał się miejscem przetrzymywania i kaźni przed przekazaniem do Gestapo w Zamościu lub na Zamek Lubelski wielu mieszkańców miejscowości położonych w gminach Izbica i Tarnogóra, a także z Krasnegostawu i okolic. Był świadkiem poniżania, bicia, znęcania się oraz zabójstw zarówno polskich, jak i żydowskich mieszkańców Izbicy. Z czasem areszt nie mógł już pomieścić ofiar izbickiej placówki Gestapo. Na początku 1942 roku z rozkazu kata Izbicy Kurta Engelsa, po drugiej stronie ulicy Gminnej, w bezpośrednim sąsiedztwie posterunku policji, powstał drugi areszt, tzw. bunkier. Zbudowany został z macew zwiezionych z cmentarza żydowskiego przez samych Żydów, przymuszonych do tej pracy. Ale tu już zaczyna się inny rozdział historii Izbicy.

Elżbieta Kmiec

Bibliografia

H. Czajka, Areszty gminne na przykładzie akt Gminy Izbica i Zwierzyniec, Archiwariusz Zamojski 2004.

Waldemar Seroka

Wycieczka [do Tarnogóry]



W ostatnim numerze Nestora (1/71/2025) Jan Henryk Cichosz zaprosił czytelników w duchową podróż po literackiej mapie gminy Gorzków. Jej hasłem przewodnim, mottem, stał się wiersz Stanisława Bojarczuka „Wycieczka [do Gorzkowa]”. Oprócz walorów czysto poetyckich, utwór afirmuje niejako gorzkowskie ślady poety. To, że nieodrodnym piewca poezji Bojarczuka nie przepuści żadnej okazji, by się nie pochylić nad jego fenomenem, jest sprawą oczywistą. Lecz nie o magii jego poezji zamierzam pisać, bo kudy mi do Parnasu.

Ośmieliłem się zabrać głos po wyznaniu Pana Henryka, jak to ongi z zapartym tchem czytał i nadziwić się nie mógł, że poeta pisał o jego rodzinnych stronach. Czytając to, miałem poczucie *déjà vu*, bo jeszcze do niedawna lekturę wielu książek zaczynałem od końca, od indeksów, z nadzieją, że znajdę coś o swojej małej ojczyźnie, że zaspokoję jakieś utajone pragnienie, chciejstwo...

Kiedy zrobiło się głośno o Bojarczuku, pomyślałem sobie, że skoro żył i tworzył w nieodległym Rońsku, to może odnajdę jakieś ostrzyckie jego ślady. I tak trafiłem na „Wycieczkę [do Tarnogóry]”. Wprawdzie poeta nie wspomina tu o Ostrzycy, ale w drodze powrotnej pewnikiem tu był, bo: *na szlaku Tarnogóra-Krasnystaw wąwozy dwa pokażne...* i Romanów po drodze. Jest to dla mnie i moich współziomków rzecz niebagatelna ze względów historyczno-sentymentalnych. Otóż kościół w Tarnogórze przejął niejako sukcesję po kościele w Ostrzycy i chociażby z tego tytułu jakaś część splendoru powinna na nas spłynąć.

Według J. Niedźwiedzia, *pierwsza wzmianka o Ostrzycy pochodzi z 1465 roku, kiedy to w sądzie hrubieszowskim występował Jakub Motyczka z Ostrzycy. Być może z nim należy łączyć budowę drewnianego kościoła notowanego w 1468 roku*¹. Wielu historyków (publicystów) uważa te daty za

¹ J. Niedźwiedź, *Leksykon historycznych miejscowości dawnego województwa zamojskiego*, Zamość 2003, s. 364.

kluczowe, ostateczne. Wydaje się jednak, że skoro był notowany w roku 1468, to wybudowany musiał być wcześniej.

Jego fundatorem był król Kazimierz Jagiellończyk, trzeci syn Władysława Jagiełły i jego czwartej żony, księżniczki litewskiej Sofii Holszańskiej zwanej Sońką, która przed ślubem z Jagiełłą, w roku 1422, przeszła na katolicyzm, przyjmując imię Zofia. To głównie dzięki matce Kazimierz – wielki książę litewski – został też królem Polski (1447), a Zofia patronką naszej świątyni – ostatniej fundacji monarszej w ziemi chełmskiej.

W skład parafii, oprócz Ostrzycy, weszły jeszcze Mchy i Izbica. Później dołączono Wirkowice, Romanów, Strjów, Sulmice, Zabytów, Huszczkę (Dzierżkową, Serbinową i Wołoską) oraz Monastyr, późniejszą Kalinówkę². Po prawie stu latach istnienia nastąpiło zniesienie parafii i afiliowanie jej, w roku 1552, do parafii tarnogórskiej. Tutaj, w roku 1544, został wybudowany (na gruntach wsi Ostrzyca) kościół fundacji Jana Tarnowskiego – hetmana wielkiego koronnego.



Ksiądz Jan Ambroży Wadowski
(źródło: <https://www.norbertinum.pl>).

Kościół w Ostrzycy – jako kaplica (?) – przetrwał kolejne stulecie. Ksiądz Jan Ambroży Wadowski (1837-1907) w swojej pracy „Kościo-



Adam Lerue, Kościół w Tarnogórze, rysunek z natury.
(źródło: <http://przewodniczymosc.pl/archiwa/5084>).

ły diecezji chełmskiej” pisze: *Drewniany kościół w Ostrzycy w 1636 roku był już opustoszały i wkrótce zapewne został rozebrany*. Według ustnych przekazów, spłonął podczas potopu szwedzkiego. O jego istnieniu przypomina drewniany krzyż z inskrypcyjną tablicą.

A teraz czas na wycieczkę. Jej sielankowość oraz plastyczny suplement Adama Lerue tworzą niepowtarzalną, synkretyczną jedność. Oto fragmenty:

Stanisław Bojarczuk

Wycieczka [do Tarnogóry]

Lat temu – Ach! – z pół setki, w majowym sezonie,
w takiej jaśminu z różą, bzu z tują sielance,
wywzajemniając wojaż nadobnej siolance,
na odpust prazwyczajem prowadziłem Zonię...

[...]

Tarnogóra. Nadwieprznej wyżyny pagórek.
W majestatycznym miejscu kościółek się wznosi
pod pobożnym wezwaniem patronki mej Zosi.
Zofii – Wiary, Nadziei, Miłości – jej córek.

Jak mszał ministrant, słońce twarz w zachód przenosi.
Staliśmy wprosz dzwonnicy u płotka podpórek.
Siwy dziaduś uparcie szarpie dzwonu sznurek,
który jak gąska gęga, czas nieszpórów głosi.

A pod nami w przepaści wir rzeczny bełkocze,
liże glinę urwiska, by połknąć w swej toni.
W wiszącej tuż kuzience młot w kowadło dzwoni.

² W. Czarnecki, *Rozwój sieci parafialnej kościoła łacińskiego w ziemi chełmskiej do początku XVII wieku*. Roczniki Humanistyczne, t. XLVIII, s. 79.

W pobliżu młyn staruszek rytmicznie klekocze,
na kamieniach piaskowca swe pacierze mruczy.
Z służy Wieprz wielkim, białym wodospadem huczy.

[...]

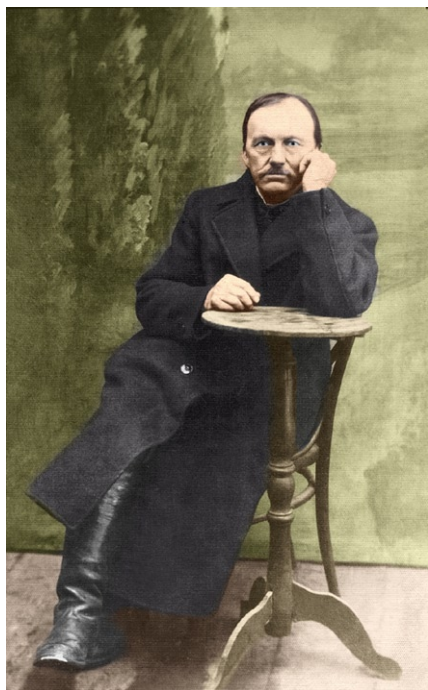
Na szlaku Tarnogóra – Krasnystaw wąwozy
dwa pokaźne, wżłobione w wyżynach wydroża.
W rejonie prawiekowych glinnych morem łoża
wspaniałych w majestacie pra – pra – wód erozy –

Romanów. Tu w słoneczne ciche przedwieczrze,
w głębie polnych zarośli, jakby rzeczne łoży,
w dziedzinę pień słowiczych i płaczącej brzozy,
wkraczamy w toń roślinną, jak Faraon w morze.

Szmery obfitych kropel tuż przeszłego deszczu
mlaskały po osikach, po tarni i leszczu,
aż się pnący wąwozem gościniec obłocił.

Przeto Zosię zmusiła patoka gliniana
snad długą, współczesną kieckę unieść za kolana,
a kunszt zachodu słońca brązowił je, złocił.

opracował Waldemar Seroka



Stanisław Bojarczuk (1869-1956), około roku 1925,
(fot. Wikipedia).

Jerzy Jacek Bojarski

**Alfred Schreyer (1922-2015)
z Drohobycza, osobowość
wielokulturowa, skrzypek
i śpiewak, pedagog, ostatni
uczeń Brunona Schulza**



Projekt badawczy profesor Ewy Nideckiej „Żydzi w kulturze muzycznej Galicji” trwa już cztery lata. Od 2021 roku usuwa on białe plamy w panoramie odzwierciedlającej bogaty i różnorodny wkład twórców żydowskich w życie muzyczne Galicji przełomu XIX i XX wieku. Odnajdywane są cenne dokumenty, rekonstruowane biografie artystów i muzykologów, ich dokonania, pojawiają się fascynujące, odkrywane przez specjalistów różnych dyscyplin, opowieści o muzycznym życiu zbiorowości żydowskiej w szerokim kontekście wielokulturowej przestrzeni Galicji. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego wydało dwa tomy pod naukową redakcją prof. Nideckiej poświęcone tym zagadnieniom, drugi z nich został uhonorowany nagrodą w międzynarodowym konkursie „Muzyczne Orły”.

Choć nie jestem specjalistą od muzyki, ba, rzec by można nawet, że jestem afonem (mimo tego, że moim nauczycielem muzyki w szkole podstawowej był Włodzimierz Dębski, ojciec Krzesimira Dębskiego), temat badań prowadzonych przez prof. Ewę Nidecką jest mi bardzo bliski. Nad tematem tym pochylę się z punktu widzenia historyka oraz przez pryzmat moich osobistych doświadczeń, na zakończenie wskażę zapisy, m.in. muzyczne przedstawiające postać, o której piszę. Z archiwum pamięci, posiłkując się dokumentacjami, przywołam obraz Drohobycza, niegdyś wielokulturowego, polsko-żydowsko-ukraińskiego miasta i jego mieszkańca żydowskiego pochodzenia Alfreda Schreyera (1922-2015), niezwykłego obywatela Drohobycza. Jednakże, aby była pełna, moja opowieść wymaga przywołania wielu kontekstów, które tylko pozornie są ze sobą niezwiązane, w istocie przeplatają się i łączą.

Andrzej Nikodemowicz inicjuje znajomość i przemyslenia

Zacznę od tego, jak to się w ogóle stało, że tak nieoczekiwanie zostałem włączony w temat „Żydzi w kulturze muzycznej Galicji” i trzecią temu tematowi poświęconą konferencję, planowaną w lutym 2025 roku przez Instytut Muzyki Uniwersytetu Rzeszowskiego. Panią prof. Ewę Nidecką poznałem w Lublinie na międzynarodowym festiwalu „Andrzej Nikodemowicz – Czas i dźwięk”, organizowanym przez Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego. Wtedy dostałem od niej jej publikację „Muzyka sakralna w twórczości Andrzeja Nikodemowicza” (Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2010), z dedykacją. Tak rozpoczęła się nasza znajomość. Widywaliśmy się na kolejnych festiwalach wielkiego Nikodemowicza, kompozytora pochodzącego ze Lwowa, ale od 1980 roku mieszkającego w Lublinie. Duży udział w przygotowaniu tych dramatycznych przenosin i w opiece nad kompozytorem miał Adam Natanek, ówczesny dyrektor Filharmonii Lubelskiej im. Henryka Wieniawskiego.

Nieoczekiwanie stała się rzecz niezwykła, nietuzinkowa i niebywała, profesor Nidecka zaprosiła mnie do współpracy. Otrzymałem od niej taką wiadomość: *Drogi Jurku, twój post na FB przypomniał mi, że przez wiele lat interesowałeś się historią Żydów. W związku z tym mam pytanie, czy nie zechciałbyś opublikować jakiegoś tekstu, wystąpić na naszej konferencji w Rzeszowie 28 lutego 2025? Jest dużo czasu. Dawno temu opublikowałeś na FB wystąpienie pewnego Żyda, muzyka, niestety imienia nie pamiętam, może o nim coś można byłoby napisać, jego życiorys i działalność? Byłoby wspaniale.*

Przytaknąłem w myśli, zaskoczony, ale i zadowolony. Wszak raz na milion człowiek niskiej kultury muzycznej, taki jak ja, ma szansę wystąpić wśród fachowców od wysokiej kultury muzycznej i to żydowskiej! Tą osobą, o której Ewa Nidecka wspomniała nie z nazwiska, ale intuicyjnie, jest bliski memu sercu Alfred Schreyer – polski Żyd z Drohobycza, a dokładniej – ostatni polski Żyd

z Drohobycza, dlatego z humorem sam siebie nazywał „ostatnim Mohikaninem”, ostatni w Drohobyczu uczeń pisarza i artysty Brunona Schulza. Moja przygoda z Drohobyczem i Alfredem Schreyerem trwała trzynaście lat, od pierwszego mojego przyjazdu do Drohobycza w 2003, aż do śmierci Pana Alfreda w 2015 roku.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że pozostać ta trochę zatarła się w mojej pamięci. Pamięć jest bardzo ulotna. Aby napisać o nim, muszę odbyć pracowitą kwerendę, zagłębić się w zakamarki mojego archiwum, przeszukać setki plików tekstowych i tysiące fotografii, weryfikować informacje. Zrozumiałem, jak wielką wartość mają prace badawcze profesor Nideckiej i jej zespołu, aby odtworzyć pamięć, ocalić od zapomnienia to, co często ginie w zawodnej pamięci, a co dopiero mówić o mrokach dramatów historii XX wieku, które stały z mapy świat galicyjskich Żydów i świadectwa jego istnienia.



Wydział Muzyki
Uniwersytetu Rzeszowskiego

Międzynarodowa Konferencja Naukowa

„Żydzi w kulturze muzycznej Galicji 3”

28.02 piękną
Wydział Muzyki UR, Rzeszów, ul. Dąbrowskiego 83

9:00 – 9:15 otwarcie konferencji
dr hab. Małgorzata Zarębkowa, prof. UR, Dziekan Wydziału Muzyki UR

Panel I: 9:15 – 10:15
prowadzenie dr hab. Jolanta Wągić-Krótka, prof. UR

dr hab. Anna Pachowicz, Akademia Tatarska, Muzyka w życiu codziennym tatarskich Żydów na początku dwudziestego wieku
dr hab. Waleryna Węgrzyn-Kłowińska, prof. UMAR, A&M im. K. Lipińskiego we Wrocławiu, Muzyczne wartości żydowskiego teatru Gimpelów we Lwowie
dr hab. Tomasz Baranowski, Instytut Muzykologii, Uniwersytet Warszawski, Bracia Karol, Jakub i Bronisław Gimpelowie. Kulturowe dziedzictwo i artystyczne kariery wirtuozów ze Lwowa

10:15 – 10:30 dyskusja
10:30 – 10:45 przerwa kawowa

Panel II: 10:45 – 11:45
prowadzenie dr hab. Waleryna Węgrzyn-Kłowińska, prof. UMAR

dr hab. Jolanta Wągić-Krótka, prof. UR, Wydział Muzyki, Uniwersytet Rzeszowski, Prawnik Czy muzyk? Refleksje o wszechstronności działalności scenarzysty kameralnego
dr hab. Anna Remeć, Kameralna Muzyka, Wydział Sztuki Uniwersytetu Jana, Długosza w Częstochowie, „Jedyni funkcjonujący w polskiej muzyce (1858 – 1917) łowickiego kompozytorów i krytyka muzycznego”
dr Michał Jędrzejak, Instytut Muzykologii, Uniwersytet Jagielloński, Żydowskie tryptyki-pomniki ze Lwowa na sztuki i muzykologię żydowską

11:45 – 12:00 dyskusja
12:00 – 12:15 przerwa kawowa

Panel III: 12:15 – 13:15
prowadzenie dr hab. Anna Pachowicz

dr hab. Ewa Nidecka, prof. UR, Wydział Muzyki, Uniwersytet Rzeszowski, Karolowi Swellowi (1880-1984) – w rycinach i podobiznach artystycznych
dr Karol Krawiec, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Saper i Rępele. Teatr i sztuka w kulturze żydowskiej
mgr Patrycja Szurko, Muzeum Uniwersyteckiego w Lublinie
mgr Artur Hertzberg (1896-?) Muzykolog i badacz (1942-1988). Historia i współczesność żydowskiej religii i Uniwersytetu Jagiellońskiego

13:15 – 13:30 dyskusja
13:30 – 14:30 przerwa kawowa

Wydział Muzyki UR, ul. Dąbrowskiego 83, tel. 17 872 98 05, email: w.muz@ur.edu.pl

Panel IV: 14:30 – 15:30
prowadzenie dr hab. Tomasz Baranowski

dr Ewa Podczaska, Wydział Muzyki, Uniwersytet Rzeszowski, Nestorzy światowej pianistyki i pedagogiki: Mieczysław Młynarski, Leopold Młotarski i Karol Kram w dobie „totalitaryzmu” ery XX wieku
dr hab. Joanna Miklaszewska, prof. UMAR, Instytut Muzykologii, Uniwersytet Wrocławski, „Tętno” i „terapeutyka” Ignacego Friedmana a dydaktyka Chopina
mgr Jerzy Jacek Boguski, Alfred Schreyer (1922-2015) i Drohobycza, osobowość wielokulturowa, skrzypce, śpiewak, pedagog, ostatni uczeń Brunona Schulza

15:30 – 15:45 dyskusja
15:45 – 16:00 przerwa kawowa

Panel V: 16:00 – 17:00
prowadzenie dr hab. Ewa Nidecka, prof. UR

Kantor Benjamin Matti, USA, Synagogue Music and How it works in Jewish Liturgy
dr Lucy Mauro, West Virginia University, USA, Mieczysław Młynarski: Pianist and Teacher
dr Bożena Bole-Boja, Fundacja Art Forum, Kultura żydowska we współczesnej polskiej polskiej i jej odzwierciedlenie w pieśniach i piosenkach artystycznych

17:00 – 17:15 dyskusja
17:15 – 17:30 przerwa kawowa

17:30 koncert „W kręgu muzyki religijnej i prozajki żydowskiej”
prowadzenie dr hab. Jolanta Wągić-Krótka, prof. UR

20:00 kolacja

1.03 kolacja
Panel VI: 20:00 – 22:00
prowadzenie dr hab. Tomasz Baranowski

dr Hanna Karol, Przekazywanie Uniwersytetu Narodowy im. Wasyla Stefanyka, Austro-Francuska Liturgia, Wpływy i odwołania do tradycji
Festiwale w światowej muzyce żydowskiej
mgr Michał Kubiśka, Instytut Muzykologii UW, Żydowska dydaktyka (1898-1979)
W 130. rocznicę urodzin galicyjskiego żydowskiego
dr Zbigniew Dobrzański, School of Music, Kansas State University, USA, Maurice Rosenthal (1862-1946), Noweli urodem Francuska Liturgia
dr hab. Jan Nidecki, Stuttgart: zwiety dydaktyka Hebrajskiego seminarium

22:00 kolacja
22:00 – 22:15 dyskusja
22:15 – 22:30 zakończenie konferencji

28.02.2025/01.03.2025 Sala nr 9
ul. Dąbrowskiego 83
ORGANIZATOR ZAJĘCIA
SROGOWE PRAWO DO ZWIĄZKU PROGRAMU

Po raz pierwszy w schulzowskim Drohobyczu

Do Drohobycza pierwszy raz pojechałem na zaproszenie prof. Władysława Panasa (1947-2005), szefa Katedry Teorii Literatury Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wybitnego schulzologa, teoretyka i historyka literatury, tradycji żydowskiej w polskiej literaturze i kulturze. 19 listopada 2003 roku otwierano tam Muzeum Pokój Brunona Schulza. W tym miejscu muszę wyjaśnić, dlaczego profesor mnie zaprosił. Zналиśmy się od 1978 roku. Był asystentem na filologii polskiej KUL, ja byłem pracownikiem Księgarni Uniwersyteckiej KUL, potem Miejskiej Biblioteki Publicznej. W latach 1998-2002 byłem radnym Rady Miasta Lublina. Z mojej inicjatywy i pod moją redakcją powstała książka „Ścieżki pamięci. Żydowskie miasto w Lublinie – losy, miejsca, historia” (Lublin 2001). Profesor zorganizował w 2002 roku w Lublinie wielką konferencję naukową z wydarzeniami artystycznymi z okazji 110. rocznicy urodzin i 60. rocznicy tragicznej śmierci Brunona Schulza. Profesor był przyjacielem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie, wspierał pionierskie działania dyrektora ośrodka Tomasza Pietrasiewicza skierowane na dokumentowanie i odbudowę pamięci o żydowskim Lublinie. Wobec Pietrasiewicza kierowano wtedy różne, nieuzasadnione zarzuty, profesor delikatnie podkreślał, że trzeba go bronić, i ja też powinienem mieć w tym udział, bo byłem w Komisji Kultury i Zabytków Rady Miasta. Wywiązałem się z tego zadania. Myślę teraz, że moja postawa była motywem zaproszenia do Drohobycza.

Uroczystość odbyła się w przedwojennym budynku Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły (w nim Schulz pracował od 1924 roku), jeszcze wcześniej było tam C.K. Gimnazjum im. Franciszka Józefa (Schulz uczył się tu w latach 1902-1910), a teraz znajduje się rektorat Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. Iwana Franki w Drohobyczu (ulica Iwana Franki 24). Schulz uczył głównie rysunku i robót ręcznych. Sala do nauki rysunku znajdowała się na drugim piętrze, przy niej była niewielka salka (nr 33) służąca Schulzowi za gabinet profesorski. Autentyczność tych lokacji poświadczają dawne sprawozdania gimnazjalne wówczas publikowane co roku, dzisiaj zdi-

talizowane i dostępne publicznie. Właśnie w tym autentycznym gabinecie powstało Muzeum Pokój Brunona Schulza. Ma ono setki eksponatów, ale żadnej chociażby kartki zapisanej ręką Schulza albo skrawka rysunku. W Drohobyczu po Schulzu nie pozostało śladów fizycznych, wszystko zniszczono lub przepadło. Przed salką umieszczono tablicę informacyjną. Otwarcia dokonał ówczesny rektor Walery Skotny, który wspierał pomysły i działania Menioków. Na otwarciu obecni byli Ukraińcy, Żydzi i Polacy, dużo z Lublina. Był konsul generalny RP ze Lwowa Krzysztof Sawicki. Powiedział krótko a mądrze: „Schulz tutaj jest u siebie, ale jest i wszędzie, gdzie jest jego twórczość”.

Wciągnięcie w intrygę Nieskończoności

Powstanie muzeum było pomysłem Igora Menioka (1973-2005) i jego żony Wiery Meniok, już wtedy znaczącej pani adiunkt, wybitnej polonistki, krytyczki literatury, tłumaczki, schulzolożki, którzy wcześniej, 5 listopada 2002 doprowadzili do otwarcia Polonistycznego Centrum Naukowo-Informacyjnego na uniwersytecie drohobyckim. I właśnie oni zainicjowali w 2004 roku Międzynarodowy Festiwal Brunona Schulza w Drohobyczu, odbywa się co dwa lata, w 2024 roku – mimo wojny – odbyła się jego jedenasta edycja. Festiwal sprowadził do Drohobycza cały świat humanistyki i polonistyki, pisarzy i poetów, artystów, w tym tych najważniejszych w Ukrainie.

Otwarcie Muzeum Pokoju Brunona Schulza nastąpiło 19 listopada 2003 roku, w 61. rocznicę tragicznej śmierci pisarza. Bruno Schulz powrócił do swojego gabinetu. Wiele się działo, była konferencja „Schulz i Ukraina”, prof. Władysław Panas wygłosił swój sławny wykład „Bruno Schulz albo intrzyga Nieskończoności”, dostępne są zapisy wideo części wydarzeń. A ja właśnie wtedy, w dawnym gabinecie Schulza poznałem Alfreda Schreyera.

Tak by można było rzec, że rozpoczęła się moja przygoda z kresowym miastem polskim Drohobyczem. Tworzyło ono magiczny trójkąt z pobliskim Boryslawem, zwanym „galicyjską Kalifornią”, gdzie było zagłębie naftowe przynoszące fortuny oraz z Truskawcem, wiodącym kurortem tamtych czasów. Drohobycz – miasto niegdyś, od wieków średnich słynące z żup solnych, na przełomie XIX

i XX wieku stało się bogatą metropolią kwitnącą za sprawą „boskiego narkotyku”, czarnego złota. Marian Hemar (1901-1972), zwany żartobliwie „dramiem z Galicji” (właściwie Jan Marian Hescheles, Żyd polskiego pochodzenia, autor m.in. 3000 popularnych piosenek, tekstów i muzyki, by wymienić tylko „Kiedy znów zakwitną białe bzy”) napisał o Drohobyczu, że to „półtora miasta” – pół polskie, pół żydowskie, pół ukraińskie. Ta często przywoływana wypowiedź Mariana Hemara, bardzo sympatyczna, uroczą, choć wbrew logice matematycznej, przeszła do kanonu symboliki Drohobycza. Artystom można więc.

Bruno Schulz. Kto i gdzie? Drohobycz?

Kim był Bruno Schulz? Polskim zasymilowanym Żydem. Pisał w języku polskim. Do jego znanych utworów należą zbiory opowiadań „Sklepy cynamonowe” i „Sanatorium pod Klepsydrą”, liczne szkice krytyczne, recenzje, teksty polemiczne. Obok Stanisława Ignacego Witkiewicza i Witolda Gombrowicza, z którymi się zresztą przyjaźnił i w publicznych dyskusjach spierał, należy do najwybitniejszych polskich i światowych pisarzy XX wieku. Jego prozę przełożono na ponad 50 języków świata, wciąż ogłaszane są nowe przekłady.

Artyści wielu krajów inspirowali się jego opowiadaniem. Nie są to słowa na wyrost, sięgnę dla przykładu tylko do wybranych polskich dokonanych z kręgu inspiracji muzycznych. W 1976 roku Juliusz Łuciuk napisał operę kameralną „Demiurgos” z librettem według prozy Brunona Schulza. Opery nie wystawiono, natomiast w 1996 roku ukazała się płyta cd z zapisem wykonanym przez Chór Polskiego Radia, solistów i Radiową Orkiestrę Symfoniczną w Krakowie. Autorem drugiej polskiej schulzowskiej opery literackiej jest Zbigniew Rudziński – jego opera w trzech aktach „Manekiny” miała prapremierę w 1981 roku we Wrocławiu. Podczas Międzynarodowego Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu w roku 2008 wykonano prapremierowo utwór kameralny „Mój ojciec wstępuje do strażaków” Daniela Galaya, izraelskiego kompozytora urodzonego w Buenos Aires.

Wielokulturowość w Drohobyczu kipiała jak ziemniaki w garnku, jak muzyka żydowska w Galicji. Wielokulturowość i pieniądze, bogactwo i ne-

dza, nieprawdopodobny tygiel. Ponadprzeciętna ilość osób niezwykłych, wybitnych, zapisanych w historii. Jednakże miasto z czasem popadło w prowincjonalizm. Po rozbiorach Polski było do 1918 roku w składzie CK monarchii, potem w województwie lwowskim RP. Przed 1939 roku mieszkało tu szacunkowo 15 tysięcy Polaków, 17 tysięcy Żydów i 8 tysięcy Ukraińców.

Tutaj się urodzili i stąd pochodzą m.in. bracia malarze Maurycy Gottlieb (1856-1879) – najwybitniejszy artysta żydowski swego czasu – i Leopold Gottlieb (1879-1934) – wybitny reprezentant „Ecole de Paris”, Maurycy Lilien (1874-1925) – grafik, ilustrator, m.in. „Starego Testamentu”, twórca szkoły ilustracji żydowskiej, Franciszek Lachowski (1884-1941) – malarz, autor m.in. malowanej „Historii miasta Drohobycz”, Kazimierz Wierzyński (1894-1959) – poeta, prozaik, eseista, zdobywca złotego medalu za poezję na IX olimpiadzie w Amsterdamie, generał Stanisław Maczek (1892-1994), zresztą kolega Brunona Schulza, siedzieli w szkole w jednej ławce. Dodam jeszcze z wielu, dla przykładu cztery postacie, które trafiły z jakichś powodów do Drohobycza: nauczycielem w drohobyckim gimnazjum był Bronisław Trzaskowski (1820-1906) – językoznawca, pradziadek Rafała Trzaskowskiego, prezydenta Warszawy, Władysław Gomułka (1905-1982) – późniejszy przywódca komunistycznej Polski, kierował młodzieżową organizacją PPS „Siła” w Drohobyczu i był organizatorem strajku naftiarzy; w 1939 roku w drohobyckiej synagodze wzięli ślub urodzona w tym mieście Aliza Arnold (1920-1982) z Menachemem Beginem (1913-1992), późniejszym premierem Izraela, laureatem Nagrody Pokojowej Nobla 1978; w szkołach w Drohobyczu, w tym w gimnazjum pobierał nauki Iwan Franko (1856-1916), ukraiński wieszcz narodowy, wybitny działacz społeczno-polityczny.

Czas wreszcie przedstawić sylwetkę Alfreda Schreyera na tak zarysowanym tle. Oddaję mu głos: *Mój życiorys. Urodziłem się w Drohobyczu 8 maja 1922 r. Lata dziecięce spędziłem w Jaśle, gdzie mój ojciec, dr Beno Schreyer zajmował posadę szefa – chemika w rafinerii ropy naftowej. Wskutek światowego kryzysu w latach 30-tych, rafineria została częściowo unieruchomiona. Stracił więc ojciec pracę i nasza rodzina powróciła do*

Drohobycz. Tu od roku 1932 uczęszczałem do Prywatnego Gimnazjum Polskiego im. H. Sienkiewicza. Opiekunką klasy była p. Józefina Szelińska, nieoficjalna naręczona Brunona Schulza. W 1934 r. wstąpiłem do Gimnazjum Państwowego im. Króla Władysława Jagiełły, gdzie w przeciągu 4 lat byłem uczniem B. Schulza. Podczas okupacji nazistowskiej straciłem całą rodzinę, a ja, będąc więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych w Płaszowie, Gross-Rosen, Buchenwaldzie i jego filii Taneka pod Lipskiem, cudem ocalałem. W 1946 r. powróciłem do Drohobycza. Grałem w orkiestrze drohobyckich kin, ucząc się jednocześnie w Liceum Muzycznym im. Barwińskiego, następnie ukończyłem studia na fakultecie Muzyczno-Pedagogicznym Drohobyckiego Uniwersytetu Pedagogicznego. W przeciągu 42 lat wykładałem w wymienionym wyżej Liceum Muzycznym przedmioty muzyczno-teoretyczne i dyrygowanie. W 1991 r. założyłem chór dziecięco-młodzieżowy „Odrodzenie”. Nagrodzony odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Obecnie na emeryturze. Żona zmarła w 2003 r. Mam córkę, syna oraz dwie wnuczki. Alfred Schreyer.

Pan Alfred Schreyer. Piewca wielokulturowości

Taki życiorys pan Alfred przekazał Wierze Meniok do publikacji w folderze II Międzynarodowego Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu (13-19 listopada 2006). Wtedy, 19 listopada 2006 po raz pierwszy wystąpiło trio Alfreda Schreyera. Miało to miejsce w niedużej salce Galerii Obrazów Muzeum Drohobyczyna przy ul. Strzelców Siczyńskich 18. Obecnie to Galeria Malarstwa Sakralnego. Mocnym atutem sali był sprawny fortepian. Skład następujący, zawsze już taki pozostał: Alfred Schreyer (śpiew i skrzypce), Tadeusz Serwatko (akordeon) – jest Żydem uratowanym z Shoah, wiele lat grał w orkiestrze na wielkim radzieckim transatlantyku, zwiedził cały świat, na koncertach stawał blisko Pana Alfreda, patrząc na niego z uśmiechem pełnym szacunku; Lowa Łobanow – pianista o słuchu absolutnym, kiedy zaczął grać z panem Alfredem, dorabiał do emerytury jako palacz w kotłowni, jedyny w Drohobyczu zna hebrajski. Schreyer rozpoczął tak: *Drohobycz zawsze*

był miastem wielokulturowym i my się tej tradycji dotrzymujemy. Śpiewał po ukraińsku, w jidysz, a po polsku głównie sławne polskie tanga. Ale o repertuarze później.



Spotkaliśmy się kilkanaście razy na Ukrainie, głównie w Drohobyczu i Lwowie oraz kilka razy w Polsce: w Lublinie, Kazimierzu Dolnym, Warszawie, Łęcznej. To były spotkania zawsze na wysokim poziomie, skrzypek był otoczony wielką atencją, szczególnym szacunkiem od naszych par z Polski. Najczęściej nasze spotkania odbywały się w jego domu w Drohobyczu przy ulicy Mickiewicza, często na koncertach, a potem w restauracjach na wykwintnych kolacjach w życzliwym mu towarzystwie Polaków i Ukraińców. Kiedy bywałem w Drohobyczu, zawsze odwiedzałem go w mieszkaniu. Los zrzucił tak, że miał mieszkanie na parterze w tym samym miejscu, gdzie przed wojną jego ojciec Beno Schreyer, pracownik państwowego Polminu, miał swój pokój służbowy. W oknach były wstawione jeszcze przedwojenne kraty. Teraz ta ulica nosi imię Adama Mickiewicza, a przed wojną była to ulica Tarasa Szewczenki. Często opowiadał mi swoje niezliczone historie rodzinne. Ku swojemu i mojemu zdziwieniu sprawdził kiedyś swoje świadectwo szkolne z Prywatnego Gimna-

zjum im. Henryka Sienkiewicza, gdzie był uczniem Józefiny Szelińskiej – z języka polskiego miał wtedy raptem dostateczny. Nie było to łatwe, ale dał się namówić, abym go woził po Drohobyczu, on opowiadał, w jakim pałacu, w jakiej kamienicy, kto mieszkał, kto z kim itd. – a ja nagrywałem i filmowałem. Już nie ma takich ludzi. Pamięć ginie. Był bardzo krytyczny dla przeróbek historycznych budowli miasta, fałszując one jego historię, niszczył kulturę. Niekiedy zamyślał się, teatralnym szeptem powiadał, że proponują mu, aby opuścił Drohobycz i przeniósł się do Niemiec, będzie mu tam bardzo dobrze. Ale ja już w Niemczech raz byłem, dodawał wyjaśnienie, drugi raz nie chcę. Śmiał się, kiedy opowiadał, że musi Polakom poprawiać ich język, niech gadają jak chcą, ale w mediach, w radio trzeba być wzorowym. Wierność Drohobyczowi jeszcze silniej wiązała go z Brunonem Schulzem. W czasie wojny chodził do szkoły 10-letniej w systemie radzieckim. Rodzina pana Alfreda: ojciec, brat i babcia ponieśli śmierć w komorze gazowej, zaś matka i dziadek rozstrzelani zostali w Lesie Bronickim koło Drohobycza. Często podkreślał, że techniczne umiejętności, jakie nabył na zajęciach praktycznych prowadzonych przez Brunona Schulza niejednokrotnie uratowały mu życie w czasach okrutnej wojny, umiał pokazać, że jest przydatny. Kiedy studiował w szkole pedagogicznej w Drohobyczu, jeździł do Lwowa do konserwatorium muzycznego, gdzie – jako student zaoczny – pobierał nauki od Andrzeja Nikodemowicza.

Wraca Nikodemowicz. Prowadzę go na wieżę ratusza

W tym miejscu jestem winny Czytelnikowi jeszcze jedną kontekstową wypowiedź. Dlaczego? Zaraz się dowiemy. Pierwszy ratusz zbudowano w Drohobyczu w XVI wieku. Z początkiem XIX wieku zburzono go, w 1824 postawiono nowy, według planu narzuconego z Wiednia, koszmarny obiekt, przypominający niskie koszary. W latach 1926-29 gmach został radykalnie przebudowany. I tutaj muszę podkreślić, że było to dzieło wybitnych lwowskich architektów – Mariana Nikodemowicza

(1890-1952), ojca kompozytora Andrzeja Nikodemowicza, i Jana Semkowicza (wiadomo, że urodził się w 1887, projektował wille w Truskawcu, Borysławiu i Lwowie, a kiedy zmarł – informacji nie mogę znaleźć). By dalej ciągnąć wątek ratusza, muszę odnotować, że burmistrzem, a potem prezydentem miasta Drohobycza w latach 1908-1937 był Rajmund Jarosz, właściciel spółki Uzdrowisko Truskawiec. W Drohobyczu, tak się dogadywano w II RP, aby miastem kierował Polak, a zastępcą był Żyd, Ukraińcy mieli zaś ważne stanowiska w innych organach władzy publiczno-sądowniczo-biznesowej. Zawarto oficjalne „trójporozumienie”, wygrywało ono wybory lokalne. To w prezydenckim gabinecie Jarosza od 1932 roku wisiały rysunki Brunona Schulza, gdyż ten, kupując prace artysty, wspomagał go w trudnej sytuacji materialnej.

Kiedy przygotowałem Mapę „Bruno Schulz i Drohobycz” (MBP, Lublin, 2009), pokazałem za-



skoczonemu Andrzejowi Nikodemowiczowi notę o ratuszu, i zapytałem, czy wiedział, kto był projektantem ostatniej wersji drohobyckiego magistratu, odpowiedział, że tak – jego ojciec z kolegą. Pociągnąłem dalej wątek ratuszowy, pytając: a czy byłeś kiedykolwiek w Drohobyczu przed wojną i widziałeś ten ratusz? Odpowiedział, że nie. Jednak na wizytę Andrzeja Nikodemowicza w Drohobyczu nie trzeba było długo czekać. W październiku 2010 roku, podczas lwowskiego prestiżowego XXII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Kontrasty”, gospodarze urządzili Nikodemowiczowi wycieczkę do Drohobycza. 85-letni kompozytor musiał wejść „za karę” za zwłokę odwiedzenia Dro-

hobycza, po 285 schodach z córką Małgosią na wieżę ratuszową, którą ojciec Marian, pewnie nie złośliwie, ale jednak podwyższył bardzo w swoim projekcie. Na tarasie widokowym podziwiał Drohobycz i pobliskie góry. To w tym „Nikodemowiczowskim Ratuszu” spotkał się ze swoim dawnym studentem zaocznym z Konserwatorium Muzycznego we Lwowie – Alfredem Schreyerem. To była wielka niespodzianka dla obu wiekowych już panów, bo nie tylko spotkali się pierwszy raz w Drohobyczu, ale i w ratuszu.

Prezydent do Alfreda: czy Pan jeszcze śpiewa?

Trudno mi odtworzyć działalność pedagogiczną Alfreda Schreyera jako nauczyciela muzyki, obecnie to Kolegium Muzyczne im. Wasyła Barwińskiego w Drohobyczu, szkoły cały czas bardzo cenionej w Ukrainie Zachodniej. Sława i powodzenie chodzą zaskakującymi ścieżkami. Alfred Schreyer stał się muzykiem bardzo znanym już na emeryturze, dzięki zamiłowaniu do „lżejszej muzy” oraz dbałości o pamięć o wielokulturowym, polsko-żydowsko-ukraińskim Drohobyczu. Często artyści mogą tylko marzyć o takich sukcesach, jakich się doczekał. Koncertował na legendarnej scenie Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie zapowiadał go sam mistrz, wielki aktor Andrzej Seweryn, wystąpił w Krakowie na koncercie „Szalom na Szerokiej”. Został w 2012 roku uhonorowany Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, wręczał go muzykowi prezydent RP Bronisław Komorowski w ambasadzie polskiej w Kijowie. Komorowski miał nagle zapytać Schreyera „czy pan jeszcze śpiewa?”, na co ten z uśmiechem odpowiedział „a co pan sobie życzy?”. Nienaganne maniere, elegancja, znakomita znajomość języka polskiego, ukraińskiego, niemieckiego i rosyjskiego, fenomenalna pamięć i jasność umysłu, błyskotliwość w rozmowie, czyniły Alfreda Schreyera owym „ostatnim Mohikaniem” Drohobycza jako symbolu wielokulturowych tradycji i wysokich rejestrów osobistych, intelektualnych, narodowych, społecznych.

Jak wylicza Grzegorz Józefczuk, prezes Stowarzyszenia Festiwal Brunona Schulza w Lublinie na stronie Stowarzyszenia, po li-

stopadowym koncercie festiwalowym w 2006 roku trio zostało zaproszone do Lublina właśnie przez Stowarzyszenie Festiwal Brunona Schulza, występując po raz pierwszy w Polsce w Kawiarni Artystycznej Hades 16 marca 2007 roku, tuż przed 85. urodzinami pana Alfreda. I niebawem, już w czerwcu 2007 roku muzycy pojechali na XVII Festiwal Muzyki Żydowskiej do Krakowa i wzięli udział w koncercie „Szalom na Szerokiej”, a 1 lipca Schreyer dał recital w Synagodze Kupa przy Miodowej 27 w Krakowie. 10 lipca 2007 roku wystąpili w synagodze w Kazimierzu Dolnym podczas II Festiwalu Muzyki i Tradycji Klezmerskiej organizowanego przez Knajpę u Fryzjera i Roberta Sulkiewicza. 6 listopada 2007 zaproszono trio do Lwowa na festiwal „Muzyczny Lew”, poświęcony żydowskiej muzyce, piosence i tańcowi. 3 lutego 2008 roku muzycy zagrali na zaproszenie prezydenta miasta po raz drugi w Lublinie, w Trybunale Koronnym podczas uroczystości wręczenia medali „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Z kolei 5 marca 2009 – dzięki inicjatywie malarza Bartłomieja Michałowskiego – trio wystąpiło w Warszawie „U Floriana”. A 7 grudnia 2009 roku – po raz trzeci w Lublinie, w restauracji Mandragora przy Rynku. W lutym 2010 trio zostało zaproszone do Berlina. Pomysł ściągnięcia Alfreda Schreyera do Berlina miał Robin Lautenbach, były korespondent ARD w Polsce, od powrotu do Berlina członek Niemiecko-Polskiego Towarzystwa, który w Lublinie poznał Bartłomieja Michałowskiego. Potem koncertowano w Warszawie, a potem 6 października 2011 roku w mieszczącym się w synagodze Muzeum Regionalnym w Łęcznej, podczas wernisażu wystawy Bartłomieja Michałowskiego. Po nakręceniu filmu Marcina Giżyckiego „Alfred Schreyer z Drohobycza” (premiera 29 listopada 2010 w Warszawie) trio występowało m.in. w Londynie i Wiedniu, w Kielcach, Wrocławiu i Warszawie... i lista ta nie jest kompletna. Prawdopodobnie ostatnim, lecz niepublicznym, występem Alfreda Schreyera był spontaniczny koncert tria 20 listopada 2014 roku w Drohobyczu, podczas kolacji z okazji przyznania Grzegorzowi Józefczukowi doktoratu honoris causa Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. Iwana Franki w Drohobyczu. Uroczystość odbyła się w czasie projektu „Druga Jesień 2014”.

Pożegnanie Ostatniego Mohikanina

Alfred Schreyer zmarł 25 kwietnia 2015 roku w Warszawie. Stało się to po nieszczęśliwym wypadku koło jego domu w Drohobyczu, powstałe urazy głowy, mimo zabiegów w Drohobyczu, a potem leczenia w Warszawie, okazały się śmiertelne.

Pogrzeb Alfreda Schreyera odbył się w Drohobyczu 1 maja 2015 roku, a więc tuż przed jego 93. urodzinami. Uroczystości miały miejsce w synagodze, były niezwykle, ponieważ zgromadziły setki mieszkańców, osób i przedstawicieli różnych narodowości i wyznań, jakby po raz ostatni poprzez ten pogrzeb miał zaistnieć Drohobycz jako „półtora miasta”. Przemawiał Mordechaj Szlomo Bold, rabin Lwowa i Zachodniej Ukrainy oraz Josif Karpin, przewodniczący lokalnej, drohobyckiej organizacji wspólnoty żydowskiej. Żegnali Alfreda Schreyera również Jarosław Drozd, konsul generalny RP we Lwowie i o. Bruno Maria Neumann, polski bonifrat przez lata prowadzący posługę w Drohobyczu. Zaśpiewał dziecięcy chór „Odrodzenie”. Z władz miasta Drohobycza nie wystąpił nikt. Alfred Schreyer spoczął na miejskim cmentarzu w Drohobyczu (ulica 22 Stycznia). Jako dykteryjkę muszę wspomnieć, że kiedykolwiek wyjeżdżałem z Drohobycza do Lublina to zawsze mówiłem do Pana Alfreda: zabraniam Panu umierać, niech Pan czeka na mnie aż przyjadę z Lublina. Przy ostatnim pobycie zapomniałem Mu to powiedzieć.

Wielokulturowość popularna. Urok tanga

Alfred Schreyer śpiewał sławne szlagiery, stare piosenki żydowskie, polskie i ukraińskie. Zawsze wykonywał najpierw utwory Mordechaja Gebirtiga (1877-1942), ludowego pieśniarza żydowskiego jidysz, zwanego trubadurem Galicji, takie jak żydowskie „Kinder yorn”. To utwory niezbyt znane ani w Polsce, a tym bardziej w Ukrainie. Schreyer nie znał jidysz, śpiewał tekst z kartki, przejmująco. Zawsze pamiętał o kulturze ukraińskiej, dlatego po ukraińsku śpiewał m.in. wiersze Iwana Franki, wielkiego poety urodzonego nieopodal Drohobycza, jak ten wzruszająco romantyczny „Och, ty dziewczyno jak ziarno orzecha”. Ale nas najbardziej fascynowały polskie tanga, takie jak „Przy kominku”, czy „Szkoda lata” oraz piosenki

z pogranicza sceny kabaretowej w stylu „Gdy Dorota gra fokstrota” (z drohobycko-lwowskiego środowiska muzycznego). Z czasem Alfred Schreyer przygotował również imponujący repertuar fragmentów polskich piosenek patriotycznych, żołnierskich i ludowych melodii, wiązanek trudną do usłyszenia w Polsce. Zaczynając od „Pierwszej Brygady”, a kończąc na lekcji tradycji ludowej, czyli wykonaniu frazy z kujawiaka, mazurka, oberka czy krakowiaka. Schreyer podkreślał swe korzenie i przynależność do dawnej epoki wielokulturowego świata, który odszedł, przede wszystkim zniszczony przez wojny, Holokaust, komunizm i nacjonalizmy.

Płyty, filmy, zapisy, artykuły. Setki relacji

W 2012 roku ukazała się płyta CD „Alfred Schreyer Trio” będąca zapisem wielkiego koncertu w Teatrze Polskim w Warszawie. Wydawcą płyty było Studio Linguae Anny Żurowicz, która pozyskała wielu sprzymierzeńców tej pięknej inicjatywy. Wcześniej nagrano Schreyerowi płytę we Lwowie, lecz było to wydawnictwo amatorskie. Powstały dwa pełnometrażowe filmy dokumentalne poświęcone jemu wyłącznie. Film, dokument biograficzny „Alfred Schreyer z Drohobycza” w reżyserii Marcina Giżyckiego (współpraca Małgorzata Sady) powstał w 2010 roku. To film polski, trwa 44 minuty. Link do filmu: <https://vod.pl/filmy-dokumentalne/alfred-schreyer-z-drohobycza/tcdqpjz>. W 2011 zrealizowano film austriacki, reżyserem i producentem był Paul Rosdy (jego żona pochodzi z Drohobycza). To film „Der letzte Jude von Drohobytsh” („The Last Jew from Drohobych”, czyli „Ostatni Żyd z Drohobycza”). Dokument trwa 94 minuty. Link do zapowiedzi: <https://vimeo.com/ondemand/dljvd>, <https://vimeo.com/ondemand/thelastjewfromdrohobych/390320867>.

Kto chciałby zapoznać się z biografią i twórczością Alfreda Schreyera, polecamy zapisy w polskich archiwaliach. Są to rozbudowane relacje oraz zapisy video. Zapis w archiwum ośrodka Karta: https://osa.archiwa.org/jednostki/PL_1001_AHM_PnW_1443_0001. Archiwum Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” <https://biblioteka.teatrnn.pl/publication/38173>.

Tekst i fot. Jerzy Jacek Bojarski

Danuta Żukowska

Historia warta upamiętnienia wg Danuty Żukowskiej

*Z pamięci o bliskich utkana jest
nasza tożsamość*

Karel Čapek



Historia ulicy Kilińskiego zaczyna się w 1929 roku. Poprzednio nazywała się Szewska, być może dlatego, że wśród mieszkańców było ponad dziesięciu szewców. Usytuowanie ulicy to historyczny trakt zaczynający się od Łęczycy nad Bzurą z północy na południe, dalej ulicą Piotrkowską w Łodzi i ciągnie się w stronę Zamościa przez Krasnystaw, Lublin aż na Litwę.

Za czasów króla Kazimierza Wielkiego zbudowano w Krasnymstawie zamek w odległości około 700 metrów od drewnianego grodu. Trakt jest wspomniany w „Potopie” Henryka Sienkiewicza, a nazwa miasta Krasnystaw występuje ponad 20 razy.

Patronem ulicy został Jan Kiliński, który z zawodu był szewcem. Mistrz szewski w randze pułkownika uczestniczył w insurekcji warszawskiej i wykazał się bohaterską postawą w zdobyciu Arsenału. Pochodził z Wielkopolski, urodził się w 1760 roku w Trzemesznie. Przeniósł się do Warszawy, był radnym miasta (stolicy). Wśród wielu medali przedstawiających sławnego Polaka, jakie wybito na przestrzeni ostatniego wieku, jeden z nich jest ważnym odznaczeniem jako Medal im. Jana Kilińskiego przyznawany za zasługi dla rzemiosła polskiego. Oprócz niego istnieje również Szabla Kilińskiego będąca najwyższym odznaczeniem w dziedzinie rzemiosła. Imieniem tego bohatera i patrioty nazwane zostały ulice, place i szkoły. Zmarł w 1819 roku, został pochowany na Powązkach. Jan Matejko uwiecznił bohatera w obrazie „Bitwa pod Racławicami”.

Trakt łęczyński od Zamościa przez Krasnystaw z ulicy Lwowskiej skręca na ul. Grobla, stamtąd przez most przy nieistniejącym zamku do ulicy Mokrej (obecnie ul. Leonida Gawryłowa). Część I traktu, czyli odcinek od ul. Gawryłowa do Kościuszki była brukowana.

Trakt od przecięcia ul. Kościuszki skręca w prawo w stronę Stężycy, natomiast ul. Kilińskiego po przecięciu ul. Kościuszki ciągnie się prosto do ul. Szkolnej i kończy się na wprost dawnego budynku szkoły nr 1 – dzisiaj „Caritas”. Trakt w stronę Stężycy był drogą polną.

Przedstawiam mieszkańców mojej (i ich) ulicy od prawej strony tj. ul. Mokrej do ul. Szkolnej – przeciętą drogą przez ul. Kościuszki:

1. Państwo Anna i Romuald Płużańscy – mieli córkę Halinę i dwóch synów Marcina i Andrzeja. Pan Płużański był doświadczonym pszczelarzem. Córka była żoną profesora liceum Stanisława Kosmowskiego. Marka, ich syna uczyłam języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 1. On także był nauczycielem – anglistą w LO, w którym nadal pracuje jako polonista jego żona Anna.
2. Państwo Lila i Józef Kociubowie – adwokat; mieli trzech synów: Wojciecha, Leonarda i Mariusza. Leonard był prawnikiem. Później mieszkali poza Krasnymstawem.
3. Państwo Maria i Stanisław Kociubowie, mieli córkę Irenę – wyjechała do Łodzi.

W dalszej części ulicy, w kierunku ul. Szkolnej, stał duży drewniany, wielorodzinny dom, w którym mieszkało pięć rodzin. Dzisiaj to miejsce jest puste, a obok wybudowany został drewniany dom.

4. Pani Tymoszków z synem Olafem (starszych dwu córek nie znałam). Ojciec był nauczycielem, zmarł zaraz po wojnie, gdy Olaf był nieletnim chłopcem, moim kolegą z podwórka. Starszy Michał był architektem w Krasnymstawie. Olaf został pilotem w stopniu pułkownika. Ogółem latał ponad 30 lat, a jako emeryt latał na samolotach pasażerskich. Dla uczczenia roku 1956 posadził przed domem dąb – dzisiaj drzewo ma 69 lat, plac po domu jest pusty. Złożyłam pismo w Urzędzie Miasta, by umieszczono tabliczkę informacyjną, że jest to pomnik przyrody, ale odpisano mi, że to drzewo jeszcze się nie kwalifikuje do zabytków.
5. Druga rodzina to państwo Anastazja i Bazyli Wrońscy, ich dzieci to Stanisław, Tadeusz i Teresa. Z czasem przenieśli się do bloku przy ul. Okrzei. Z Tadeuszem uczęszczałam do Szko-

- ły Podstawowej nr. 1 im. Adama Mickiewicza.
6. Trzecia rodzina to państwo Witkowie. Znałam tylko córkę Bożenę, która jest emerytowaną nauczycielką. Mieszka przy ul. Okrzei.
 7. Państwo Gutowie mieli czworo dzieci: dwóch synów i dwie córki: Krystynę i Annę. Imion chłopców nie znam.
 8. Krótko mieszkali państwo Gospodarkowie, także przenieśli się do bloku.
 9. Państwo Wójcikowie, Leokadia i Jan, pracownik młyna, mieli córkę Jadwigę i syna Waldemara. Oboje założyli własne rodziny.
 10. Państwo Maria i Walenty Tchórzewscy, bezdzietni. Pan Walenty był szewcem, zbudował na swojej działce kościółek wyznania narodowego. Spotkanie organizacyjne (nielegalne) odbyło się 5 marca 1930 roku. Grupę inicjatywną rozwiązano przez policję jeszcze tego samego miesiąca – 30 marca, gdyż sąsiedzi byli przeciwni temu wyznaniu. Podczas II wojny światowej kościółek zbombardowano i już go nie odbudowano. Działka od niedawna ma właściciela, który na niej zbudował dom. U państwa Tchórzewskich lokatorką była pani Stanisława Zamorska z córkami Marią i Janiną. Obie mieszkają w blokach.
 11. Państwo Marianna i Euzebiusz Bąkowie mieli dwie córki – Bożenę i młodszą Lilę. Bożena nadal mieszka w domu rodziców. Lila z mężem mają własny dom przy ulicy Bojarczuka. Matka pana Euzebiusza wynajmowała mieszkanie od podwórza
 12. Państwu Józefie i Michałowi Woznyj z czworgiem dzieci: najstarsza córka Janina moja przyjaciółka ukończyła Liceum Pedagogiczne w Piaskach i dostała nakaz pracy k. Wrocławia, uczyła matematyki, dłuższy czas kierowała szkołą podstawową i nadal tam mieszka. Ma córkę i syna oraz wnuki. Jesteśmy w stałym kontakcie. Rodzeństwo Janiny: brat Marian, siostra Wanda i brat Andrzej. Obaj bracia nie żyją, Wanda mieszka w Krakowie.
 13. Państwo Leokadia i Franciszek Kociubowie, szewc – mieli dwoje dzieci: Halinę i Romana oraz lokatorów:
 14. Panią Stasiuk z córką Marią, która wyszła za pana Rzepkę. Później zamieszkali w bloku przy ul. Okrzei.
 15. Państwo Janina i Marian Weremczukowie (krawiec) mieli syna Wiesława, którego uczyłam w Szkole Podstawowej nr 1.
 16. Państwo Agata i Jan Krzakowie mieli gospodarstwo. Ich dzieci to syn Zygmunt i trzy córki: Maria, Irena i Danuta. Tylko Zygmunt pozostał w Krasnymstawie, był kierowcą wiele lat, ma dwie córki: Ewę, która jest pielęgniarką i mieszka w Krasnymstawie. Młodszej nie znam.
 17. Państwo Agata i Franciszek Drozdalscy mieli pięcioro dzieci: Agatę (żona ww. Jana Krzaka), Wiktorię, Leona, Tomasza i Teklę – starsi ode mnie i ich nie znałam, oprócz Agaty sąsiadki, która mieszkała z rodziną naprzeciw mojego domu.
 18. Państwo Stanisława i Mieczysław Gromniccy – jej dzieci to 4 córki. Pani Stanisława wdowa, której mąż osierocił rodzinę, był wojskowym. Pan Mieczysław był drugim kochającym i kochanym mężem, ojcem i dziadkiem w tej rodzinie. Córki pani Stanisławy to położna Krystyna – szkołę ukończyła we Lwowie. Jadwiga i Zofia mieszkają w Łodzi, a najmłodsza Barbara Jańczak-Leśnikowska zajmowała się domem, mąż był krawcem, mieli dwoje dzieci – Renatę i Marka. Dzieci pani Krystyny – Edward i Lucyna mieszkają poza Krasnymstawem. Edward był marynarzem, Lucyna dziennikarką. Mam z nimi nadal przyjazny kontakt. Wiele zawdzięczam Lucynie – pomogła mojej córce Izabelli w chorobie (kręgosłupa). Spełnia się porzekadło, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.
 19. Państwo Świętosławscy – bezdzietni. Pan był szewcem. Nie znałam tych ludzi.
 20. Państwo Maria i Wincenty Markuszewscy – również bezdzietni. Pan Wincenty był szewcem. Wynajmowali mieszkanie państwu Helenie i Władysławowi Poniatowskiemu z córkami: Jadwigą, Ireną i Alfredą oraz państwu Natalii i Zdzisławowi Galewskim z dwojgiem dzieci. Ci ostatni w latach sześćdziesiątych XX wieku wyjechali do Warszawy.
 21. Krótko mieszkali państwo Krystyna i Stanisław Wysoccy z dwojgiem dzieci.
 22. Pani Staszczak z domu Kozyrńska, była wdową i mieszkała z synem Leszkiem.

Lewa strona ulicy Kilińskiego od ul. Mokrej – (dzisiaj L. Gawryłowa) do ulicy Szkolnej:

1. Państwo Stanisława i Jan Bielezowie – szewc. Synowie Andrzej i Jan, którego byłem wychowawczynią w Szkole Podstawowej nr 1, gdzie uczyłam języka polskiego. Pani Stanisława pracowała w szpitalu na chirurgii.
2. Państwo Stanisława i Zygmunt Basińscy mieli trzech synów: Zbigniewa, Tadeusza i Bogdana. Tadeusz emerytowany lekarz, jego syn Piotr kardiolog mieszka w Zamościu i przyjmuje w Zamościu, Lublinie oraz Krasnymstawie.

Po przejściu przez ulicę Kościuszki, z lewej strony stoi opuszczony dom. Kiedyś własność pani Bąk – matki Euzebiusza, dzisiaj własność państwa Siwaków, których syna Leona byłem wychowawczynią i uczyłam języka polskiego.

3. Państwo Janina i Roman Czerwińscy. Stanisław Czerwiński (ojciec Romana) był szewcem. Państwo Czerwińscy mieli córkę Alinę i syna Władysława. Kol. Alina z zawodu pielęgniarka pracowała w ZOZ-ie w Krasnymstawie. Była żoną Bogdana Gadomskiego, nauczyciela w Technikum Rolniczym, ma syna Tomasza.
4. Państwo Marianna i Stanisław Mataczyńscy i matka pani – Marianna Galewska. Pan Stanisław był stolarzem i z czasem został pracownikiem ZOZ-u. Państwo Mataczyńscy mieli dwóch synów Andrzeja i Janusza. Andrzej jest emerytowanym wojskowym i mieszka poza Krasnymstawem. Janusz nie żyje, był nauczycielem muzyki.
5. Państwo Helena i Władysław Hawrylecy mieli czterech synów: Kaliksta, Witolda, Stanisława i Czesława. Przy ul. Kilińskiego mieszkał Kalikst z żoną Ireną z domu Poniatowską, mieli trzech synów: Wiesława (inżynier), Czesława (prawnik) i Zbigniewa, który pozostał przy rodzicach. Czesław z żoną Zofią z domu Omiotek mieli trzy córki: Annę (mieszka w Warszawie), Danutę (w Lublinie) i Barbarę (przy rodzicach), aktualnie emerytkę. Witolda i Stanisława Hawryleckich nie znałam.
6. Państwo Waleria i Jan Smolirowie – szewc, dzieci: Roman, Janina, Adolf i Kazimiera. Janina, pracując w Lublinie, poznała Józefa

Karwowskiego, z którym po ślubie osiedlili się w Kraśniku, mieli czworo dzieci. Pozostali, już nieżyjący mieszkali w Krasnymstawie. Najmłodsza Kazimiera poślubiła Aleksandra Marszyckiego, mieli pięcioro dzieci: Danutę, Jerzego, Marię, Annę i Krystynę. Dziewczęta pozostały w Krasnymstawie, wyszły za mąż, mają dzieci i są emerytkami. Danuta jest żoną Czesława Żukowskiego, mają dwoje dzieci: Artura – mieszka w Lublinie z rodziną i Izabellę, z którą mieszkają i stanowią czteropokoleniową rodzinę. Przy ul. Kilińskiego, w tym samym domu mieszkał stryj Aleksandra, Jan Marszycki, który przez 55 lat pracował sędzią w Krasnymstawie, pełniąc obowiązki woźnego trybunału, gdyż jako jedyny znał język starocerkiewny i przygotowywał archiwalne dokumenty niezbędne w rozprawach sądowych. Do końca swych dni pozostał kawalerem, gdyż poświęcił swoje życie pracy zawodowej i pomocy rodzinie brata Władysława. Był rycerzem Niepokalanej, pieszo uczęszczał na pielgrzymki do Matki Bożej Siewnej w Chełmie. Stateczny człowiek, bez nałogów, wykształcił bratanka Mariana Marszyckiego, który będąc pilotem, walczył w bitwie o Anglię w dywizjonie 315 poznańskim w stopniu kapitana. Jan Marszycki wyróżniał się osobistą kulturą i szacunkiem do drugiego człowieka. Odchodząc na emeryturę, otrzymał „w nagrodę” flanelową koszulę. Siedzibą sądu były pomieszczenia w kamienicy pana Jańczaka (więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego) I piętro przy ul. Poniatowskiego, a obecnie, obok więzienia sąd ma własną siedzibę wraz z prokuraturą przy ul. Poniatowskiego.

7. Wdowa Aniela Pruszkowska, rodzona siostra Walerii Smoliry, mieszkała w tym samym domu. Syn jej Zdzisław ożenił się z Jadwigą Stolecką i zamieszkali na Górach. W tym też domu mieszkali: Michał Smolira, kawaler, szewc. Waclaw Smolek – kawaler, szewc. Feliksa i Adolf Smolirowie z dziećmi: Wiesławą i Bogdanem – z czasem przenieśli się do własnego domu, w którym mieszka z synem Wiesława, wdowa po Andrzeju Hoduniu.
8. Rodzina Marianny i Franciszka Galewskich – trzech synów: Tadeusz (weterynarz) Edmund

- (przy rodzicach) i Zdzisław, który z rodziną wyjechał do Warszawy, był pracownikiem poczty na Woli, miał dwoje dzieci.
9. Rodzina Janiny i Franciszka Ciołków, z zawodu był cenionym stolarzem, wzorowym ojcem rodziny, a z zamiłowania poetą. Dzieci: Andrzej, Florian (inżynier), Elżbieta (nauczycielka), Grzegorz (pracował w więzieniu), Urszula (zmarła w młodości) i Marcin (wyjechał z Krasnegostawu). Pan Franciszek był pracownikiem – stolarzem w Pracowni Dydaktycznej Wydziału Oświaty, którą założył pan Wacław Hus.
 10. Rodzina Michaliny i Stanisława Nowińskich – był szewcem. Dzieci: Dionizy, Florentyna (po mężu Lizut), Maria i Stefan. Znałam rodzinę pana Dionizego i jego żonę, mieli dwie córki: Annę i Krystynę Wasiłuk, która ma troje dorosłych dzieci: synów Piotra i Pawła oraz córkę Magdalenę – wszyscy mają własne rodziny. Na tej samej posesji mieszkało kilka rodzin, ale nie mam na ich temat wiadomości.
 11. Rodzina Zofii i Jana Wiącka – był szewcem, p. Zofia – krawcową, mieli syna Kazimierza. Opuścili Krasnystaw i zamieszkali w Lublinie przy ul. Narutowicza.
 12. Państwo Zofia i Stanisław Lorenczy z córką Ireną. Pan Lorencki był pracownikiem Poczty Polskiej w Krasnymstawie. Pani Irena poślubiła lekarza Zbigniewa Miszczuka, mieli córkę Bożenę, która jest emerytowanym lekarzem pediatrą i nadal pracuje w krasnostawskim ZOZ-ie. Poślubiła Jerzego Gawlikowskiego, który jest emerytowanym prawnikiem i w Krasnymstawie pełnił funkcję prokuratora. Mieszkają przy ul. Matysiaka (dawna Sikorskiego), mają syna. Maciej mieszka ze swoją rodziną w Lublinie.
 13. Państwo Zofia i Józef Pilipczukowie – dzieci Jan i Halina. Pan Józef był więźniem obozu koncentracyjnego w Niemczech. Późno wrócił z niewoli, ale doczekał jeszcze narodzin córki. Halina mieszka na Przedmieściu Góry, mamy kontakt.
 14. Państwo Marianna i Józef Lewandowscy – szewc, bezdzietni. Pan Józef z pierwszego małżeństwa miał córkę, która poślubiła Edwarda Malinowskiego, zamieszkali obok ojca pani

Eugenii z d. Lewandowskiej. Mieli troje dzieci: Leokadię, Annę i Marka; nie znam ich losu.

Ogółem w czasie, gdy byłam mieszkanką ulicy Kilińskiego było 36 rodzin w tym 11 szewców. Mieszkańcy żyli w zgodzie, bez nałogów, pracowici, godnie wychowali swoje dzieci i dumna jestem, że wzrosłam w opisanym przeze mnie środowisku. Do dzisiaj mam kontakt z koleżankami – przyjaciółkami z młodości. Młodzież zdobyła szczytne zawody i wzorowo wywiązała się w życiu tak osobistym, jak i społecznym.

Ulica Kilińskiego mojego dzieciństwa była polną drogą. Po wojnie wymagała pełnego uzbrojenia; brak światła, wodociągu i twardej nawierzchni utrudniała życie mieszkańcom. Przeważały domy kryte słomą.

W 1976 roku założono sieć wodociągową wg projektu inż. Czesława Żukowskiego, mojego męża. Światło pojawiło się w 1948-50 roku. Działał radiowęzeł, nie było telefonów. W razie potrzeby udostępniał go pan Matla – kierownik młyna z ul. Szkolnej.

Wodę kupowano od życzliwego sąsiada lub wozivody, których było kilku w Krasnymstawie, a pobierali źródlaną wodę ze stoków przy ul. Stokowej – osiedle Góry. Za wiadro wody płacono 50 groszy. Bieliznę płukało się w czystej wówczas rzece Wieprz, a w celach gospodarczych przynosiło się wodę z rzeki na nosidlach. Wielką pomocą po wojnie dla rodzin była hodowla świń. W jatkach w centrum miasta sprzedawano nadwyżkę mięsa. Ubojnia była przy ul. Przemysłowej (pomieszczenie zmodernizowano na dom weselny). W jatkach są ogromne (tak widziało dziecko) piwnice na lód niezbędny do zamrażania mięsa. Lód pozyskiwany był z rzeki. Zimy w czasie mego dzieciństwa i młodości były bardzo mroźne i śnieżne.

W artykuły spożywcze zaopatrywał sklepik znajdującym się *vis a vis* domu (po przekątnej skrzyżowania), w którym mieszkało wspomnianych pięć rodzin. Większą ofertę posiadał nieco dalej położony sklep pod nazwą „Świt” (niebawem zostanie wyburzony). Chętnie odwiedzany był również dobrze zaopatrzony spożywcza znajdujący się w budynku więzienia przy ul. Poniatowskiego. Prowadziła do niego niepozorna ścieżka łącząca obie ulice do momentu gdy właściciel posesji (Cech Rzemiosł Różnych) nie zablokował przejścia.

Dzieci z ul. Kilińskiego latem miały frajdę po deszczu: z błota robiło się podkolanka, rękawiczki, tworzyło się jeziorka i ślizgawki. Grało się w klasy, w zbijanego, cymbergaja, taśmę i państwa-miasta. Wieczorami uganiał się ścieżkami wśród ogrodów, bawiąc się w „policjanta i złodzieja”. Złapani szukali tych, którzy się chowali. Prowadziliśmy konkurs „kto więcej książek przeczyta” a po „Hrabiego Monte Christo” trzeba było zapisać się w kolejkę, bo biblioteka miejska miała tylko jeden egzemplarz. Dzisiaj takich zabaw młodzież nie zna, ani nikt nie pamięta ogólnopolskiej akcji – „Cały naród buduje swoją stolicę”; zbieraliśmy makulaturę, szmaty, butelki, złom. Znaleźliśmy pod lasem niewypał i dlatego została zabroniona zbiórka metali. Nasza Szkoła Podstawowa nr 1 im. A. Mickiewicza zajęła I miejsce w Polsce w tej akcji, a nagrodę odebrała nauczycielka pani Waleria Barańska. W grupie szkół średnich I miejsce zajęło Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie – nagrodę, także w Warszawie, odebrała prof. Zofia Vogelgezang.

Wychowanie otrzymaliśmy nie tylko z domu, ale i ze szkoły od mądrych i szlachetnych nauczycieli i księdza Stanisława Ciołka. Szczegól-

ną osobowością odznaczał się: Joanna Świech – kierownik, Aleksandra Prokopowicz – matematyk, ale uczyła także chemii, biologii i prowadziła konkurs na najładniejszy ogródek danej klasy. Pan Włodzimierz Daszczyszak uczył j. rosyjskiego, fizyki i prowadził szkolny chór, którego byłam solistką. Od klasy czwartej występowałam w wieczornicach o patronie szkoły. Były to uroczyste przedstawienia poezji i śpiew ballad A. Mickiewicza – montaż słowno-muzyczny zawsze rozpoczynany polonezem Ogińskiego. Był to najmiłszy czas mojej nauki, gdzie oprócz wiedzy poznałam historię Polski, piękno ziemi ojczystej i kulturę, którą rozwijałam przez całe życie zawodowe. Stworzyłam przy pomocy władz oświatowych Młodzieżowy Dom Kultury w Krasnymstawie, który nadal ma niefortunną lokalizację, a była szansa na uzyskanie budynku po dawnym Komitecie PZPR. Podstępnie przekazano lokum, tworząc zbędne II Liceum Ogólnokształcące. Układy personalne często są przeszkodą dla dobra społecznego.

Danuta Żukowska

PS. Dziękuję Panu doktorowi Arturowi Borzęckiemu za rejestr szewców – byłych mieszkańców mo-

jej ulicy, Panu Andrzejowi Płużańskiemu za wiadomości o rodzicach, Pani Barbarze Sosnowskiej za wiadomości o rodzinie Bieleśzów, Panu Markowi Kosmowskiemu za wspomnienia o niezwykłym dziadku, Panu doktorowi Piotrowi Basińskiemu, kardiologowi za informację o rodzinie, i wszystkim osobom, które przekazały mi niezbędną wiedzę o mieszkańcach.



Domy przy ul. Kilińskiego w Krasnymstawie. Lato około 1960 roku. Fot. jest własnością autorki, wykonał je Zbigniew Uchnast – miejscowy korespondent regionalnej prasy. W pierwszym domu od lewej mieszkalam do roku 1966. Przed domem siedzą Waleria Smolira i Feliksa Smolira (żona Adolfa – syna Walerii i Jana). Na pierwszym planie, od lewej stoi pani Basińska (żona Feliksa z Grobli), Zdzisław Pruszkowski (syn Amelii – siostry Walerii), trzeciej osoby oraz dwóch chłopców nie znam. W tle pośrodku znajduje się dom pp. Tchórzewskich, a po prawej stronie część domu pp. Hawryleckich.

Marta Kafarska

Moje wspomnienia



Muszę przyznać, że inspiracją, impulsem do napisania tego tekstu był mój powrót wraz z synem Andrzejem z Lublina do domu. Byliśmy już na ul. Kościuszki, gdy nagle syn skręcił w lewo w ul. Leonida Gawryłowa zainteresowany rozpoczętą budową nowej przeprawy mostowej. Jadąc wzdłuż rzeki Wieprz w kierunku ul. Mostowej, miałam możliwość zobaczyć, obecnie opustoszałe miejsce po scenie amfiteatru, gdzie często uczestniczyłam w różnych imprezach, między innymi chmielakowych. Jednocześnie zobaczyłam zdewastowane, zniszczone ławki a właściwie tylko betonowy plac i stopnie widowni.

Sprawa, o której pisałam kiedyś w „Nestorze” ożyła we mnie ponownie. To miejsce tętniło kiedyś życiem. Pamiętam olbrzymie tłumy, które ciągnęły na organizowane imprezy w ówczesnym amfiteatrze. Ten przybytek kultury został następnie zniszczony przez podpalenie a sprawców nie ustalono. Był rok 2005. Mimo, że amfiteatr był ubezpieczony, odszkodowanie nie zostało wykorzystane zgodnie z właściwościami i odbudowy nie podjęto, a szkoda. Ławki jednak nie uległy spaleniowi. Po tym zdarzeniu miejsce to było jeszcze zadbane i w miarę potrzeb wykorzystywane dzięki dostawianej scenie. Trwało to jednak bardzo krótko.

W tej chwili mija już 20 lat odkąd amfiteatr był centrum kulturalnego życia i wypoczynku mieszkańców naszego miasta i nie tylko. Było tam kilka tysięcy miejsc siedzących. Miejska starówka w porównaniu z nim to przysłowiowa kropla w morzu. Miejsce było idealne, jakby wymarzone na amfiteatr i mówiąc językiem Fredry nikomu nie „wadziło”.

Myślę, że po tym zdarzeniu, zorganizowanie imprezy chmielakowej nie było i nie jest łatwe. Starówka nocą powinna być dla jej mieszkańców, szczególnie starszych, oazą ciszy i spokoju. Dworek starościański to zabytek i też nie jest odpowiednim rejonem na organizowanie wielkich imprez. Moim zdaniem te miejsca mogą być tyl-

ko uzupełnieniem dla organizatorów Chmielaków Krasnostawskich.

Dziwi mnie jednak fakt, dlaczego po spaleniu sceny amfiteatru nie podjęto żadnych działań zmierzających do odbudowy tego obiektu, a wręcz było to niedbalstwo, które doprowadziło do zniszczenia także widowni, która uchroniła się od spalenia. Przecież jest to mienie publiczne.

W moim odczuciu jest to przykre dla mieszkańców naszego miasta, gdyż jak pamiętam, zniszczony amfiteatr powstał w wyniku wkładu mieszkańców w tzw. czynnie społecznym. W związku z tym mniejsze środki pochodziły z budżetu miasta. Jak pamiętam, wielkie zaangażowanie w budowę amfiteatru i duże zasługi wniósł m.in. śp. Adam Matczuk, mąż śp. znanej lekarki.

Dzisiaj pozazdrościć można gminom Sienica Różana, Izbica i Łopiennik Górny, które są w posiadaniu tego typu obiektów na potrzeby kulturalne. Przekornie mówiąc dobrze się stało, że miejsce naszego dawnego, pięknego amfiteatru jest na uboczu i nie straszy obecnym widokiem mieszkańców, a także przejezdnych podążających główną trasą.

Myślę jednak, że w związku z podjęciem przez obecne władze bardzo dużej, drogiej i niezwykle ważnej inwestycji związanej z przeprawą przez rzekę Wieprz i budową nowego, trzeciego mostu, przyjdzie także czas na odbudowę amfiteatru i rewitalizację tego tak pięknego kiedyś miejsca.

Marta Kafarska



Amfiteatr (fot. ze zbiorów rodzinnych).

Andrzej Stanisław Adamczuk

**„Idziemy na Niemienice?!”
Z cyklu: „Mój Jaślików”**



Kiedy słońce już nie miało żadnego umiaru w świadczeniu swoich letnich „obowiązków”, z nieba lał się żar, wiatru żadnego nawet „na lekarstwo”, liście na drzewach wiszały bez ruchu – jak ozdoby choinkowe – padała propozycja: – „Idziemy na Niemienice?!”. Takie to niby stwierdzenie, niby pytanie retoryczne, od razu było wiadomo, że – Idziemy! I nie chodziło tutaj o to, żeby „najechać” Niemienice zbrojną hordą, ale przecież o to, żeby „zwalić się” do Niemienic – owszem, całą hordą, ale spragnioną kąpeli w prawdziwej rzece.

Niemienice – wieś za lasem, oddalona o ~3 km na południe od Jaślikowa. Przez Niemienice płynie rzeczka Żółkiewka – lewy dopływ Wieprza i to ta mała rzeczka była przedmiotem naszego pożądania i celem pielgrzymek w skwarliwie letnie dni. Jak myśmcy zazdrościli ludziom z Niemienic, że mają tę rzeczkę...

Mieliśmy wprowadzić swój kawałek wody, wspominany już wcześniej Stok, ale warunki do kąpeli w naszym Stoku były marne, a w zasadzie bardzo siermiężne i nie mogły zadowolić nawet bardzo niewymagających amatorów igraszek wodnych. Jeden z nielicznych, który nie skarżył się na warunki do kąpeli w Stoku, był koń Felka Fornala zwany „Karolem”.

Zwykle Karol był koniem posłusznym, z dużą powagą człapał spokojnie za Felkiem do wodopoju, ale w upalne dni i na widok lustra wody, budziła się w nim nieodparta chęć zażycia kąpeli „nieskrępowanej”. Nie pomagała wtedy żadna perswazja Felka ani środki przymusu bezpośredniego. Karol wlaził do bardzo płytkiego, małego i błotnistego Stoczku, wywracał się „kołami” do góry i wyczyniał w tym błotnym spa takie fanaberie kąpielowe, że kibice na brzegu „rżeli” z uciechy razem z zadowolonym Karolem. Felkowi pozostało jedynie czekać cierpliwie na brzegu, aż Karol dokończy rytuału błotnej kąpeli.

Gdy w końcu Karol wylaził ze Stoczka, umazany błotem jak nieszczęście, zanim go

Felek napoił, musiał zmyć z niego to całe błoto, a trudno było znaleźć miejsce na Karolu gdzie błota nie było. Felek czerpał wiadrem, zimną i krystalicznie czystą wodę ze źródła, chlustał na Karola, a ten rżał z uciechy, traktując to jako zabieg uzupełniający po podstawowym zabiegu w błotnym „spa”. Po tym wszystkim szli zgodnie obaj do domu. Ale czasami Karol, mokry jeszcze po zabiegach pielęgnacyjnych, nagle zapragnął wytarzać się w drogowym kurzu, a tego na drodze latem nie brakowało, i wprowadzał zamiar w czyn. Felkowi ręce opadały i wracał z Karolem do Stoku, żeby wylać kolejnych parę wiader wody na jego cielsko, oblepione drogowym kurzem, ten rżał, jak tylko konie potrafią i już bez przeszkód wracali do stajni.

Podczas tych letnich skwarów, w przerwie obiadowego odpoczynku po pracy w polu, amatorzy kąpeli skrzykiwali się w grupę i szli „na Niemienice” – piechotą, rowerami, czasami motocyklem. Przejście tego kawałka na piechotę, to jakieś 30 minut intensywnego marszu.

Szliśmy polną drogą koło Franka Korczyńskiego w kierunku lasu, droga początkowo równa, w połowie odcinka zaczynała się wznosić i „straszyc” wyrwami głębokich kolein wyrzeźbionych przez spływającą z góry wodę deszczową. Na końcu wzniesienia zaczynał się las niemienicki, gdzie droga wlażała do głębokiego wądołu, kilkadziesiąt metrów wądołem przez gęsty dziki las i już były Niemienice. A leśny wądół był przepiękny! Wąską i wijącą się drogę trzymały w ryzach gliniaste urwiska, wysokie na kilka, miejscami nawet kilkanaście metrów. Brzegi tych urwisk gęsto utkane były korzeniami drzew rosnących na szczycie wysokiej skarpy. Co i rusz, wichura zwałała źle umocowane na szczycie drzewo, a ono albo spadało na dno wądołu, czyniąc go nieprzejezdnym, albo chwyciło się pazurami gałęzi drugiego brzegu, tworząc most, którego nie wolno było ominąć podczas szwendania się po lesie. Spadek drogi był znaczny, widoczność marna, bo ciasnych zakrętów natura nie poskąpiła i jazda po tej drodze, czy to rowerem, czy furmanką dostarczała emocji iście kaskaderskich.

Po wyjściu z tego leśnego wądołu, przed oczami mieliśmy jak na dłoni panoramę Niemienic. Dość zwarta zabudowa wsi, rozciągała się



Facet z rowerem, to Tadek Szymaniak (ps. „Siurek Tadek”) na końcowym odcinku drogi do Niemienic, tuż przed lasem. Po prawej stronie (poza kadrem) mieszkała kiedyś rodzina Pastuszków, po lewej rodzina Woźniaków. Dziś już tam nikt nie mieszka. Za Tadkiem, na drugim głębokim planie widać kawałek Jaślikowa.

wzdłuż drogi do Krasnegostawu, a za nią rozświetlona słońcem zielona dolina z szeroką łąką i z rzeczką wijącą się malowniczo między olszynami – obrazek jak ze starego sztychu.

Za rzeczką – znowu łąka z kępami zarosła olchowych, las sosnowy i Stadnina Ogierów w Białce, którą też odwiedzaliśmy czasami, podczas zawodów czy pokazów jeździeckich. To do tej małej rzeczki płynącej dnem doliny, pielgrzymowaliśmy każdego lata, aby pobyć z jej ożywczym chłodem chociaż godzinę albo dwie. Do rzeki było jeszcze kilkadziesiąt metrów, już czuć było jak pachnie chłodną wilgocią, a my w biegu ściągaliśmy ubranie, żeby skoczyć z rozpędu w jej ramiona i dać się ponieść przez rzeźki, czysty nurt – przyjemności opisać się nie da.

Pierwsze kroki zwykle kierowaliśmy w miejsce zwane „Olszynki”. Olszyny wprawdzie rosły wszędzie, ale tam było ich szczególnie dużo i tak to miejsce zostało ochrzczone. Była tam duża trawiasta „plaża”, a rzeczka miała szersze koryto i czyste niezarośnięte dno. Przychodziliśmy tam całymi tabunami, wyprawiając różne brewerie w wodzie i na brzegu. Miejsca było dużo. Mieścili się wszyscy, czasami kilkadziesiąt osób.

Niedaleko „Olszynek”, w górę rzeki było miejsce zwane „Bełkiem”. Nazwano tak zakole rzeki, gdzie nurt wzmagął się, wirował i bełtał wodę. Miejsce dość głębokie i słaby pływak mógł się tam czuć nieswojo. Brak gruntu pod nogami wzmagął emocje. W „Beł-



Grupa kąpiąca się w „Bełku”. Na pierwszym planie z prawej to Stach Sakowski (ps. „Ksiądz” albo „Sakoj”), obok niego Tadek Piętał (ksywki nie pamiętam). Na drugim planie z lewej Januszek Błaziak (ps. „Siwy”), dwóch w środku nie mogę rozpoznać, a z prawej to Jasiek Cichosz, ten spod wielkiej lipy (ps. „Kurzy Łeb” – prał po pysku wszystkich, którzy go tak przezywali, później mu minęło).

ku” było głęboko, więc można było tam bezpiecznie skakać na główkę, był niestety płaski brzeg i atrakcja przy skoku marna, ale można było skakać z drzewa, a to już było coś! Nie mogło być łatwo, bo co to za atrakcja? Jak coś było łatwe, znaczy się marne i trzeba było jakoś to utrudnić, żeby było atrakcyjne.

Innym bardzo ważnym miejscem do kąpania było rozlewisko przy młynie, wodę piętrzyły tam drewniane stawidła, spadała z wysokości, grzmiała i szumiała, a przed stawidłami rozlewała się w szeroki staw. Rozlewisko było dość głębokie, często nie łąpało się gruntu – i szerokie tak ze 30 m. No i atrakcja podstawowa – można było skakać na główkę do wody z bariery drewnianego mostu, skakaliśmy zatem bez żadnego umiaru.



Rozlewisko przy młynie. Skaczący do wody – nie wiem kto to, wydaje mi się, że to Stach Sakowski, a przez barierkę wychyla się Gienek Mazurek (ps. „Mazur”).

Początkujący walili się do lśniącego lustra wody z głośnym „plaśnięciem”, wylazili potem z wody z czerwonymi brzuchami, bogatsi o wiedzę, że woda jest twarda, potrafi odwinąć się i prasnąć na odlew śmiałka, który nie umiał, ale chciał skończyć do niej.

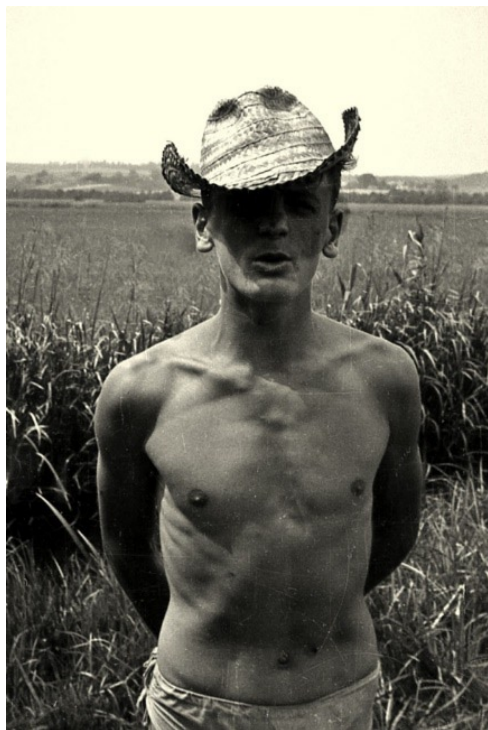
Inni z rękami złożonymi jak do modlitwy skakali płasko, ręce trzymane daleko do przodu, rozbijały taflę wody, zanim ta zdążyła obić się o brzuch skoczka. Jeszcze inni już bardzo świadomie wykonywali swój skok, odbijając się nogami od grubej belki bariery mostowej, robili skłon w powietrzu i do wody wchodzili, rozcinając ją klinem ciała, prawie pionowo z cichym chlupnięciem. Wynurzała się z miną Cezara po przekroczeniu Rubikonu, a twarz z wyrazem wtajemniczenia informowała: – Widzieli wszyscy? Tak trzeba skakać!

Festiwal skoków do wody trwał non stop i był podstawową atrakcją kąpeli na rozlewisku przy młynie. Wychodziło to raz lepiej, raz gorzej, ale ku chwale skaczących i zadowoleniu widzów. Przy młynie nie było za bardzo gdzie leżakować, bo wolne brzegi zarośnięte były sitowiem, ale kąpiel była cacy!

Chodziliśmy jeszcze pod most żelazny, na drodze z Zamościa do Żółkiewki. Pod mostem rozlewisko było szerokie, ale płytkie, miejscami tak płytkie, że nadawało się do „leżakowania” w wodzie. Nadawało się, bo dno rozlewiska było ze złotego piasku, twardego i pofalowanego nurtem kryształowo czystej rzeki. Były też tam dobre miejsca do zbierania pałek trzcinowych, które znośiliśmy do domu całymi wiązkami ku ozdobie izby.

Jeszcze jedno kąpielisko, które odwiedzaliśmy, nazywało się „pod Mościckim” (bliżej mostu drogowego). Kim był ów Mościcki do dzisiaj nie wiem, ale miejsce było, warunki do kąpienia podobne jak w Olszynkach, tylko lustra wody i miejsca do plażowania było mniej.

W upalne dni do tej rzeczki na Niemienicach, chodziły całe hordy jaślikowiaków – od małych dzieci po 50-lletnich „starców”. Radość pluśnięcia w czystej, rześkiej i bieżącej wodzie, była wielka, żadne kanony obyczajowe tam nie obowiązywały, puszczały wszelkie hamulce i dokazywali wszyscy równo. Tam chyba każdy jaślikowiak nauczył się pływać. Uczyli się jeden od drugiego, najpierw „pieskiem”, a później np. „tonącą żabką”



Autor w wieku 14 lat, pozuje przed „kąpieliskiem” - chyba „pod Mościckim”.

albo kraulem jaślikowskim, gdzie trzeba było zachować bezpieczną odległość od płynącego, żeby cię przypadkowo nie zabił tak rozpaczliwie łomotał rękami po wodzie.

Czasami na wodzie pojawiała się czarna dętka, od koła z przyczepy traktorowej, o wyporności wystarczającej, żeby utrzymać wszystkich, którzy zdołali się jej przytrzymać. Toteż łapał się kto mógł, wślizgił jeden na drugiego, zachłystywali się wodą, ale kto by na to patrzył – „okręt” z bohaterską załogą płynął niesiony nurtem, kontroli nad nim nie było żadnej, w końcu wślizgił w trzciny i trzeba było się ewakuować ciągnąc go za sobą, a przy okazji rzeć z uciechy.

Wszelkie inne i bardzo nietypowe formy zabawy, jak rzucanie delikwenta do wody z dużym rozmachem, smarowanie się błotem czy chowanie ubrań, żeby szukający dostarczał dodatkowych uciech dla rozbawionej gawiedzi, też były dopuszczone do stosowania – i cokolwiek by powiedzieć, z tych psot wynikały same korzyści, wszyscy jakoś nauczyli się pływać, nikt się nie utopił, a i rozrywka była przednia. Zastanawiam się tylko, dlaczego

w tych zabawach nie uczestniczyły – albo uczestniczyły bardzo rzadko – dziewczyny z Jaślikowa? Nie wiadomo, muszę kiedyś zapytać!

Mieszkańców Niemienic pozdrawiam i informuję, że z dużym sentymentem wspominam Waszą wieś. Jeżdżę czasami do Krasnegostawu na groby bliskich i jadąc od strony Wysokiego, skręcam do Niemienic, omijając główną drogę. Jadę powoli, żeby nasycić wzrok starymi chałupami, których już jak na lekarstwo i próbuję odnaleźć klimaty z lat 50. i 60. ubiegłego wieku.

Dawniej Żółkiewka na odcinku Niemienic malowniczo meandrowała, tworząc dzikie, niepowtarzalne, łąkowe uroczyska. Spoglądając dzisiaj na mapę googla, widać, że ten kawałek wyprostowano – czyli od mostu żelaznego do starego młyna, rzece „nakazano”, jak ma płynąć. Płynie i widać, że chyba nie buntuje się, ale dawny jej urok nieco przybladł.

Swą urodę odzyskuje zaraz za starym młynem, gdzie płynie po polach i łąkach jak chce i gdzie chce, by po paru kilometrach „utopić” się z radością w Wieprzu – dzikiej i najpiękniejszej rzece na wschodnich rubieżach Polski, niektórzy nawet szepcą, że najpiękniejszej na świecie. Mówią z dużym przekonaniem, trudno im nie dać wiary, ale to już temat na inną opowieść.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Fot. z mojego archiwum z lata roku 1963.

Elżbieta Petruk

Bądź sobą!
Z cyklu: Solilokwia



– Bądź sobą!

– **A tobie, co? Zobaczyłaś we mnie kogoś, kto nie jest mną? Dobrze się czujesz?**

– Już sama nie wiem. Myślałam, że jestem sobą, chcę być sobą, ale zwątpiłam. Nie słyszysz tych zawołań specjalistów od duszy: Bądź sobą!

– **Dziewczyno, uspokój się, nie daj się wkręcić w tę pułapkę: bądź sobą asertywnie, bądź sobą u cioci na imieninach, bądź sobą**

w związku, bądź sobą i poczuj swoją wartość, bądź sobą i wygraj! Bądź sobą! – kuszące marketingowe wezwanie. Puste hasło, które tak naprawdę nic nie oznacza, ale ty słyszysz: coś jest z tobą nie w porządku, bo nie jesteś sobą. Przyjdź do mnie, przeczytaj moją książkę, skorzystaj z warsztatów, a ja ci pokażę jak sobą być.

– Słuchaj, jednak czasami nie jesteśmy sobą. Nie będę wspominać klasyka, ale sama wiesz, że przywdziewamy różne maski w zależności od sytuacji, nie zawsze mówimy, to co myślimy albo czujemy, nie zawsze zachowujemy się, tak jak chcielibyśmy albo uważamy, że powinniśmy się zachować.

– **I to właśnie jesteś ty! Jesteś sobą, gdy wygłupiasz się z dzieckiem na podłodze i zachowujesz powagę w rozmowie z sąsiadem; jesteś sobą, gdy przygryzasz język, by nie powiedzieć szefowi, że jest głupcem, a jeśli to mówisz, to też jesteś Ty. Jesteś sobą ze swoim brakiem odwagi i z nią; jesteś sobą, wyznając miłość ukochanemu i przemilczając to z jakiegoś powodu; jesteś sobą, śmiejąc się z czegoś, co innych nie śmieszy i powstrzymując się od chichotu na pogrzebie – to też jesteś ty. Twoja maska jest twoja – w niej też jesteś sobą. Ty jesteś ty i nie ma innej opcji. Nie będziesz mną, nie będziesz nią, nim, ani nikim innym.**

– Chcesz powiedzieć, że rada „bądź sobą” nie ma sensu?

– **Nie ma, bo jak rzekłam, jesteś sobą, co nie znaczy, że nie możesz się rozwijać, zmieniać, doskonalić, bo jak powiedział nasz wspólny znajomy Sedlak: „Nie ma skończonych ludzi, mogą być tylko skończeni idioci”.**

– Może faktycznie o to chodzi.

– **Na pewno. Wyobraź sobie, że adresem zawołania „bądź sobą!” jest cham, złodziej czy prostak.**

– Absurd!

– **I makabreska!**

Elżbieta Petruk

Jerzy Jacek Bojarski

Krakowskie Przedmieście,
Krasnystaw – matecznikiem
Bojarskich. Część I.



Czy pisać wspomnienia?

Pisać wspomnienia w XXI wieku? To jakieś czyste szaleństwo! Komu to potrzebne? Kto to będzie czytał? Dzienników ani wspomnień nie pisałem, ale czy to osłabi mój przekaz i jego wiarygodność? Czytelnik sam oceni. Będąc na emeryturze, mam więcej czasu, choć coraz gorzej z piórem i przekazem tego, co chcę opowiedzieć. Skąd pomysł na pisanie wspomnień? Myślę, że tym impulsem jest świadomość powolnego „zwijania się”. Starcy tak mają – lubią wspominać. Postaram się też pokazać, że najważniejsze wartości są ukryte w prostych gestach i w uczuciach.

Literatura faktu czy, jak kto woli, dokumentu jest dobrym sposobem, by wybrzmiała historia. Nie tylko moja, ale również minionej epoki. Fakty, fakty i jeszcze raz fakty. Nazwiska oraz trochę przysłowiowej wanilii i pieprzu, by nadać smak opowieściom dotyczącym trudnego okresu, jakim były czasy PRL-u. A ten oficjalnie zaczął się 22 lipca 1952 roku, nie wszyscy o tym wiedzą. Lata 1944-1952 to były jeszcze czasy Rzeczypospolitej Polskiej, choć w nomenklaturze rodzinnych kacyków już Polski Ludowej. Państwa z ustrojem przyniesionym siłą na bagnietach Armii Czerwonej. Manifest lipcowy 1944 roku, niby drukowany w Chełmie, powstał bowiem w Moskwie i stanowił początek kłamstwa założycielskiego powojennej Polski. Obcy naszej kulturze, tradycji, chrześcijaństwu, stanowił zniewolenie, upodlenie i upokorzenie narodu polskiego. Treść tego stalinowskiego fenomenu była mi zawsze obca, a Polsce – w III RP – do dzisiaj odbija się czkawką. Było to życie z kamuflującymi się ludźmi, chcącymi – jak ja – przeżyć ten, jak uważano powszechnie, czas dopustu bożego, który wcześniej czy później jednak musi się skończyć. Na kłamstwie bowiem jeszcze nikt niczego nie zbudował na trwałe.

Choć zapis umocowany został w historii, zatrzymuję się w różnych ważnych dla mnie kon-

kretnych momentach, staram się stworzyć obraz miejsc, z którymi się identyfikuję – wywołujący silne doznania psychiczne związane z epoką, w której przeżyłem wiele lat.

Życie moje zaczęło się w Zamościu. Dzieciństwo dopełniło się na przedmieściach Krasnegostawu, we wsi Krakowskie Przedmieście. Kolejnym docelowym przystankiem stał się Lublin. A to wszystko na krótkim odcinku dziewięćdziesięciokilometrowym, zwanym Wyżyną Lubelską.

Co to takiego matecznik?

Potocznie, gdy mówimy o domu rodzinnym. Matecznikiem rodziny Bojarskich od zawsze był Krasnystaw, a dokładniej wieś Krakowskie Przedmieście koło Krasnegostawu, wchłonięta obecnie przez miasto. Jednak historia mojego życia rozpoczyna się w Zamościu, gdzie przychodzę na świat jako ósme dziecko, beniaminek rodziny Marii (1922-2013) z domu Pawelskiej (mama i rodzeństwo ma zapisane Marianna) i Michała (1911-1980) Bojarskich. Działo się to 5 lipca 1955 roku. Poród odbył się w szpitalu. Szóstka rodzeństwa – poza bratem Tomkiem – urodziła się w domu. Takie to były czasy. W domu człowiek się rodził i w domu umierał. Na chrzcie nadano mi imiona Jerzy Jacek (Marek wybrałem sobie na bierzmowaniu).

Byłem więc rówieśnikiem Układu Warszawskiego (1955) – organizacji polityczno-wojskowej państw bloku wschodniego, który powstał jako reakcja na powołane NATO (1949). Układ Warszawski był ujednoliceniem polityki zagranicznej i militarnej ZSRR i państw od niego uzależnionych. Sankcjonował istniejące od zakończenia II wojny światowej podporządkowanie ZSRR państw Europy Środkowowschodniej wraz z ich siłami zbrojnymi. Stanowił strukturę militarną umożliwiającą ZSRR pełną kontrolę nad siłami zbrojnymi i polityką obronną państw członkowskich oraz był wykorzystywany w polityce w konfrontacyjnych stosunkach z Zachodem. Obecnie nie istnieje.

Zamość w tak zwanym międzyczasie

Moi rodzice pochodzili z Krasnegostawu, gdzie pobrali się 1 czerwca 1940 roku. Wiernie oddają to też dokumenty wydane przez Niemców:

Kennkarte (karta rozpoznawcza), *Personal Ausweis* (dowód osobisty z odciskami palców) oraz *Arbeitskarte* (karta pracy).

Wohnort des Arbeitnehmers		Wohnort des Arbeitnehmers	
Wohnort des Arbeitnehmers		Wohnort des Arbeitnehmers	
1. Name und Vgl. des Arbeitnehmers (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	2. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	3. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	4. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
5. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	6. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	7. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	8. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
9. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	10. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	11. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	12. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
13. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	14. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	15. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	16. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
17. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	18. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	19. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	20. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
21. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	22. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	23. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	24. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
25. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	26. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	27. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	28. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
29. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	30. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	31. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	32. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
33. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	34. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	35. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	36. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
37. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	38. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	39. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	40. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
41. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	42. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	43. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	44. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
45. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	46. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	47. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	48. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
49. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	50. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	51. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	52. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
53. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	54. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	55. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	56. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
57. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	58. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	59. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	60. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
61. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	62. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	63. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	64. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
65. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	66. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	67. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	68. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
69. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	70. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	71. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	72. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
73. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	74. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	75. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	76. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
77. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	78. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	79. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	80. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
81. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	82. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	83. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	84. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
85. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	86. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	87. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	88. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
89. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	90. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	91. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	92. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
93. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	94. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	95. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	96. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)
97. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	98. Hier der Arbeitgeber (Arbeitgeber) (Arbeitgeber)	99. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)	100. Tag der Beschäftigung (Arbeitnehmer) (Arbeitnehmer)

Karta pracy Michała Bojarskiego.

Ojciec musiał ukrywać się przed Gestapo, był bowiem żołnierzem Armii Krajowej, wrogiem III Rzeszy, która okupowała Polskę od 1 września 1939 roku. Niemcy byli u niego w domu na Krakowskim Przedmieściu, poszukiwali go za jakąś akcją. Cudem uniknął aresztowania. W ucieczce przed groźącymi konsekwencjami błyskawicznie z mamą wyjechali do Zamościa. Tam 1 listopada 1941 roku urodziła się najstarsza ich córka, a moja siostra Stefania.

Tutaj jednak również nie zagrzało długo miejsca. Ojciec znowu naraził się Niemcom. Na dworcu PKP na bocznicę, w okolicach Bożego Narodzenia jego pracownicy pili alkohol. Kiedy ojciec wyszedł po załatwieniu jakiejś sprawy, zwrócił się do swoich pracowników: „Nie wstyd wam?”. W bydlęcych wagonach byli zaryglowani Żydzi, gotowi do transportu do Bełżca. Współpracownicy taty wypuścili więc biednych, stłoczonych ludzi z wagonów. Rodzice znów musieli uciekać. Wrócili wtedy do Krasnegostawu, gdzie urodziła się dwójka mego rodzeństwa: Henryk (1943) i Barbara (1944).

Po wojnie nastąpiła kolejna przeprowadzka do Zamościa. Ojciec dostał pracę w „Społem”, rodzina miała zagwarantowane mieszkanie przy ulicy Lubelskiej. Na świat przyszły kolejne ich dzieci: Wiesław (1946), Marek (1948), Ewa (1950), Tomasz (1953) i na końcu, piszący te słowa Jerzy (1955).

Ponad dwa tygodnie po moim fizycznym narodzeniu odbyły się moje narodziny dla Nieba.

Zostałem ochrzczony 24 lipca w kolegiacie zamojskiej (obecnie katedra) przez proboszcza Franciszka Zawiszę. Wówczas bowiem mieszkaliśmy na ulicy Brzozowej 9. Moim rodzicami chrzestnymi byli zawodowy kierowca Stanisław Mataczyński (l. 32) i siostrzenica ojca Irena Bojarska, uczennica (l. 17). Dla ciekawostki warto dodać, że w latach sześćdziesiątych moja matka chrzestna była ze swoim mężem Włodkiem Makowijczukiem na placówce dyplomatycznej w Ghanie. Mój chrzest miał miejsce za czasów, gdy na tronie Stolicy Apostolskiej zasiadał papież Pius XII (1939-1958), w Polsce zaś więziono (1955-1956) w bieszczadzkim klasztorze w Komańczy prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wcześniej kardynał Wyszyński pełnił posługę duszpasterską w diecezji lubelskiej, był jej ordynariuszem. W 1948 roku bierzmował moją mamę i siostrę Stefanię.



Tomek, Jurek, Ewa, drugi rząd: Marek, Basia, Heniek, Stefa, Wiesio.

Starsze rodzeństwo uczęszczało do szkół w Zamościu. „Padwa północy” to miasto, w którym przyszło mi krótko, bo raptem dwa lata mieszkać. Niemniej zapisał się on na trwale w mojej pamięci z racji opowieści starszych. Miasto zostało wybu-

dowane przez Jana Zamoyskiego z Ordynacji Zamojskiej w szczerym polu od podstaw, a zaprojektowane przez Włocha Bernardo Morando. To perła renesansu z prawami miejskimi od 1580 roku. Miasto prywatne, szlacheckie, wielokulturowe, wieloreligijne, wielonarodowe. Gród-twierdza, z pięknym rynkiem, z ratuszem i niezwykle kamienicami. Bardzo ciekawe i wyjątkowe. Działała tu Akademia Zamojska. W Zamościu narodzili się lub mieszkali między innymi: Icchok Lejb Perec (1852-1915), polski i żydowski pisarz, jeden z głównych twórców literatury jidysz, adwokat i działacz społeczny, zajmował się również krytyką literacką i teatralną. Inną mieszkanką była Róża Luksemburg (1870-1919), ekonomistka, teoretyk i działaczka polskiej i niemieckiej socjaldemokracji. Bolesław Leśmian urodził się w Warszawie, ale w latach 1922-1935 mieszkał w Zamościu, polski poeta i prozaik żydowskiego pochodzenia, czołowy przedstawiciel literatury dwudziestolecia międzywojennego, krytyk literacki. Leopold Skulski (1877-1939), polski inżynier chemik, farmaceuta i polityk, nadburmistrz Łodzi od 29 września 1917 do 22 lutego 1919, prezes Rady Ministrów od 13 grudnia 1919 do 9 czerwca 1920, prezes klubu Narodowego Zjednoczenia Ludowego w Sejmie Ustawodawczym (1919-1922). Marek Grechuta (1945-2006), polski piosenkarz, poeta, kompozytor i malarz, z wykształcenia architekt. Ks. infułat Grzegorz Pawłowski (1931-2021), Jakub Hersz Griner – polski Żyd w służbie Mesjasza, cudownie ocalały z Shoah, autorytet moralny dwóch narodów – polskiego i żydowskiego, Honorowy Obywatel Miasta Lublina.

W tle moich wspomnień podaję fakty, здаwałyby się niezwiązane z moim życiem. Tak jednak nie jest. By lepiej zrozumieć czasy powojennej Polski, w jakich mi przyszło żyć, szkicuję tło historyczne, które dla czytelnika, zwłaszcza młodego, jest niezbędne, by wyrobił sobie własne zdanie na temat naszej najnowszej historii. Mimo iż Józef Stalin zmarł w 1953 roku, w Polsce wcale nie zelżał terror stalinowski. Bierut, agent sowieckiego NKWD, walczył bowiem o władzę z Władysławem Gomułą, którego więził. W 1956 roku wyjechał na XX Zjazd KPZR. Jak wieść gminna niosła: „Wyjechał w futerku, przyjechał w kuferku”. Zmarł w Moskwie w niejasnych okolicznościach, mówiono, że popełnił samobójstwo lub został otruty.

W Zamościu był piękny park, gdzie rodzice chodzili z nami na spacer. Zachowały się w nim dwa drzewa korkowca. Był też staw. W centrum miasta ulokowano ogród zoologiczny. Zwierzęta trzymano na małej przestrzeni, w złych warunkach, więc śmierdziało. To zapamiętałem – figlarne małpy i smród. W 1957 roku przenieśliśmy się z rodziną do Krasnegostawu na Krakowskie Przedmieście.

Krakowskie Przedmieście – mój sielski matecznik

Z Zamościa do Krasnegostawu to raptem około 30 kilometrów. Po drodze miasteczko Izbica. Przed wojną mówiło się: „Izbica – żydowska stolica”, bowiem ponad 90 procent mieszkańców stanowili Żydzi. Przed laty poznałem Toivi Błata (1927-2015), który stąd pochodził i ocalał z zagłady. Uciekł z Sobiboru. Gościłem go w swoim domu i zaprosiłem z wykładem na KUL. W jego żuchwie utkwiała kula, którą wystrzelił Bojarski (z innej niż moja linii Bojarskich). Ukrywał go za pieniądze, a potem chciał się go pozbyć. Nie udało mu się to, i Bogu dzięki. Do Izbicy pojechałem 3 listopada 2021 r. na pogrzeb ks. infułata Grzegorza Pawłowskiego, który został pochowany na kirkucie, gdzie rozstrzelano jego matkę i siostrę wraz z innymi Żydami. Poznałem go w Izraelu, w Jafie, znaliśmy się 21 lat. To był ksiądz żydowskiego pochodzenia. Kochał swój naród, ale i Polskę. Piękna postać.

Urodziłem się w Zamościu. Jednak miejscem beztroskiego dzieciństwa był sielski matecznik rodziny Bojarskich: Krakowskie Przedmieście, Krasnystaw. Ta wieś ukształtowała mnie jako człowieka. Moją wrażliwość na świat i naturę. Dzięki niej poznałem rozmaite rośliny (np. na kurzajki), owoce. Nawet szczaw na łące jadałem. Obserwowałem zwierzęta i owady. Rzeka Żółkiewka była moim żywiołem w lecie i zimie. Taki mały raj na ziemi. Poznałem jednak również ciężką pracę na roli. Tutaj, po przyjeździe z Zamościa mieszkaliśmy sześć lat (1957-1963). W tej wsi żyli też moi dziadkowie Łukasz i Franciszka Bojarscy oraz Stanisław i Józefa (z d. Pawłowska) Pawelscy. Stąd pochodzili moi rodzice Michał i Maria (z domu Pawelska) Bojarscy.

Nasza rodzina była jednak podzielona. Ojciec mieszkał z trojgiem dzieci (Wiesław, Stefania, Barbara) w Lublinie, gdzie chodzili do szkoły. Na Krakowskim Przedmieściu mieszkała mama z Markiem, Tomkiem i mną. Dwójka zaś rodzeństwa (Heniek i śp. Ewa (1950-2021) mieszkała w Radomiu u wujostwa Staniszewskich. Mój dziadek Łukasz zmarł w 1959 roku, dziesięć lat później babcia, Józia. Jako dziecko zobaczyłem więc śmierć z bliska.



Dziadkowie, Józefa i Stanisław Pawelscy.



Fotografia ślubna Józefa i Stanisława Pawelskich, 1914.

Gdy mieszkałem na Krakowskim Przedmieściu, w każdą sobotę wychodziłem na przystanek autobusowy PKS-u na Rońsku koło mleczarni i czekałem na przyjazd ojca z Lublina. Zawsze przywoził jakieś łakocie lub owoce. Kiedy przyjeżdżał na wieś, pomagał mamie w domu. Był po szkole rolniczej, więc dobrze znał się na rolnictwie i uprawach. Razem zrywaliśmy owoce z drzew. Pamiętam, jak raz pod tatą załamała się gałąź wiśni. Spadł z wysokości 6 metrów. Złamał nogę.

Lekcje patriotyzmu

W domu od ojca, wujostwa i dziadka brałem pierwsze lekcje patriotyzmu. Pamiętam jak dziś: ojciec siedział przy odbiorniku Philipsa. W pokoju było ciemno. Z odbiornika świeciło „zielone oko”. Gdy ojciec regulował zakres fal, by nie było zakłóceń, przybierało ono różne odcienie zieleni. Odbiornik warczał, zagłuszarki fal bowiem pracowały non stop. Ale ojciec cierpliwie nasłuchiwał, co mają do powiedzenia w Radiu Wolna Europa lub w Głosie Ameryki. To były niezapomniane lekcje historii. Nie wiele z tego rozumiałem, ale chłonałem atmosferę konspiracyjności. Wiedziałem też, że słuchanie takich audycji było zabronione. Sąsiedzi też mieli radia, ale tak zwane „kołchoźniki”. Były one nawet w domach, gdzie nie było elektryczności. Pojawiły się zaraz po wojnie, w 1945 roku, gdy kraj był w niewielkim stopniu zelektryfikowany, a używane bodajże nawet do lat siedemdziesiątych XX wieku. Miały tylko jedno pokrętko służące do ustawiania natężenia głosu. Drugiego potencjometru na zmianę pasma nie miały, aby potencjalny słuchacz nie mógł sobie wybrać stacji radiowej, co stanowiło główną wadę tego odbiornika. Dla „władzy ludowej” była to jednak wielka zaleta: „kołchoźnik” bowiem dawał całkowitą kontrolę nad wysyłanymi w eter wiadomościami. Nic dziwnego, że do specjalnie zbudowanej sieci w miastach często przyłączano głośniki uliczne.

Byłem raz ciekaw, kto to siedzi w środku i przemawia? Wziąłem żyłkę i przeciąłem płótno radioodbiornika, by zobaczyć, kto tam jest? Tak! Tak, to nie był wandalizm, lecz twórcza ciekawość.



Jurek, Tomek, Marek, Wiesiek i pies Murzyn na tle miejscowego wąwozu.



Marek i Jurek.

Na Krakowskim Przedmieściu chodziłem do przedszkola. To w przedszkolu nauczyłem się jeździć na rowerku, mając niecałe 5 lat, a potem zdobyłem umiejętność jazdy na dużym rowerze „Ukraina”, pod ramą. Na archiwalnych zdjęciach stoję przy hulajnodze. W przedszkolu przechodziłem naukę tańców, rysunku i śpiewu. Podczas leżakowania poznałem anatomię dziewczynek. Pod stołem bawiliśmy się w doktora. Pokazywaliśmy sobie, co kto ma w majteczkach. Dziewczynki pokazywały swoje „żabki”, a chłopcy „ptaszki”. To była taka naturalna inicjacja w sferę seksualną. Były dwie płci i basta! W przedszkolu jedliśmy posiłki. Dużo czasu w ciepłe dni spędzaliśmy na przedszkolnym podwórku. Ja byłem zadowolony, bo rower miałem tylko dla siebie. Inni nie umieli jeździć. Pamiętam, że kiedy zakończył się mój cudowny, beztroski czas w przedszkolu, całe wakacje przeplakałem.

Szkoła Podstawowa

Nie chciałem iść do szkoły. Mój przyszły szwagier, śp. Stanisław Czuba, narzeczony siostry Stefy, mówił mi i tłumaczył, że to jest konieczne. Inaczej moi rodzice musieliby zapłacić karę za moje uchylanie się od obowiązku szkolnego. W dwupię-

trowym budynku mieściło się przedszkole i Szkoła Podstawowa im. Stanisława Konarskiego, którą otwarto już w 1935 roku. Niedawno obchodziła jubileusz 90-lecia. Tu rozpocząłem naukę. Pamiętam na ścianie portret towarzysza Wiesława – Władysława Gomułki czyli pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Po prawej stronie zaś portret łysego Józefa Cyrankiewicza – premiera PRL. Tutaj wypada mi dać świadectwo o byłym premierze, który zapisał się w mojej rodzinie jako dobrodziej. Tak! W Oświęcimiu był więziony razem z karmelitą bosym ojcem Bogumiłem Woźnickim. Ich znajomość z obozu po latach pomogła zakonnikowi w remontach klasztorów karmelickich. Gdy miał problemy z zakupem materiałów budowlanych (w tamtych czasach to nieustanne problemy Kościoła), wystarczył telefon do „kolegi z Auschwitz” i wszystkie utrudnienia zniknęły. Tak więc karmelita po wyremontowaniu jednego klasztoru przechodził jako przeor do innego. Ojciec Bogumił był wujkiem mego szwagra dr. Stanisława Czuby z UMCS. Moja siostra Stefania kończyła, tak jak Staszek, prawo na UMCS. Trzeba powiedzieć, że nie należała do PZPR. Zdobyć aplikację sędziowską przez bezpartyjną było praktycznie niemożliwe. Z pomocą przyszedł ojciec Bogumił. Telefon do premiera Józefa i sprawę załatwiono od ręki. Ponieważ dzisiaj wszystkie wymienione osoby nie żyją, mogę tę historię opowiedzieć. W tamtych czasach zachodzono w głowę, jak to się stało, że bezpartyjna absolwentka prawa UMCS dostała aplikację sędziowską w sądzie w Chełmie. To było praktycznie niemożliwe – a jednak! Dobrze, wróćmy do klasy szkolnej lat sześćdziesiątych. Uczniowie siedzieli w ławkach wyprofilowanych, pulpity nachylone pod wygodnym kątem. Na środku ławki, w specjalnym otworze umieszczony był kałamarz. Naczynie szklane wypełnione atramentem. Pisało się obsadką ze stalówką. Pióro maczało się w kałamarzu. Kaligrafii uczyliśmy się od pierwszej klasy. Był specjalny zeszyt z liniami. Każdy uczeń miał bibułę, ratowała przed kleksami (plama z atramentu). Mnie nie wystarczała, wspomagałem się nawet kredą. Pod koniec lekcji wszyscy mieliśmy ręce wybrudzone atramentem. Pierwszym słowem, jakie napisałem kredą u stryja przed domem, było przyjęte za bardzo brzydkie słowo „p...a”. Oczywiście, wtedy nie zastosowałem kropek.



Autor przed rodzinnym domem z lat 1957-1963.



Jerzy Jacek Bojarski przy ulicy swego kuzyna
A. Bojarskiego.

To były ostatnie moje wakacje na Krakowskim Przedmieściu. Byłem dumny z tego, że w nazwie ulicy nie zrobiłem żadnego błędu! Tutaj też, na tym podwórku, nawlekąłem tytoń na drut, do suszenia na płocie. Wtedy zarobiłem swoją pierwszą złotówkę, lecz ręce miałem pokłute.

Kiedy rozpocząłem naukę w szkole w roku 1962, nauka religii została usunięta ze szkół. Mieliśmy ją w domu prywatnym. W tym czasie na Stolicy Piotrowej zasiadał papież Jan XXIII (1958-1963).

Wspominam z nutką rzewności, jak w Wielką Sobotę szedłem razem z moim ojcem do kościoła w Krasnymstawie. To było ze trzy kilometry od domu. Dopóki droga była piaszczysta, szedłem boso. Gdy się pokazały kocie łby, na wysokości cegielni, nałożyłem buty. Chodników jeszcze w tym miejscu nie było. W kościele wielkie wrażenie zrobiło na mnie palenie ogniska i poświęcenie wody. Oczywiście w tym czasie nic z tego nie rozumiałem – po co zapalać ognisko, skoro widno na dworze, ale atmosferę tej wspaniałej liturgii światła noszę w sobie do dzisiaj. Trzeba było lat, by się dowiedzieć, że liturgia światła służy rozpraszaniu ludzkich ciemności.

Jerzy Jacek Bojarski

(w latach 1957-1963 mieszkaniec Krakowskiego
Przedmieścia
cdn.

Irena Kulik

Patriotyczne
i poetycko-muzyczne spotkania
w Miejskiej Bibliotece Publicznej
w Krasnymstawie



Wiosna, pomimo że gra w zielone, jednak nie jak na wiosnę przystało, ciągle kaprysi. A to afrykańskim gorącem obudzi przyrodę i przyspieszy wegetację, a to arktycznym chłodem powieje i sygnie kwietniowym śniegiem na pierwszą biel płatków na drzewach owocowych. Natomiast w Miejskiej Bibliotece Publicznej rozwinęła się w trzy spotkania z mojej inicjatywy.

Pierwsze dwa z nich miały miejsce 18 i 25 marca o zabarwieniu patriotycznym i miały na celu przybliżenia historii powstania styczniowego na Lubelszczyźnie, dla młodzieży z siódmych klas miejskich szkół podstawowych, a szczególnie urywka z życiorysu Mikołaja Nieczaja, którego ostatni okres życia nieodłącznie jest związany z Krasnymstawem, gdzie 162 lata temu, 19 marca stracił życie przy obecnej ulicy Rejowieckiej. Nie sposób mówić

do młodych osób bez wizualizacji. Dlatego przygotowałam prezentację pt. „Powstanie styczniowe na Lubelszczyźnie. Mikołaj Nieczaj” w oparciu o wyjątkowe źródła, jak np. „Album policmajstra warszawskiego. Pamięć powstania 1860-1865”, który życzliwie udostępnił pan Wiesław Antoniak, prezes Stowarzyszenia „Michalec 1864”. W czasie pierwszego spotkania również pan Wiesław zaszczylił swoją obecnością w stroju powstańca z powiatu krasnostawskiego oraz wyeksponował flagę, broń, ekwipunek powstańców i umundurowanie piechura z wojsk carskich.

Tydzień później do spotkania z uczniami z innej szkoły dołączył pan Sławomir Rodak ze Stowarzyszenia „Ćwieki” ze Starościna, w pełnym umundurowaniu oraz przybliżył historię powołania oddziału Kajetana Cieszkowskiego „Ćwieka” – partii powstańczej z okresu powstania styczniowego, operującej na Lubelszczyźnie i Podlasiu.

Młodzież z zainteresowaniem wysłuchiwała oraz obejrzała udostępnione rekwizyty. Żywa lekcja historii przybliżyła uczniom istotę zrywu powstania styczniowego oraz ukazała realia z epoki II połowy XIX stulecia po jego klęsce.

Z kolei 9 maja, w Dniu Europy, miało miejsce bardzo miłe spotkanie poetyckie, na które zaprosiłam trzy twórcynie z Lublina: Agnieszkę Mącik, Emilię Lipiec oraz Izabelę Konar. Poetki zaprezentowały swoją twórczość w odcieniu trzech barw: niebieskiej, żółtej i czerwonej, które pani Agnieszka wyjaśniła na podstawie interpretacji Goethego. Również we wstępie podkreśliła, że jej oraz koleżanek twórczość nie należy do „wysokich lotów”, jednak panie ukazały prawdziwą głębię osobistej liryki w odcieniu tych barw w słowie i ujętą w melodii, którą swoją grą na gitarze i pięknym śpiewem uświetniła pani Iza również w języku słowackim. Natomiast pani Emilia, jako malarka, ze wzruszeniem wydobyła kolory ze swojego poetyckiego słowa. Publiczność odebrała występ bardzo ciepło, gdyż nie zabrakło gromkich owacji oraz wyrazów wdzięczności.

dr Irena Kulik

Irena Kulik

W Szczepieszynie

W szmerze Wieprza błyska woda.
W złocie kaczeńców – uroda.
Cisza szumi gęstą trzciną
chrząszcza graniem w Szczepieszynie.

Obok murów Stanisława
tuż, za mostem dobra ława
i altana cieniem chłodzi,
bez przystani i bez łodzi.

Pamięć tutaj ważna w słowie
polskim – płyta o tym powie
z krzyżem, tuż nad brzegiem rzeki
co się działo tu, przed wiekiem.

Pięknie dziecko dziś szczepiocze,
prostą ścieżką już nie zboczy,
pomykając tuż przed ojcem
wózkowiczem, tu, na końcu.

kwiecień 2025

Wiosna

niczym pośpieszny pociąg z przystojami
na peronie lata i zimy chwilami
grzeje upałem.
To znów mrozem chłodzi.
Przeważnie sedom, nowalijkom
to szkodzi.
A pszczoły zagubione,
wybudzone z letargu –
oczekują na cieplejsze promienie,
na te prawdziwe, wiosenne tchnienie.
Tłoczą się obok siebie
z pragnieniem lotu
do złota rzepaków, mniskowych splotów,
by wytarzać się w maków płatkach,
rozpostrzeć skrzydła na bławatkach...
I spojrzeć w głębię nieba
pośród szumiących łanów chleba...

maj 2025

Irena Kulik

Anna Kamieńska dzieciom



Anna Kamieńska – poetka, pisarka, eseistka, tłumaczka, recenzentka oraz autorka książek dla dzieci, urodzona 105 lat temu w Krasnymstawie pozostawiła po sobie dorobek literacki liczący około stu książek, z których około dwadzieścia adresowanych do dzieci oraz młodzieży. Obecnie jest nieco zapomniany. Zawiera on zbiory wierszy oraz opowiadania wydane w postaci powieści. Kamieńska uważała dzieciństwo za najszczęśliwszy okres, do którego często wracała wspomnieniami, a szczególnie czasy letnich wakacji spędzanych w Świdniku u dziadków ze strony ojca. Pisać dla młodych odbiorców zaczęła na początku lat sześćdziesiątych, wydając najpierw zbiory wierszy pt. „Stoneczny lizak”, „Zajęczy pałac”, „Pod jabłonią”, „Dębowa kołyska”, jak również „W królestwie Plastelini” i „Jaworowi ludzie”. Od 1967 roku rozpoczęły ukazywać się drukiem utwory pisane prozą, przeważnie z dedykacją dla wybranej osoby z najbliższej rodziny. Najpierw powstała książeczka „Samowarek mojego dziadka” poświęcona siostrzeńcowi poetki – Piotrusiowi Kamieńskiemu, gdzie świat fantastyczny łączy się z rzeczywistym w domu dziadków. W tymże roku ukazała się baśniowa opowieść „W Nieparyżu i gdzie indziej” opowiadająca o podróżach dwóch przyjaciół do odległych, dziwacznych krain, oraz w 1970 roku pt. „Są takie wyspy”. Jest to powieść z elementami powiastki filozoficznej oraz wątkami podróżniczymi w głąb siebie w celu samopoznania i pokonania własnych ograniczeń. Natomiast w 1968 roku przyszła kolej na powieść realistyczną „Rozalka Olaboga”, gdzie główna bohaterka ma cechy charakteru jednej z siostr Kamieńskiej. Tytułowa Rozalka jest krnąbrna, wojownicza, ale przy tym bardzo inteligentna i wrażliwa. Ze względu na swoje nieprzewidywalne zachowanie otrzymała przydomek utworzony z formy gwarowego, potocznego wykrzyknienia „olaboga!”. Kolejną, mniej znaną realistyczną powieścią jest „Sześciopiętrowy dzień”, którą wydano w 1975 r. Dwa tytuły dedykowała Kamieńska swojej babci Mariannie oraz

jej mamie: „Wielkie małe rzeczy” i „Świat się ciągle zaczyna”. Te dwie części w 1980 roku wydano jako całość pt. „Marianna”. Babcia w życiu osobistym autorki „Notatnika” odgrywała bardzo ważną rolę, dlatego również w powieściach jest ostoją mądrości, spokoju, doświadczenia życiowego, tak jak w ostatniej powieści pt. „Dom w domu” dedykowanej: „...więcej niż córce, bo synowej Ani”. Książka ma formę dziennika dziesięcioletniej Dorotki, który powstawał w ciągu trzech lat i ukazuje wielopokoleniową rodzinę zamieszkałą w bloku w mieście. Najważniejszym ogniwem scalającym całą rodzinę jest dziecko Kubuś, któremu wszyscy poświęcają swój czas, opiekując się naprzemiennie, zanim dziecko nie dorosło do wieku przedszkolnego. Kolejnym motywem scalającym cały dom jest lampa. Jej płomień jako symbol światła, ciepła, odgrywa olbrzymią rolę w tworzeniu poprawnych bliskich relacji między domownikami w poczuciu wspólnoty jest również widoczny w powieści pt. „Żołnierze i żołnierzyki”.

U schyłku życia napisała książki o tematyce religijnej „Książka nad książkami” – jako zbiór opowiadań biblijnych dla dzieci wg Starego Testamentu od Księgi Rodzaju do II Prorocstwa Jonasowego. Kolejno ukazały się cieniutkie pozycje w formie broszur adresowane do trójki wnucząt Kamieńskiej przygotowujących się do Pierwszej Komunii Świętej. Pierwsza – dedykowana Kubusiowi, w formie komentarza modlitewnego pt. „Ojciec nasz”, kolejna – Jędrusiowi wyjaśniająca, czym jest osiem rodzajów szczęścia od Pana Jezusa pt. „8 x Radość, czyli o ośmiu błogosławieństwach kazania na Górze” oraz ostatnia – przeznaczona Rucie jako analiza wybranych Psalmów króla Dawida „Wszystko jest w Psalmach”, którą kochająca babcia skończyła pisać cztery dni przed swoim odejściem 10 maja 1986 roku.

Anna Kamieńska w swojej twórczości dziecko traktowała bardzo poważnie, po partnersku, o czym mówi Alicja Baluch: „Jako naczelną zasadę zmniejszenia do minimum dystansu, podkreśla S. Barańczak, możliwość nawiązania stosunku partnerstwa między nadawcą a odbiorcą, partnerstwa zasadzającego się na poczuciu szacunku wobec językowych i myślowych doświadczeń dziecka”¹.

¹ A. Baluch, *Analiza pozawerbalna poezji (wiersze dla*

Wyraźnie tutaj zarysowuje się wpływ Janusza Korczaka, z którego spostrzeżeń i doświadczenia korzystała Kamieńska. Jak zauważyła Katarzyna Kasperkiewicz: „Obydwoje bowiem ogromną rolę w procesie wychowania przypisywali budowaniu i wzmacnianiu międzyludzkich więzi i poczuciu wspólnoty oraz „wychowaniu” człowieka do wartości i dla wartości”².

Również ten dydaktyzm, uwidaczniający się w utworach, uwarściwiła zainteresowaniem problematyką społeczną, ludzką nędzą, a szczególnie dziecka oraz uczuliła na wszelkiego typu niesprawiedliwość, wzorując się na dorobku literackim Marii Konopnickiej. Dlatego dziecięcy bohaterowie w książkach Anny Kamieńskiej są osobami pełnymi empatii i sympatii. Warto po nie sięgać również dzisiaj.

dr Irena Kulik



Anna Kamieńska (1920-1986) (fot. Wikipedia).

dzieci Anny Kamieńskiej), s. 34. https://zbc.uz.zgora.pl/Content/46575/2_baluch_analiza.pdf [dostęp: 31.05.2022].

² K. Kasperkiewicz, *Dziecko i jego wielki-mały świat, czyli dziecięca literatura w twórczości Anny Kamieńskiej* [w:] *Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego, Seria Filologiczna*, z. 79/2013, Dydaktyka 8, s. 67.

Elżbieta Patyk

„Niewysłuchani” – głos w sprawie, o której trudno mówić



We wtorkowe popołudnie 20 maja 2025 roku w czytelni Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie odbyło się spotkanie autorskie z Moniką Tadrą – pisarką, autorką wywiadów i opowiadań, współautorką książki „Niewysłuchani. O śmierci samobójczej i tych, którzy pozostali”, napisanej wspólnie z dr Halszką Witkowską.

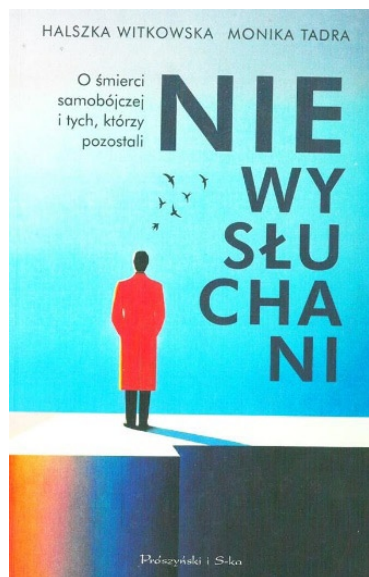
Spotkanie miało charakter bardzo osobisty, refleksyjny i poruszający – jak sama książka, będąca zapisem trzynastu prawdziwych historii osób, które doświadczyły samobójczej śmierci bliskiej osoby. Każda z opowieści to głos, który często nie miał wcześniej okazji wybrzmieć – głos żalu, cierpienia, nieraz gniewu, ale także odwagi, wdzięczności i poszukiwania nadziei.



Monika Tadra (fot. Joanna Radziszewska).

Autorka opowiedziała o pracy nad książką, która – jak podkreśliła – była dla niej wyzwaniem zarówno zawodowym, jak i emocjonalnym. Każde spotkanie z rozmówcami, którzy otworzyli się i podzielili swoimi historiami, było głębokim, poruszającym przeżyciem. – „Jestem im niezmiernie wdzięczna za zaufanie. To książka, która powstała z potrzeby serca – by wysłuchać, zrozumieć i dać przestrzeń tym, których głosy często są ignorowane” – mówiła autorka. „To nie jest książka łatwa – ani do czytania, ani do pisania. Ale to książka konieczna” – mówiła Monika Tadra. „Każda rozmo-

wa była dla mnie ogromną lekcją pokory. Dziękuję wszystkim, którzy pozwolili mi wejść do swojego świata bólu i nadziei”.



Książka „Niewysłuchani” to nie tylko zbiór przejmujących rozmów, ale także kompendium wiedzy na temat samobójstw i żałoby po stracie, dzięki komentarzom i analizom dr Halszki Witkowskiej – suicydologa, konsultantki kryzysowej. Za swoją misję uważa upowszechnianie wiedzy na temat zapobiegania samobójstwom, co czyni zarówno jako naukowiec, jak i wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim.

Jak zaznaczyła Monika Tadra, publikacja kierowana jest nie tylko do osób dotkniętych stratą, ale do wszystkich, którzy chcą nauczyć się, jak słuchać, jak być obecnym, jak nie oceniać. – „Czasem jedna rozmowa może uratować komuś życie”. Monika Tadra podkreśliła także znaczenie edukacji społecznej w zakresie zdrowia psychicznego: „Nie każdy musi być terapeutą, ale każdy może być człowiekiem, który nie przechodzi obojętnie. Czasami wystarczy jedno zdanie, obecność, telefon. To może uratować życie”.

W drugiej części spotkania uczestnicy mieli możliwość zadawania pytań oraz dzielenia się swoimi refleksjami. Rozmowa dotyczyła m.in. tabuizacji samobójstw w społeczeństwie, potrzeby edukacji psychologicznej, empatii w relacjach oraz

znaczenia wsparcia w procesie żałoby. Podziękowania autorce złożył Mariusz Frąć, członek Zarządu Powiatu.

Na zakończenie spotkania Monika Tadra podpisywała książki i rozmawiała z uczestnikami indywidualnie. Wiele osób dziękowało jej za odwagę i mądrość, z jaką podjęła tak trudny, a zarazem potrzebny temat. Wydarzenie było dowodem na to, jak wielką siłę może mieć słowo, empatia i uważność – oraz jak ważną rolę pełnią biblioteki jako miejsca dialogu, wsparcia i wspólnego doświadczania literatury, która zmienia spojrzenie na świat. Zapraszamy do lektury!

Elżbieta Patyk

Elżbieta Patyk

**„Anna Kamieńska
w moim życiu” – spotkanie
z prof. dr. hab. Karolem Samselem**



29 maja 2025 roku w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie odbyło się wyjątkowe wydarzenie literackie poświęcone twórczości Anny Kamieńskiej. Gościem Marzeny Marioli Podkościelnej był prof. dr. hab. Karol Samsel – poeta, filozof, literaturoznawca i znawca dzieł Cypriana Kamila Norwida. Podziękowania w imieniu samorządu powiatu przekazał Mariusz Frąć, członek Zarządu Powiatu.



*Mariola Podkościelna i Karol Samsel
(fot. Joanna Radziszewska).*

Spotkanie z cyklu „Anna Kamieńska w moim życiu” miało niezwykle osobisty i refleksyjny charakter. Profesor Samsel – znany z erudycji i głębokiego namysłu nad literaturą – podzielił się z uczestnikami nie tylko swoją wiedzą o poetce, ale także osobistym odbiorem jej twórczości.

Rozmowa dotyczyła nie tylko biografii Kamieńskiej i jej dorobku poetyckiego, lecz także tego, jak jej duchowa droga, przeżycia osobiste – w tym bolesne doświadczenia straty – wpłynęły na kształt jej pisarstwa. Prof. Samsel przypominał, że Kamieńska była poetką głęboko osadzoną w kulturze chrześcijańskiej, ale jej wiersze wykraczają poza ramy religijne – mówią o człowieku i dla człowieka.



Wiele miejsca poświęcono również działalności profesora jako redaktora numeru kwartalnika „eleWator” poświęconego Annie Kamieńskiej, który ukazał się z okazji 100-lecia urodzin poetki. Wspomniano o jej związku z Lubelszczyzną, o potrzebie przywracania jej tekstów do kanonu współczesnej poezji i refleksji literackiej.

Na zakończenie spotkania była możliwość indywidualnych rozmów z gościem. Uczestnicy korzystali z okazji do bezpośredniego kontaktu z wybitnym literaturoznawcą i poetą.

Wydarzenie odbyło się w atmosferze skupienia i intelektualnej inspiracji. Dla wielu obecnych było to nie tylko spotkanie z twórczością Anny Kamieńskiej, ale także wyjątkowa okazja do spotkania z literaturą najwyższej próby.

Elżbieta Patyk

Monika Nagowska

„Leśny album” na Siennickich Augustynkach



W Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej 11 kwietnia 2025 r. odbyły się Siennickie Augustynki i podsumowanie VII Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”. Przy organizacji konkursu, szkole towarzyszy od pierwszej edycji Nadleśnictwo Krasnystaw, również od początku wydarzenie patronatem medialnym obejmuje „Nestor”. Wysoką rangę konkursu potwierdza Honorowy Patronat Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi (od roku szkolnego 2019/2020) i wykaz zawodów wiedzy, artystycznych i sportowych Lubelskiego Kuratora Oświaty, w którym konkurs figuruje od roku 2021/2022.



Organizatorzy, jako główne cele wskazali propagowanie postawy szacunku wobec dziedzictwa przyrodniczego, jakim są lasy, oraz rozwijanie zainteresowań związanych ze sztuką fotografii i promowanie młodych talentów. Komisja konkursowa oceniała prace 19 marca. Jury tworzyli: Jarosław Gwardiak (nadleśniczy Nadleśnictwa Krasnystaw i przewodniczący komisji), Justyna Klejna (wicedyrektor Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej), Dariusz Kostecki (starszy wizytator z Delegatury w Chełmie Kuratorium Oświaty w Lublinie oraz członek Związku Polskich Artystów Fotografików), Monika Krysiak (przedstawiciel Nadleśnictwa Krasnystaw), Michał

Żywot (artysta fotografik) oraz Monika Nagowska (sekretarz komisji). Do konkursu zgłosiło się 106 uczniów, którzy łącznie przesłali 314 prac. Komisja nie zakwalifikowała 18 zdjęć (z uwagi na niezgodność z tematem konkursu), dokonała oceny i wyłoniła autorów najlepszych fotografii.

Oficjalne ogłoszenie wyników odbyło się podczas Siennickich Augustynek – święta szkoły, uroczystie otwartego przez Stanisława Buka (dyrektora Zespołu Szkół Centrum Szkolenia Rolniczego w Siennicy Różanej). Oprócz współorganizatora – nadleśniczego Nadleśnictwa Krasnystaw Jarosława Gwardia – uroczystość zaszczylicili swoją obecnością: Janusz Szpak (starosta krasnostawski), Przemysław Przewoźniak i Daniel Kondratowicz (przedstawiciele Stowarzyszenia Dowództwa Wojsk Specjalnych), sponsorzy, przedstawiciele samorządu i instytucji współpracujących ze szkołą oraz licznie przybyli uczestnicy konkursu, ich opiekunowie artystyczni i rodzice. Z niecierpliwością oczekiwano na ogłoszenie wyników. Komisja przyznała nagrody za I, II i III miejsce w dwóch kategoriach wiekowych i nagrody za wyróżnienia, w sumie dla 15 osób.

W kategorii szkół podstawowych:

I miejsce

Kamila Żeliszczyk „Leśne przejście”

ze SP w Tarnogórze Kolonii

II miejsce

Sandra Matczuk „Las Południoworostockańskiego Parku Krajobrazowego”

z SP w Siennicy Różanej

III miejsce

Igor Suchodół „Idealny kamuflaż”

ze SP w Borowinie Sitanieckiej.

W kategorii szkół prowadzonych przez ministra rolnictwa i rozwoju wsi:

I miejsce

Dymitr Szwałek „Niezła rodzinna na Polesiu”

z ZSKR w Leśnej Podlaskiej

II miejsce

Jakub Pukała „Piękna ruda”

z ZSKR w Różańcu

III miejsce

Kamil Padiasek „Zniszczona harmonia”

z ZSKR w Różańcu.

Wyróżnienia otrzymali (w kolejności alfabetycznej):

- **Łucja Bąk** „Zza drzew”
ze SP nr 5 w Krasnymstawie
- **Maryla Dudkowska** „Niesamowity las”
ze SP nr 5 w Krasnymstawie
- **Adam Ó Fionnain** „Leśna koronka”
ze SP nr 50 w Lublinie
- **Małgorzata Iwaniec** „Zimowy szlak”
z ZSKR w Różańcu
- **Joanna Kostrzanowska** „Melodia płynącej wody” z ZSKR w Siennicy Różanej
- **Michał Królikowski** „Przemijanie i odrodzenie” ze SP w Sawinie
- **Bartosz Nadolski** „Siła natury”
ze SP w Białopolu
- **Milena Ostasz** „Kozibród łukowy”
ze SP w Trawnikach
- **Szymon Panas** „Leśna tancerka”
z ZSKR w Okszwie.



Po wręczeniu nagród wykonano zbiorowe zdjęcie laureatów wraz z komisją konkursową i zaproszonymi gośćmi. Dla wszystkich uczestników i ich nauczycieli obecnych na uroczystości przygotowano upominki i podziękowania za udział w konkursie. Prace wyeksponowano na wystawie pokonkursowej, a wybrane fotografie każdego z uczniów znalazły się w prezentacji multimedialnej odtworzonej podczas uroczystości.

Licznie zgromadzona publiczność z zainteresowaniem obejrzała program artystyczny. Niezwykłych wrażeń dostarczył premierowy pokaz musztry paradnej w wykonaniu oddziału przygotowania wojskowego. Zachwycona publiczność nagrodziła utalentowanych uczniów i kadetów grom-



tować umiejętności kulinarne i doskonałe wyposażenie szkolnej pracowni gastronomicznej.

W konkursie wzięli udział pasjonaci fotografii i przyrody z całego województwa. Swoją reprezentację miały szkoły z takich miejscowości jak: Białopole, Borowina Sitaniecka, Chełm (SP nr 4, 5 i 8), Chłaniów, Dubienka, Fajslawice, Korolówka-Osada, Kotlice, Krasnystaw (SP nr 5), Kraśniczyn, Krupe, Leśna Podlaska, Lublin (SP nr 50), Okszków, Rejowiec, Różaniec, Sawin, Siedliska Drugie, Siennica Nadolna, Siennica Różana, Świerszczów, Tarnogóra Kolonia, Trawniki, Trzeszczany Pierwsze, Uher, Wielącza, Wirkowice Drugie i Żółkiewka.

kiimi brawami. Siennickie Augustynki po raz kolejny skupiły młodych ludzi zainteresowanych fotografią i przyrodą oraz szukających pomysłu na dalszą edukację. Pozwoliły młodzieży z klas siódmych i ósmych na poznanie oferty edukacyjnej oraz znakomitych warunków nauki w Siennicy Różanej. Młodzież zwiedzała sale lekcyjne, szkolny internat i pracownie do nauki zawodu. Uczniowie próbowali swoich sił na wirtualnej strzelnicy utworzonej wspólnie z samorządem gminnym w ramach programu ministra obrony narodowej „Strzelnica w powiecie”. Zaprezentowano najnowocześniejszy sprzęt rolniczy, służący do realizacji kształcenia w zawodzie technik mechanizacji rolnictwa i agrotechniki. Poczęstunek przygotowany przez uczniów kształcących się w zawodzie technik żywienia i usług gastronomicznych pozwolił zaprezen-

Nagrody ufundowali: Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Czesław Siekierski, Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej, Nadleśnictwo Krasnystaw, Koło Łowieckie nr 6 Jarząbek, Zakład Produkcji Mebli AMIR – Mirosław Sołtys, Sklep Mundurowy WOJ-POL z Trzebiatowa, Przedsiębiorstwo NIZBUD – Mariusz Nizioł, Przedsiębiorstwo PRO-TECH – Tomasz Szewczak. Oprócz cennych nagród, laureaci otrzymali też oprawione zwycięskie fotografie – będą miłą pamiątką artystycznego sukcesu.

Monika Nagowska
Fot. Anna Kowalik

Tomasz Sienicki

Reyów i Siennickich wspólne biesiady



W dniach 23-25 maja 2025 w Siennicy Różanej odbył się drugi w historii „Festiwal Mikołaja Reya”. To niezwykle, że tak szacowne wydarzenie ma miejsce w niewielkiej wsi. Mogłoby go poza-
zdrościć niejedno duże miasto...

Ponownie zabawa była przednia, publiczność mogła do syta kosztować renesansowych potraw przygotowanych i dowcipnie komentowanych przez znakomitych znawców tematu. Najważniejszym z nich był Nicolas Rey, potomek znanego wszystkim Mikołaja Reya (1505-1569), mieszkującego w Siennicy Różanej i w jej okolicach w wieku XVI, podobnie jak Mikołaj Sienicki (1521-1581).

Dlaczego Mikołaj „Rey”, a nie Mikołaj „Rej”? To błąd pisarski. Nicolas poświęcił temu zagadnieniu kilka chwil swojej gawędy. Analogicznie powinniśmy pisać i mówić Mikołaj „Sienicki”, nie Mikołaj „Siennicki”... Ktoś zamienił „y” na „j”, a „n” na „nn”...

Pod tekstem Czytelniczki widzą medale. Prezentują się jak pieczęcie. Podczas festiwalu i wspólnej biesiady Reya i Sienickiego w roku 2025 nosiliśmy je w kieszeniach. Na wszelki wypadek, gdyby trzeba było podpisać i opieczetować jakieś dokumenty. :)

Jak to wcześniej bywało na naszych łamach, pozwoliłem sobie wymyślić dla Czytelników pewną historyjkę w postaci kilku fraszek, oraz przymiarek do hymnu Siennicy Różanej. Oto Mikołaj Rey – „ojciec literatury polskiej” i Mikołaj Sienicki – „polski Demostenes”, byli obaj na sejmie roku 1569. W lipcu podpisano tam akt Unii Lubelskiej, byłoby więc zupełnie naturalne, gdyby sąsiedzi zechcieli uczcić wydarzenie po powrocie do domów, póki było lato. Czy obaj byli miłośnikami jadła i napojów? Czy obaj nazywali dania pieścizotliwie? Gdy wyobrazimy sobie, że tak... aż ślinka cieknie... Przekonajmy się, czytając dalej...

Tomasz Sienicki

Tomasz Sienicki

Rok był tysiąc i pięćset sześćdziesiąt dziewięć,
Dwaj Mikołaje się tu w Siennicy spotkali,
Rey gościł Sienickiego, co z Bończy zajechał
I we dwóch od poranka współbiesiadowali.
Różnica między nimi była lat szesnastu,
Cny gospodarz był w lecach sześćdziesięciu pięciu,
Zliczyć to łatwo można, że młodszy gość jego
Dochodził wonczas roków czterdziestu dziewięciu.
Fetowali wiktoryę Rzeczypospolitej,
Boć unia z Litwą wonczas była podpisaną,
Radowali się oba ufający szczerze,
Że jest wielka Ojczyzna już na zawsze daną.

Poczęli święto świtem śniadając polewką
Z piwka, kurzych żółteczek i serka przedniego.
Posilali się trzeźwo z pocziwym umiarem,
Przeto nie wzniesli wonczas toastu żadnego,
Przed południem się pany raczkami raczyli,
Czerwoniutkie, wąsate, w koperku moczone,
Delikatne mięsiwko z szyjek dobywali,
Jalowcóweczką cierpką obficie ochrzczone.
Potem zacie kapłonki i gąski rumiane,
Przepióreczki, bekaski jak cud, dają słówko,
Kuropatewki zgrabne, pyszne bażanciki...
Smacznie je popijali gorzką dereniówką.

Obiad...Twarde to jadlo, lecz z pieszczotą zwane,
Więc: comberki, udzyczki, szyneczki, schabeńki
Jęzorki, policzuszki, łopatki, żeberka,
Biodróweczki, golonki oraz karkóweczki.
Po drzemce k podwieczery siedli Mikołaje,
Poczynając od słodkiej maślanej chałeczki
Zaplecionej misternie, kminkiem posypanej.
Po niej szły makowniczeki, placuszki, bułeczki.

Słońce zaszło... Wieczerzać panowie poczęli.
Aby siły odzyskać po długiej zabawie,
Śliwowyjaską chucie zaostrzyli sobie,
Zawołali o jadlo najzdrowsze prawie.
Przyszedł czas na rybeńki... Karaski, linusie,
Płociuńki i leszczyki w stawie utłwione,
Okonki, węgorzyki, szczupaczki, karpiki
Szarym sosikiem zacnym smacznie przyprawione.

Nad rankiem na podkurek gorący bulionik
Z kołdunkami... z litewska... jagnięcie nadzienie
I juszka buraczkowa z grzybnym pasztetkiem...
Lecz ich okrutne w końcu dopadło zmęczenie.
Załkał Rey, że już trzeba mu żegnać sąsiada,
Zapłakał i Sienicki, że loba się kończy...
„Na koń! Gdzie moje siodło!? Strzemię mi podajcie!”
Na wóz go spakowali, powieźli do Bończy.

Pysnie się Mikołajom spało po biesiadzie.
 Z pierzynek i z jasięczków sny im się wyśniły,
 Jakiesi dziwne światy, hymny i wiwaty,
 Ojczyzna, kraj rodzinny bliski sercu, miły.
 Wiwat orzeł bielutki na polu czerwonym!
 Wiwat król, sejm i senat! Wiwat wszystkie stany!
 Wiwat nadobni goście! Wiwat cni mieszkańcy!
 Wiwat starzy i młodzi, i panie, i pany!
 A że z Mikołajami wiwaty wznosilim,
 Co obydwa mieszkali w naszej okolicy,
 Przeto o nich śpiewajmy, boć warci są tego.
 Wiwatujiemyż im w hymnie Różanej Siennicy!

(Na melodię „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...”)

Od poranka do wieczora, z wieczora do rana
 W naszych sercach, w naszych myślach – Siennica Różana.
 Dwóch patronów od stuleci opiekę nam dają,
 Waszmość Rej i Waś Sienicki, obaj Mikołaje!
 Waszmość Rej i Waś Sienicki, obaj Mikołaje!

Od poranka do wieczora, z wieczora do rana
 W naszych sercach, w naszych myślach – Siennica Różana.
 Czy pogoda jest słoneczna, czy aura ponura
 Piękna Siennica Różana! Hura! Hura! Hura!
 Wiwat Siennica Różana! Hura! Hura! Hura!



Medal „Mikołaj Rey”, proj. Jerzy Jarnuszkiewicz 1978.
 Medal „Mikołaj Sienicki”, proj. Anna Jarnuszkiewicz 1981.



Nicolas Rey, Tomasz Sienicki, fot. Anna Szalacha 2025.

Elżbieta Patyk

Relacja z Nocy Kosmonautyki – kosmiczne święto w bibliotece!



11 kwietnia 2025 roku w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie odbyła się **Międzynarodowa Noc Kosmonautyki**, która zgromadziła miłośników nauki, astronomii i podróży kosmicznych. To wyjątkowe wydarzenie przyciągnęło liczne grono pasjonatów oraz osoby ciekawe świata i Wszechświata. Prelegentami byli członkowie Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii Oddział Lublin i Oddział Kielce.

Spotkanie rozpoczęło się fascynującą prelekcją **Wiesława Krajewskiego**, który przybliżył postać **Mieczysława Bekkera**, jednego z najwybitniejszych polskich inżynierów XX wieku, którego nazwisko na trwałe zapisało się w historii podboju kosmosu. Urodzony w Strzyżowie, koło Hrubieszowa, kształcił się na Politechnice Warszawskiej, a w czasie II wojny światowej pracował dla aliantów. Po wojnie kontynuował karierę naukową i inżynierską w Kanadzie i USA. Jego specjalnością były pojazdy terenowe, które mogły poruszać się po trudnym, nieregularnym podłożu – to właśnie te badania okazały się kluczowe w momencie, gdy NASA rozpoczęła przygotowania do misji księżycowych Apollo. Bekker był jednym z głównych konstruktorów pojazdu księżycowego – **Lunar Roving Vehicle**, który po raz pierwszy został użyty podczas misji Apollo 15 w 1971 roku. Umożliwił on astronautom znacznie większy zasięg eksploracji powierzchni Księżyca i stał się ikoną zaawansowanej technologii kosmicznej. Oprócz pracy dla NASA, Bekker był autorem wielu publikacji naukowych z dziedziny mechaniki gruntu i pojazdów terenowych. Jego książka „Theory of Land Locomotion” do dziś stanowi podstawę w tej dziedzinie nauki. Mieczysław Bekker to postać, która pokazuje, że polska myśl techniczna ma ogromny wpływ na rozwój światowej nauki. Jego życiorys to dowód na to, że pasja, wiedza i konsekwencja mogą zaprowadzić człowieka aż na Księżyc.

Następnie **Zbigniew Jankowski** zabrał uczestników w wirtualną podróż do Jowisza, przedstawiając najnowsze doniesienia z zakresu badań

planet gazowych w wystąpieniu „Rozkład jazdy do Jowisza”. Opowiedział też o aktualnościach astronautycznych. Jowisz, największa planeta naszego Układu Słonecznego, fascynuje naukowców i miłośników astronomii od wieków. Jowisz jest prawdziwym olbrymem – jego średnica wynosi około 142 984 km, co czyni go ponad 11 razy większym od Ziemi. Masa tej planety stanowi około 70% masy całego Układu Słonecznego, poza Słońcem. Atmosfera Jowisza składa się głównie z wodoru (około 90%) oraz helu (około 10%), z dodatkiem metanu, amoniaku, pary wodnej i innych związków chemicznych. To właśnie różnorodność tych substancji tworzy charakterystyczne, kolorowe pasy i burze na powierzchni planety. Najbardziej znanym zjawiskiem jest Wielka Czerwona Plama – gigantyczny antycyklon, który trwa przez setki lat, osiągając roz-

liczne księżyce oraz silne pole magnetyczne czynią z niego jedno z najciekawszych miejsc do eksploracji kosmicznej. Zagłębiając się w tajemnice tej planety, możemy lepiej zrozumieć nie tylko Układ Słoneczny, ale także mechanizmy działania wszechświata.

Dużym zainteresowaniem cieszył się wykład **Marcina Jarskiego**, który opowiedział o nowym polskim astronautcie oraz aktualnych zjawiskach widocznych na nocnym niebie. **Sławosław Wiśniewski** to polski inżynier, naukowiec i najnowszy kandydat na astronautę Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), który już dziś inspiruje tysiące młodych Polaków marzących o gwiazdach. Jego wybór do elitarnego grona rezerwy astronautów ESA ogłoszono w listopadzie 2022 roku. To historyczne wydarzenie, ponieważ po ponad 40 latach od misji Mirosława Hermaszewskiego, Polska znów



Fot. Joanna Radziszewska.

miary większe od Ziemi. Jowisz posiada niezwykle silne pole magnetyczne, które jest dziesięć razy silniejsze od ziemskiego. To pole tworzy ogromną magnetosferę, chroniącą planetę przed cząstkami pochodzącymi z Słońca, ale jednocześnie generującą intensywne promieniowanie, co stanowi wyzwanie dla misji kosmicznych. Największe księżyce Jowisza – Io, Europa, Ganimedes i Kallisto – stanowią przedmiot intensywnych badań. Badanie Jowisza i jego księżyców dostarcza cennych informacji o procesach planetarnych, powstawaniu Układu Słonecznego i potencjalnych warunkach do rozwoju życia. Misje, takie jak Galileo czy Juno dostarczyły nieocenionych danych, które wciąż są analizowane przez naukowców na całym świecie. Jowisz to nie tylko imponujący gigant, ale także laboratorium naturalnych zjawisk, które pozostają przedmiotem fascynacji badaczy. Jego dynamiczna atmosfera,

ma realną szansę na udział w załogowej misji kosmicznej. Uznański urodził się w 1984 roku w Łodzi. Jest absolwentem Politechniki Łódzkiej, doktorem nauk technicznych, specjalistą w dziedzinie elektroniki i fizyki promieniowania. Pracował m.in. w **CERN** – Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych, gdzie zajmował się projektowaniem układów

elektronicznych odpornych na promieniowanie, wykorzystywanych w najbardziej wymagających środowiskach, np. w akceleratorze cząstek LHC. Jego imponujące CV, doświadczenie naukowe i nienaganna kondycja fizyczna sprawiły, że znalazł się wśród zaledwie kilkunastu osób wybranych spośród ponad 22 tysięcy kandydatów z całej Europy. Jako członek rezerwy ESA, Uznański przeszedł liczne testy, a obecnie uczestniczy w szkoleniach przygotowujących do lotu w kosmos – na pokład Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Jego historia to przykład współczesnego bohatera nauki, który pokazuje, że determinacja, wiedza i odwaga mogą prowadzić ku gwiazdom. Dla polskiej nauki i astronautyki to ogromne wyróżnienie, a dla młodego pokolenia – niezwykła inspiracja.

Gościem specjalnym był **Mikołaj Sabat** z Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii

Oddział Kielce. Astronom, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim, to ceniony naukowiec specjalizujący się w dziedzinie astrofizyki i badań kosmicznych, zaprezentował projekt HYADES. Polska nauka wkracza w nową erę dzięki projektowi HYADES – pierwszemu polskiemu teleskopowi kosmicznemu, który ma zostać wyniesiony na orbitę okołozemską. Celem misji jest odpowiedź na jedno z największych pytań nauki: skąd pochodzi woda na Ziemi? Projekt realizowany jest przez Centrum Badań Kosmicznych PAN oraz konsorcjum polskich uczelni i firm sektora kosmicznego, przy współpracy z międzynarodowymi partnerami. HYADES ma być niewielkim, ale bardzo zaawansowanym instrumentem, który będzie prowadził obserwacje pasma podczerwonego i ultrafioletowego, rejestrując skład chemiczny gazów i pyłu w przestrzeni kosmicznej. Szczególną uwagę teleskop poświęci asteroidom typu C, czyli ciałom niebieskim bogatym w wodę i związki organiczne. To właśnie te asteroidy mogą być odpowiedzialne za przyniesienie wody na Ziemię w początkowym okresie jej formowania. Teleskop HYADES zostanie wyniesiony na orbitę, a jego misja potrwa minimum 3 lata. To nie tylko ogromne osiągnięcie dla polskiej nauki, ale także ważny krok w rozwoju krajowego sektora kosmicznego i prestiżowy przykład udanej współpracy nauki z przemysłem. To projekt, który pozwoli Polakom dosłownie spojrzeć w gwiazdy z własnej perspektywy – jako twórcy narzędzi do odkrywania tajemnic Wszechświata.

Nie zabrakło również ciekawostek – **Marek Więckowski** podzielił się nowinkami z orbity, a **Łukasz Tkaczyk** zaprosił uczestników do świata mikroobserwacji, pokazując meteoryty przez mikroskop. Na zakończenie odbyła się interaktywna sesja „Wszystko, co chcecie wiedzieć o Kosmosie”, podczas której każdy mógł zadać pytania prelegentom. Atrakcją towarzyszącą wydarzeniu była wystawa teleskopów oraz wystawa modeli ciał Układu Słonecznego.

Noc Kosmonautyki w naszej bibliotece była nie tylko okazją do poszerzenia wiedzy, ale też do inspirującego spotkania z nauką i pasją. Dziękujemy wszystkim za obecność i już dziś zapraszamy na kolejne wydarzenia pod gwiazdami!

Elżbieta Patyk

Lucjan Cimek

Chciał Polską
cały świat zadziwić



Czwartego lipca mija 135 lat od sprowadzenia do Ojczyzny prochów największego poety Polski i całej Słowiańszczyzny – Adama Mickiewicza. W dalekim Konstantynopolu, na ubogim łożu, skończył pracowite życie, nie doczekawszy wolności, jeden z najlepszych synów, jakiego Ojczyzna nasza w tysiącletnich dziejach wydała. A kończył je zupełnie przytomnie.

Kiedy jeden z garstki obecnych zapytał, co przekazać dzieciom – sierotom (matka zmarła 5 marca 1855 r.), Mickiewicz cicho, ale wyraźnie powiedział: *Powiedzcie moim dzieciom niech się kochają... zawsze!* Skonał, oddając duszę Bogu. Zegar wskazywał godzinę dwudziestą minut czterdzieści pięć.

Noc z 26 na 27 listopada 1855 r. garstka obecnych przy zgonie wieszczka spędziła przy zwłokach *plącząc dopóki też stało*. Nad ranem ktoś zapytał: *Czy to była cholera?* Odpowiedź lekarza brzmiała: *Kto to może wiedzieć?* Drugi lekarz stwierdził: *...to nie cholera!*

Z polecenia konsula francuskiego ciało zabalsamowano i podpisano akt zgonu, następnie zdjęto maskę twarzy, ubrano ciało i włożono do trumny. Włożono futerko darowane przed laty przez poetę Bohdana Zaleskiego, na głowę – konfederatkę i zamknięto w dwóch trumnach: ołowianej i drewnianej przepasanej szarfą w barwach narodowych polskich. W izbie zgonu zwłoki spoczywały aż do 31 grudnia, tj. do dnia nadejścia pozwolenia rządu francuskiego na przewiezienie ich i pochowanie w Paryżu.

Dzień 31 grudnia 1855 r. wstał w Konstantynopolu ponury i dżdżysty, od rana padał deszcz, niebo zasnucone było ciemnymi chmurami. Ludzie brnęli w błocie, a mimo to stanęło ich takie mnóstwo złożone z trzydziestu narodowości. Szli w pogrzebowym orszaku Ormianie i Żydzi, Turcy i Serbowie, Słowacy i Chorwaci, Dalmatyńcy i Czarnogórcy. Ludzie różnych ras i wyznań oraz cała polska kolonia przebywająca wówczas ochotniczo w zastępach Kozaków Otomańskich,



Adam Mickiewicz, według portretu olejnego Józefa Oleszkiewicza z 1823 r. (Źródło: S. Kolbuszewski „Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji”, Spółdz. Wyd. „Czytelnik”, Katowice 1946, s. 61).

których potomkowie do dziś żyją w Adampolu – polskiej osadzie w Turcji i w Burgas w Bułgarii. W ich mieszkaniach na specjalnie uhonorowanych miejscach widnieją portrety św. Jana Pawła II i A. Mickiewicza ...*naszego ukochanego poety*.

Trumnę poety złożono na okręcie „Eufrat”, który 9 stycznia 1856 roku dopłynął do Marsylii. Z tego portu trumna z ciałem wieszczki została przewieziona koleją do Paryża. Żałobny akt pogrzebu odbył się 21 stycznia na cmentarzu Montmorency.

Na ziemi Francuzów poeta spoczywał 35 lat. W roku 1890 prochy Tego, co tak gorąco ukochał kraj rodzinny i naród, iż *chciał go dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić...*, powróciły triumfalnie do Ojczyzny i zajęły najgodniejsze miejsce spoczynku – w Katedrze Wawelskiej. Złożono je tutaj 4 lipca z najwyższą czcią i honorami.

Doczesne szczątki Ojca powitał najstarszy syn poety, Władysław Mickiewicz (1838-1926), wyrażając wdzięczność narodowi za trud sprowadzenia i złożenia prochów Pielgrzyma – Ojca wśród

królewskich grobów. Trumnę złożono w pięknym sarkofagu na ziemi z Nowogródka i piasku z Niemna. W 1927 roku Mickiewiczowi na Wawelu przybył towarzysz wiecznego snu – Juliusz Słowacki, którego imię (od 15 września 2011 r.) nosi Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym, gm. Krasnystaw, nawiązująca tym aktem do polskiego romantyzmu.

Adam Mickiewicz umarł w godzinie czynu zbrojnego! Zygmunt Krasiński (1812-1859), na wieść o zgonie Wieszczki napisał: *On był dla ludzi mego pokolenia mlekiem i miodem – żółcią i krwią duchową! My z Niego wszyscy!* Te słowa są bardzo wymowne, tym bardziej, że skreślił je przeciwnik ideowy Mickiewicza, który docenił Adama po jego śmierci. Wszyscy, którzy go zwalczyli, teraz gdy odszedł występowali jako jego wielcy wielbiciel. Niestety, mamy zwyczaj dobrze mówić o bohaterach dopiero po ich zgonie...

Lucjan Cimek

Wszystkie wyrażenia ujęte kursywą pochodzą z monografii Mieczysława Jastruna „Mickiewicz” (PIW, Warszawa 1955).

Lucjan Cimek

Powinność

A kiedy Adama z nami już nie ma,
Usypmy mu kurhan stepowy –
Aby usłyszał jak burzan pieśń gra
I wiatr stepem przewala się płowy.

By mu księżyc wstający z limanów
Oczy prószył jarzębiną czerwoną –
I klekotanie by słyszał bocianów,
Gdy skrzydłami lotnymi wiatr chłoną.

Niech tam orły piórami pieśń kraszą,
A słowik piosenkę zakwili –
Bo o wolność on waszą i naszą
Walczył – zanim spoczął w mogile.

Niech tam chmury siniejące rozgarną
Błękit nieba najczystszy i skromny –
Aby nocą wieńczyć już czarną,
Patrzył w kosmos nad nim ogromny.

Elżbieta Petruk

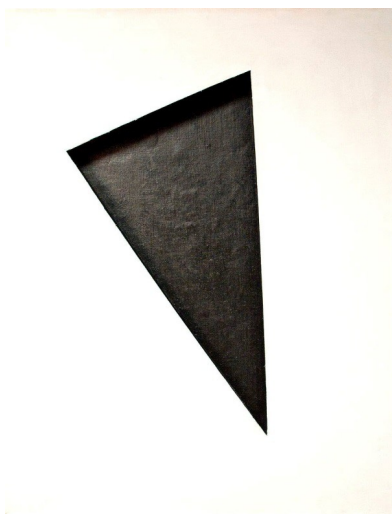
Galeria 72 – okno na sztukę współczesną



Trafiła do mnie książeczka, a właściwie katalog wystawy, w której kuratorzy zestawili dorobek „mistrza XX wieku” – Kajetana Sosnowskiego, z twórczością współczesnej artystki. Zawsze jest mi miło, gdy w innych, niż lokalne, okolicznościach odnajduję ślady chełmskich artystów. Uznałam więc, że to dobry przyczynek, aby przypomnieć postać bardzo ważną dla Chełma, dzięki której to miasto nie jest anonimowe na artystycznej mapie Europy.

Kajetan Sosnowski (1913-1987) urodził się w Wilnie, ale lata szkolne spędził w Chełmie, do którego wraz z rodzicami przybył w roku 1920. Mimo tak niewielkiej społeczności, jaką wówczas stanowili mieszkańcy tego miasta, miał szczęście poznać ludzi wybitnych, zaangażowanych w kształtowanie kulturalnego pejzażu, założycieli pisma literackiego „Kamena”. Zenon Waśniewski (1891-1945) – nauczyciel plastyki i Kazimierz Andrzej Jaworski (1887-1973) – polonista, wywarli znaczący wpływ na rozwijanie się wrażliwości młodego człowieka. Sosnowski prezentował różnorakie uzdolnienia, ostatecznie jednak zdecydował się na studia artystyczne, kończąc w Warszawie Akademię Sztuk Pięknych. Do Chełma chętnie wracał, spotykał się ze znajomymi z czasów szkolnych. Był już uznanym, awangardowym artystą nieustannie przekraczającym granice tradycyjnego malarstwa, gdy podczas jednej z sentymentalnych wizyt w Chełmie, złożył w Wydziale Kultury Powiatowej Rady Narodowej tego miasta propozycję powołania galerii sztuki współczesnej. Był to śmiały, ale i ryzykowny pomysł, by w mieście bez wystawienniczych tradycji tego rodzaju sztuki tworzyć

miejsce prezentacji nowatorskich trendów. Był rok 1972 i Sosnowski znalazł znaczących sprzymierzeńców w realizacji swojego projektu: Zenona Stachirę – ówczesnego kierownika ww. wydziału chełmskiego urzędu i Bożenę Kowalską – zaprzyjaźnioną z Sosnowskim znaną krytyczką sztuki z Warszawy, która zgodziła się pomóc mu w merytorycznym prowadzeniu galerii. Tak właśnie narodziła się Galeria 72. Nazwę, zawierającą w sobie datę powstania tego miejsca, zaproponował Sosnowski. W następnym roku, niestety zachorował i stery galerii na 28 lat przejęła Kowalska.



Prace Kajetana Sosnowskiego.

Z otwarciem wystawy wiąże się zabawna anegdota. Sosnowski i Kowalska wiedzieli, że pierwsza wystawa będzie bardzo ważna. Gustując w abstrakcji geometrycznej, nie chcieli prezentować malarstwa realistycznego, ale też nie chcieli przestraszyć i zniechęcić mieszkańców Chełma. W końcu zdecydowali się na Jana Dobkowskiego. Jego prace były nowoczesne, trochę abstrakcyjne, ale w których przy odrobinie wyobraźni można było coś zobaczyć. Siedziba muzeum mieści się do dzisiaj w budynku popijarskiego klasztoru i sąsiaduje z kościołem pw. Rozesłania Apostołów. Zatem po sąsiedzku na wystawę wpadł ksiądz i gdy zobaczył na obrazach coś jak plemniki, jak piersi, to z ambony zakazał ludziom chodzenia na takie nieprzyzwoite wystawy. Lepszej reklamy nikt by nie wymyślił! Mieszkańcy przybyli licznie na wystawę i galeria stała się sławna.

Od roku 2001 Galeria 72 jest pod opieką Jagody Barczyńskiej – historyczki sztuki i kierowniczki Działu Sztuki Współczesnej Muzeum Ziemi Chełmskiej im. Wiktora Ambroziewicza. Barczyńska kontynuuje dzieło swoich poprzedników i często powtarza: „Bez Kajetana Sosnowskiego nie wydarzyłoby się nic, a bez Bożeny Kowalskiej nie wydarzyłoby się wiele”. Na ponad pół wieku historii tego miejsca składają się nie tylko wystawy, nie tylko autorzy tych wystaw, ale też muzealna kolekcja: ponad 2800 obiektów z zakresu malarstwa, rzeźby, grafiki, rysunku, fotografii i instalacji. Wśród 390 twórców tych dzieł, 150 to artyści zagraniczni. Znajdziemy tu znane nazwiska: Henryk Stażewski, Ryszard Winiarski, Jerzy Nowosielski, Roman Opałka, Natalia Lach Lachowicz, Wojciech Fangor, Aleksandra Jachtoma, Edward Dwurnik, Maria Michałowska, Richard Anuszkiewicz, Max Bill, Carlos Cruz-Diez, Milan Dobeš i wielu innych z Kajetanem Sosnowskim, rzecz jasna, na czele.

Galeria 72, miejsce niemal w zasięgu ręki ma dzięki temu dodatkowy walor dla mieszkańców Chełma i okolic – bez wątpienia edukacyjny! Znamy dzieła starych mistrzów, pewnie bardziej je rozumiemy, przyzwyczailiśmy się, lubimy i cenimy je, ale sztuka nieustannie ewoluuje. Nowe okoliczności, nowe technologie i możliwości poszerzają granice twórczej wyobraźni i inspirują do nowego spojrzenia na świat. Artystom nie wystarcza, co było, poszukują nowych środków wyrazu, które mogą być nietłumaczone w odbiorze dla kogoś, kto nie dopuszcza do siebie innej sztuki, niż klasyczna. Galeria 72 daje możliwość poznania nowatorskich trendów w sztuce, oswojenia ich, odkrywania szans na poszerzenie własnych horyzontów i dostrzeżenie piękna w nieoczywistych formach.

Sztuka współczesna to nieskończony dialog pomiędzy tradycją a nowoczesnością, między artystą a widzem. Warto się na nią otworzyć.

Elżbieta Petruk

* Cytaty pochodzą z katalogu wystawy „Kiedy słońce świeci inaczej. Kajetan Sosnowski, Magdalena Komar”, Fundacja Polskiej Sztuki Nowoczesnej, Warszawa 2025.

Edward Franciszek Cimek

Reszta życia. Rok 1991
(wybór z dziennika)



(styczeń)

5 stycznia. Pierwsza tegoroczna podróż. Lubię podróżować, odwiedzać niezwykle miejsca, spotykać ciekawych ludzi. Dzisiaj przemierzyłem wzdłuż Zamość. Wojewódzki Dom Kultury. W kawiarnianej salce kilkanaście osób. Ksiądz Michał Słotwiński wymienił ze mną noworoczne życzenia. Andrzej Józef Misiura ucałował mnie serdecznie. Przywitałem się z Janem Henrykiem Cichoszem, który przybył prezentować „Wieczór autorski”. Chciałem kupić na spotkaniu „Wieczór autorski”. Henryk mnie powstrzymał, obiecał dać darmo. A więc... nie mam tego zbioru.

9 stycznia. W „Dzienniku Lubelskim” dodatek „Zwierciadło Chełmskie”. Tu w „Szpalcie Pega-za” mój utwór i notka. Dziwna niespodzianka.

18 stycznia. Najtrudniej w pracy pedagogicznej jest oceniać uczniów. Dokonałem tego dzisiaj w niezłej klasie IV a. Ani jednej dwójki, chociaż trudno było różnicować stopnie. Łatwo o niesprawiedliwość. Och, jakże trudno być sprawiedliwym.

19 stycznia. Po raz pierwszy tego roku w bibliotece gminnej. Można tu kupić niektóre książki, choć wybór ubogi. W byłej księgarni były prezes spółdzielni „Samopomoc Chłopska” sprzedaje gwoździe i łańcuchy. Wypożyczyłem wspomnienia o Bolesławie Prusie. W Krasnymstawie u fryzjera nadal pięć tysięcy złotych. Zastanawiam się jedynie, kto nas wkrótce będzie strzygł, gdyż fryzjerzy się starzeją. Byłem w kościółku Trójcy Przenajświętszej: skromne wnętrze, sosnowa podłoga. I czerwona „wieczna” lampka przed tabernakulum. Na bazarze zgiełk. Wszystko można kupić, więc nabyłem słownik „Nauka o języku”. Dwadzieścia tysięcy.

21 stycznia. Otrzymałem honorarium za grudzień. Za szkic i wiersz w „Tygodniku Zamojskim”. Dwadzieścia dwa tysiące złotych. Nadszedł pierwszy numer „Rycerza Niepokalanej”. Wspaniały miesięcznik. Wieczorem Kasia na Dzień Dziadka wręczyła mi piżamę. Babcia otrzymała chustę.

22 stycznia. Wieczór z kolegami w „Padwie”. Drogo i byle jak. Zresztą, bylejałość panuje w osadzie. Wiele ścian upstrzonych głupimi napisami. Dziczający, rozdeptany skwer. Rozwleczone po zaułkach ławki, zdewastowana fontanna, afisze na drzewach. A podobno wójt i rada drą ze sobą koty.

23 stycznia. Urząd Wojewódzki [w Zamościu]. Kameralna sala obrad. Literaci i malarze, muzycy, fotograficy i regionaliści, bibliotekarze i muzealnicy, i animatorzy kultury zamojskiej. Pięćdziesiąt zaproszonych osób. Przemówienie wojewody. Ciasta i napoje. A mnie i księdza Słotwińskiego spotkała niespodzianka. Wręczono nam tomiki wierszy. Radosne odczucie, wielka satysfakcja z moich „Ech i szeptów”. Henrykowi Cichoszowi, który też tu gościł, dałem zbiorok z dedykacją. On mnie również obdarował swym „Wieczorem autorskim”. Od poetki z Hrubieszowa Kazimieri Wiśniewskiej otrzymałem „Moje srebrne nuty”. Pogawędziliśmy trochę. A nadto z księdzem kanonikiem, dziekanem zamojskim. I z Elżbietą Gnyp, zamojską malarką, i z dyrektorką Zofią Piłat. W domu gratulacje, radość Bogumiły. Uroczysty dzień.

29 stycznia. Pociąg do Lublina. Dworzec Główny. Ślisko. Krok ze stopnia przy peronie...!! Tylko zadźwięczało w głowie. Wszystko mi zawirowało i z sił opadłem. Połała się z głowy krew. Młody człowiek przystanął i zatroszczył się o mnie. Podtrzymał, podścielał papiery, chroniąc mnie przed zaplamieniem krwią i wezwał pogotowie. Zapytałem go o nazwisko, lecz wypadło z pamięci. Karetką do kliniki. Rentgen głowy. Zastrzyk. Zszycie rany. Badanie neurologa i pozwolono mi odjechać. W biurze ZLP [Związku Literatów Polskich] przebywała już Matylda Wełna, poetka i pisarka. Przyszła sekretarka i prezes Henryk Pająk. Wypiłem kubek herbaty i zapłaciłem składkę. O zakupach już nie myślałem. Szybko do pociągu.

30 stycznia. Gość z Lublina, z PKP. Napisał protokół o moim wypadku. Zrzekłem się odszkodowania. Może Bóg tak chciał. Zaufałem Panu Bogu. Listy od przyjaciół. Longin [Okoń] wdzięczny za „Echa i szepty”. Władzia [Utnik] napisała o moich utworach: „Zmuszają do zadumy, nakazują zatrzymanie się, uświadamiają, że jesteśmy przechodniami”. Miłe słowa. Lektura tygodników. Wywiad z Henrykiem Cichoszem w „Tygodniku Współczesnym”. I cztery miniatury. W „Przeglądzie Kresowym”

recenzja książki Adama W. Kulika „Ziemie pulsujące”, autorstwa Henryka Cichosza. Same zachwyty i kadzidło. Zatem trzeba książkę kupić. Obolały, osłabiony zaczynam ciężką, niespokojną noc.

(lut)

2 lutego. Mróz szaleje. Dwadzieścia pięć stopni. W ośrodku zdrowia opatrunek. Z troską mi zrobiono.

4 lutego. W redakcji „TZ” przyjęto dwa nowe teksty. Za tydzień „Tygodnik” zostanie sprzedany. „Chłodziarka” do Hrubieszowa. Dotarłem w znajome strony. Tu ćwiczyłem w wojsku. Hrubieszowski Dom Kultury. Obok kościół i cerkiew. Spotkanie z poetą, dziennikarzem i plastykiem Zbigniewem Dmitrocz. Widać także zaproszony. Wciśnięci w fotele gawędzimy w Klubie Literackim. Garstka uczestników. Prezentacja wierszy. O, daleko im do druku. Od lidera klubu Bogusława Miazgi otrzymałem pomysłową „tekę” wierszy. Z miłą dedykacją. Po kilku godzinach opuściłem gościnny Hrubieszów.

23 lutego. Odwiliż. Zakupy na niedzielę, w sklepach prawie bez kolejek. U fryzjera w Izbicy tylko cztery tysiące. Powstał szkic „Czarne kwiaty” o wojennej poezji Zamojszczyzny. Medytacja przed niedzielnym wieczorem autorskim.

24 lutego. Obiad. Autobus. Zamość. W kolegiacie przed ołtarzem serdeczne, gorące zamyślenie. Kawiarnia WDK-u. Liczne grono słuchaczy. Znajomi miłośnicy poetyckiej sztuki i zupełnie obce twarze. Świece, światła. A nade mną czerwona plansza tytułowej strony moich „Ech i szeptów”. Dwugodzinna gawęda i wiersze. Wiele dedykacji. Życzliwe gratulacje. Z Henrykiem Cichoszem do domu.

(marzec)

5 marca. Wieczór z księdzem Krzysztofem. Narodził się pomysł pisemka „Nadzieja”.

15 marca. A „Gazeta Krasnostawska” zmieniła wydawcę. Zaczęła się numerem pierwszym, chociaż wszystko tak jak dawniej, może trochę gorzej. Ładniejszy jedynie tytuł (winieta), przesunięty z dawnej stopki.

20 marca. W „Przeglądzie Kresowym” Papusza i Cichosz. Recenzja zbioru Cyganki podpisana (jhc). „Jan Henryk Cichosz – poeta” z dużą fotogra-

fią. Notatka biograficzna, siedem wierszy, anons o spotkaniu autorskim w „Kadeku”. Trzy wiersze podobały mi się. W krasnostawskim „Kartodruku” dałem na kserograf gazetkę „Nadzieja”. Cena jak w Zamościu, lecz firma solidna.

22 marca. W Krasnymstawie odebrałem „Nadzieję” z drukarni. U fryzjera siedem tysięcy. Spotkałem Henryka Sieńkę, naczelnego „Gazety Krasnostawskiej”. Usprawiedliwił opóźnienie drugiego numeru. Otrzymałem także wyrównanie pensji, prawie milion złotych. Poczułem się mocniej.

23 marca. Chełm. Wojewódzki Dom Kultury. W gabinecie Krzysztofa Kołtuna. Obrazy, pająki, wieśniaczo. Przy herbacie gawęda o Kresach. Wystąpienie Krzysztofa w kawiarni. Liryki, wspomnienia. Ach, ten Wołyń! Słuchaczami byli głównie kresowiaci.

(kwiecień)

5 kwietnia. Elżbieta przyniosła „Archipelag Gułag” Aleksandra Sołżenicyna. Wciągająca i niezwykła książka.

10 kwietnia. Na targu jest wszystko. Tak, jak w każdą środę. Bydło, ciuchy, wiktuały. Nawet sowieckie odznaki.

16 kwietnia. W szkole nasiadówka. Zdetonizowano Aleksandra Zawadzkiego. Starsze panie z sentymentem wspominały jego przejście ulicą w Izbicy, kiedy gościł w regionie lubelskim. W głosowaniu wniosek przeszedł – patron szkoły „zdjęty”. W „Padwie” z kolegami. Gawęda przy wódce.

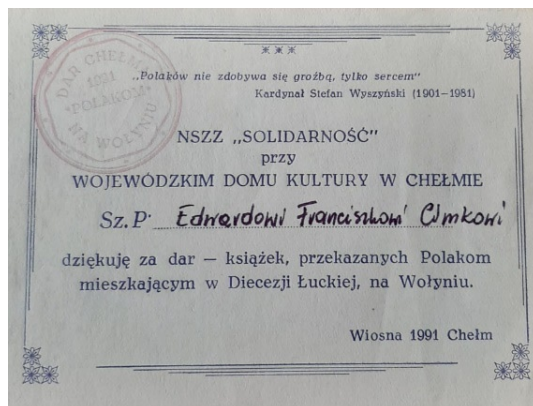
20 kwietnia. Lekcje za 2 maja. Będzie pięć dni wolnych. Uciążliwy dyżur w szkole. U miejscowego fryzjera pięć tysięcy złotych. Stosunkowo tanio. Nadal czytam „Archipelag Gułag”.

30 kwietnia. Otrzymałem pensję. Milion sto czterdzieści tysięcy. Rozeszła się w mig. Odebrałem „Nadzieję” w „Kartodruku”. Udała się szczególnie. Doskonały numer. Tylko ta cena za druk. Tysiąc trzysta złotych za cztery stronicy.

(maj)

2 maja. Niespodzianka na poczcie. Przedwcześnie przyszła emerytura, w ponadmilionowej kwocie. Z księdzem Krzysztofem autem do Chełma. U Krzysia Kołtuna miła pogawędka. Przekazaliśmy

też trochę książek i pism religijnych na rzecz „Daru Rodakom z Wołynia”. Daliśmy też do oceny prace konkursowe. Rozpocząłem lekturę trzeciego tomu „Archipelagu Gułag”.



3 maja. Dwusetna rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Pojawiły się flagi na prywatnych domach. Msza święta za Ojczyznę. Wprowadzono dwa sztandary – kombatancki i ludowy PSL. Powitano weteranów – piśsudczyków z wojny polsko-bolszewickiej. I przewodniczącą Rady Gminy [Elżbieta Makuch] z kilkoma radnymi. Innych władz nie było. Był natomiast występ młodzieżowy ze strofami o Ojczyźnie, mądre, śmiałe słowa radnej i piękne kazanie prefekta. Poproszono mnie wraz z księdzem do wspólnego zdjęcia z pięcioma weteranami.



Zdjęcie z 3 maja 1991 roku, wykonane obok kościoła w Tamogórze. W pierwszym rzędzie siedzą weterani wojny polsko-bolszewickiej z 1920 roku. Od lewej:

Rysak, Jan Starzewski i Michał Waleczko.

Nazwisk kolejnych dwóch osób nie udało mi się ustalić. W drugim rzędzie stoją: Edward Cimek, ks. proboszcz Franciszek Rząd oraz Albin Sokółowski.

5 maja. Słońce. Zieleń. „Dni Kultury Chrześcijańskiej” w Tarnogórze rozpoczęte. „Nadzieja” idzie jak woda. Piękny program poetycki młodych. Kaznodzieja z Lublina serca pootwierał. Potwierdziła to synowa Jola po powrocie z wieczornej Mszy świętej.

7 maja. Od południa goszczę Krzysztofa Kołtuna z Chełma. Poeta, artysta, etnograf i zbieracz pamiątek w regionie. Sympatyczny i niezwykle w obcowaniu z ludźmi. Spotkanie w liceum. Dostaliśmy różę. Zanieśliśmy do kościoła. Tu zachwycił swych słuchaczy. Kazanie księdza profesora z KUL. Prostota i mądrość najgłębiej utrwala pamięć. „Dni Kultury Chrześcijańskiej” we wspólnocie parafialnej chyba się udały.

16 maja. Kilka pracowitych lekcji. I trambantem koleżanki migiem do Zamościa. W redakcji „TZ”. Dwa nowe felietony naczelny przyjął z aprobującym uśmiechem. U fryzjera aż dziesięć tysięcy złotych.

(czerwiec)

6 czerwca. U Cichosza na Stokowej. Pogawędka przy herbacie i rozstrzygnięciu konkursu „Marka Swatowskiego”. Marek był naszym kolegą w Grupie Poetyckiej „Słowo”. Zmarł przedwcześnie z chorym sercem. Utrwalamy pamięć o nim. Ogłoszono VI konkurs. Nadeszło nań aż dwadzieścia sześć zestawów wierszy. Wybraliśmy cztery. Spacer z Henrykiem nadwieprzańską ścieżką. Przestrzeń, zieleń, świeżość, ptaki. Przyjazna rozmowa.

12 czerwca. Nareszcie wypłacono zaległe pieniądze. W kraju chmurzy się strajkami. Protestują bydgoscy nauczyciele.

13 czerwca. W „Kronice Zamojskiej” krytyczny artykuł o moich izbickich staraniach. Chcieliśmy zbudować pomnik. Uczcić bohaterów i ofiary wojny. Cóż... Praktycznie pozostałem sam. Wielu chce splendoru, zasług i uznania, a „robotników mało”. Dobrze, że o sprawie wreszcie napisano, chociaż... odzewu nie będzie. Nielaskawy czas.

18 czerwca. Nasiadówka klasyfikacyjna. Jedna moja dwójka w V b z języka polskiego. Słusznie postawiona. Musi T. nauczyć się pisać, czytać i zerwać z głupotą. Tylko sześcioro [uczniów] zostało w piętnastu oddziałach.

22 czerwca. Zamość, Wojewódzki Dom Kultury. Młodzież, dzieci z rodzicami. Naprzeciw jurorzy. No i samowolnie ja. Juror [Henryk] Radej rozpoczął imprezę kończącą literacki konkurs dla dzieci i młodzieży szkolnej. Coś ogólnie powiedział, odczytał nazwiska wyróżnionych. Nie oznajmił jednak kogo, skąd i za co w konkursie nagrodzono. Próbował wywołać dyskusję. Nikt się nie odważył. Dwie dziewczyny przeczytały prozę i dwie swoje wiersze. Uczestnikom konkursu dano niewielkie dyplomy, a laureaci otrzymali książki o Zamościu. Dwie dziewczyny z naszej szkoły wzięły w tym konkursie udział. Obie wyróżniono. W końcu wszystkich zaproszono na Noc Świętojańską na Roztocze do Guciowa. Zgłosiło się troje.

(lipiec)

4 lipca. Znów w podróży. Lublin. Przed Bramą Krakowską. Na wieży trębacz w złotym kasku. Odegrał pierwszy hejnał po pięćdziesięciu latach. Ogłoszono to publicznie świadkom przez megafon. Kamerzysta filmował trębacza. U literatów nie zastałem nikogo. Daremne moje godzinne czekanie, choć do nich przyjechałem.

16 lipca. Lublin. Dom literatów zamknięty na głucho. Skierowałem kroki do katedry.

17 lipca. Na izbickim targu. Meble, ciuchy, ceramika. Piwko i kielbaski. Galanteria, kosmetyki. Okazyjni handlarze tandetą. I tłum grzebiący w towarze. I nieliczni turyści zza Buga. Właśnie dzisiaj rozpoczęto ściślejszą kontrolę na wschodniej granicy. Dotychczas płynęła stamtąd rzeka kiepskiej, taniej wódki. Tu ją wymieniano na złotówki, potem na dolary. I za Bug przemycano fortunę w „zielenych”.

18 lipca. W „Tygodniku Zamojskim” nareszcie mój „Ogródek Pegaza”. Szkic o zbiorku wierszy Władysława Sitkowskiego. Ucieszy się poeta. Tym bardziej, że obok pomieszczono jego wojenne wspomnienia.

28 lipca. Po południu w Tarnogórze na gminnej imprezie. Trzy zespoły śpiewacze kół gospodyń wiejskich. Miejskowa publiczność. Parę twarzy prominenckich. Przewodniczyłem w jury przeglądu śpiewaczek. Wręczyłem dyplomy. A dyrektor GOK-u ciekawe nagrody. Potem ciasto i dużo wina. I rubaszne śpiewki.

29 lipca. Spotkanie z Henrykiem Sieńką i Cichoszem. Zostałem dla „Nowej Gazety Krasnostawskiej” dwa felietony „Na zaścianku”. I zgłosiłem akces do współpracy z „Gazetą Literacką”.

30 lipca. Krasnystaw. Redakcja „Nowej Gazety”. Zostałem tekst. Z naczelnym na piwie. Po tem się „urząłem”. I groźnie upadłem. Wstyd!

(sierpień)

9 sierpnia. W „Nowej Gazecie Krasnostawskiej” mój felieton „Na zaścianku” z dodanym tytułem „Przedwyborczy Magiel”. Przeczytałem pierwszy numer „Wiadomości Krasnostawskich”. Mógł redakcyjny zamiejskowy. Szata graficzna udana. Lecz niektóre teksty zwyczajnie zapchajdziury.

14 sierpnia. Napisałem szkic o Józefie Nikodemie Kłosowskim dla „Gazety Literackiej”.

17 sierpnia. Z rana na zakupy. Denerwują wywieszki gminnej władzy. Handel warzywami oddał na targowicy. Ani tam warunków: błoto, brak stołów i zadaszenia. W dodatku daleko. Nie liczą się ludzie, potrzeby, ułatwienia. A gdyby tak urządzić handel koszykowy w centrum. Przyszły nowe teksty na konkurs im. Buczyńskiego. Wybrałem zestaw do nagrody.

24 sierpnia. W Krasnymstawie u fryzjera. Coraz drożej wszędzie. A jeszcze ma zdrożeć od pierwszego września. Kolej i poczta połowę. Autobus o dwadzieścia procent. A emerytura ani drgnie.

(wrzesień)

1 września. Do Lublina kolejną, bo taniej. Dom Nauczyciela. W klubie literackim Poldek, Jurek, Henryk, Andrzej, Longin, Władysław. I wiele dawno niewidzianych twarzy. I niezycieliwi mi Duławscy. Naprzeciwko liderzy – Marian Janusz Kawałko i Waldemar Michalski. Wysłuchaliśmy od nich opowiadki: Jak to almanach drukowano. Dwuczęściowy, o małym nakładzie. „W ogrodach ognia – poezja” oraz „Nie tylko pamięć – eseje”. Wysłuchałem ponadto po dwuletniej przerwie klubowiczów. Niestety, prawie dwa lata minęły od ostatniego spotkania klubu.

4/5 września. Radosna nowina. Jest możliwość pracy w szkole w Wirkowicach. Autobusem

do Wirkowic. Typowa szkoła wiejska, ale jak tu czysto. Z dyrektorką do klasy. Otrzymałem język polski w piątej, siódmej i ósmej oraz wychowawstwo w piątej. Miła atmosfera. Grono także miłe. Piotr. Ksiądz prefekt i młode koleżanki.

8 września. Przed kościołem w Tarnogórze wiec. Spotkanie z kandydatem do senatu, ordynatem Janem Zamoyskim. Napisał mi dedykację w swojej najnowszej książce „Powrót na mapę”. Rzec o Narodowej Demokracji.

19 września. Coraz więcej wyborczych ulotek i plakatów. Unia Demokratyczna w ofensywie. Przywiozła kandydatów do „Zajazdu” na spotkanie. Był poseł Henryk Wujec. I kilku pijanych izbiczian. Cierpka gadanina. Zarzuty, repliki. Wyszedłem rozczarowany.

28 września. W Zamościu deszcz. Stąd wyjazd do Guciowa. Piękna roztoczańska wieś. Pagóry, lasy. Wieprz i łąki. Wspinaczka na grodzisko. Słoneczna Dolina. Posilek, ognisko, wieczór literacki. Z Cichoszem w pokoju. W „Krasnostawskiej” już kto inny na moim „Zaścianku”. Jest moja recenzja w „Kresach Literackich” o tomiku Mietka Czajkowskiego.

(październik)

10 października. Dzień skąpany w srebrze słońca. Wieczór w Klubie Poetyckim. Dziś pierwsze posiadły w Krasnostawskim Domu Kultury. Ciekawie i miło. Przyszedłem tu pierwszy, potem kilka dziewcząt, Henio Cichosz, jakaś pani i małżeństwo oraz mama z córeczkami. Był dyrektor z instruktorem przybytku Pegaza. Podano herbatę. Długo gawędzono, snuto zamierzenia... Henryk odszedł z redakcji „Gazety”. Wycofał nazwisko ze stopki, oddał też legitymację.

23 października. W redakcji „TZ”. Rozmowa z naczelnym. Zrezygnował z „Ogródka Pegaza”. Zostałem jednak tekst o konkursie poetyckim Stanisława Buczyńskiego. Zabrałem korespondencję dla mnie. U fryzjera dwadzieścia tysięcy złotych.

26 października. Jan Henryk Cichosz w dziennikarskim wejściu na antenę radia rano doniósł o biesiadzie w Małochwieju Małym. Mogłem tam się udać, może powinienem. Spostrzegłem, że jestem zapchajdziurą w literackim światku. Muszę się uniezależnić.

27 października. Wyborcza niedziela. Po Mszy świętej głosowałem. Frekwencja niewielka. Wieczorem wyniki wstępne. Rozrzut głosów znakomity. No i bardzo dobrze. Niech się różnią w parlamencie pięknie.

30 października. Kupiliśmy wieńce, kwiaty znicze. Jedlinowy wieniec kosztował trzydzieści, a wianuszek z kaszki dziesięć tysięcy złotych. Chryzantema cięta także dziesięć tysięcy, prawie tyle samo znicz.

(listopad)

5 listopada. W prasie, radiu, telewizji wyborczy targ o władzę. Przypuszczenia, spekulacje...

8 listopada. List od Zbyszka ze zdjęciami. Radzi sobie doskonale. A ja trzeci dzień gorzej. Gorączkowe osłabienie. Trudno się wziąć do pisania. Wieczorem wiadomość – Geremek premierem. I ja podzielałam obawy polityków.

12 listopada. Niezwykłe pomyślny powrót z Wirkowic. Tuż po lekcjach, w płuchę, w kiepskim stanie zdrowia ruszyłem przed siebie. Za chwilę auto przystanęło przy mnie. Jechał nim listonosz do banku w Izbicy i zabrał mnie do swojego fiata. Czyż mi się nie poszczęściło?

17 listopada. Przed południem w Krasnymstawie. Kawiarenka „Kadek”. Przy stolikach literaci z różnych stron regionu. Na ścianach obrazy małżeństwa Schulzów z Małochwieja. „Zadumki poetyckie”. Wspomnienia Henryka Cichosza o niegdysiejszej grupie „Słowo”. Finał konkursu poetyckiego. Forszmak, bigos i herbata. I mój wieczór poetycki. Przez godzinę gawędziłem i czytałem wiersze. Wdzięczne słowa uczestników. Piwo z kolegami.

18 listopada. W szkole miłe dzieci. Niewiele leniuchów. Powrót z pocztowcami. Dziś zlikwidowano pocztę w Wirkowicach.

27 listopada. Zamość, Oddział STL [Stowarzyszenia Twórców Ludowych]. Posiedzenie Zarządu. Uczyniono mnie współredaktorem wkładki „Z ziemi tej”. W redakcji „TZ” zamówiono wkładkę kolędniczą.

(grudzień)

18 grudnia. Zamość. W kolegiacie. Miasto będzie biskupstwem, a świątynia katedrą. Wydrukowałem „Nadzieję”. Ciekawe, ładne pismo. Targowy dzień w Izbicy. Spotkałem kolegów. I, jak zwykle, dużo wódki. Ech, głupoto moja...

22 grudnia. Lekki mroźnik o świtanie. Wygodne miejsce w autobusie. Jazda do Lublina na spotkanie w klubie literackim. W gotyckiej świątyni na Mszy świętej. Dom Nauczyciela przy Akademickiej. Biednie się tutaj zrobiło. W ciasnej salce tylko stoliki, drewniane krzesła i wieszak. No, i przyniesione skądś szklanki. Na białych obrusach gałązki cisu. I potrójny świecznik. Na talerzykach opłatki. Podano kawę i herbatę. Waldemar Michalski prowadził gawędę gościa Mirosława Dereckiego. Ze swadą mówił lubelski dziennikarz. Prezentował zdjęcia i teksty bohatera wspomnień: Edwarda Stachury. Przełamano się opłatkiem i składano życzenia. Najpierw ja złożyłem Janowi Mołdzie z Warszawy, jako że zajął miejsce przy mnie. A potem serdeczności przekazałem wszystkim. Zaś Jadwiga Księżyczka z nieodłączną gitarą zaśpiewała wiązanek pastorałek i kolęd. Dźwięczały, niby podniebiański dzwon. Niektóre były lubelskich autorów. W części organizacyjnej, wśród komunikatów znalazł się anons o moim członkostwie rzeczywistym w Związku Literatów Polskich.

23 grudnia. Zakupy i sprzątanie. Ostatnie szlify w izbach. Ucieszyłem się ogromnie, kiedy Sejm zatwierdził gabinet Olszewskiego. Przeszedł większością siedemnastu głosów centrum i prawicy.

24 grudnia, Wigilia. O świcie do sklepu. W opłotkach sąsiadka. A to ci dopiero pech! Pierwszy widok baby wroży kiepski rok. Rano przyszedł do nas zięć Janek z choinką. Rychło ją ubrałem. W domu uroczysty nastrój.

31 grudnia. Słaby mroźnik, trochę śnieży. Poranne zakupy. Piszę „Winowajców”. I tak minął rok. Oby nadchodzący przyniósł nam zwyczajne, ludzkie SZCZĘŚCIE.

Wyboru dokonała Elżbieta Kmiec

Objaśnienia w nawiasach kwadratowych
dodane przez Elżbietę Kmiec.

Jan Henryk Cichosz

Z cyklu: „Moje lapidaria”



Przypadki słowa

W dniach od 31 marca do piątku 4 kwietnia 2025 roku w drugim programie Polskiego Radia, w audycji Iwony Smolki „Przypadki słowa” prezentowane były moje wiersze z tomu „Chwila” w przepięknej recytacji aktora Piotra Bajtlika.

Soldat

Nikołaj Nikulin w książce „Soldat” (Wyd. Karta, Warszawa 2013, ss. 319) opisał brutalność walk i zbrodnie oraz zaniedbania sowieckiego dowództwa, które doprowadziło do gigantycznych strat w szeregach Armii Czerwonej. Wcielony do wojska, tuż po maturze w 1941 roku, jako jeden z niewielu przeszedł cały szlak bojowy od Leningu do Berlina. Po wojnie Nikulin był uznanym na całym świecie historykiem sztuki. Jego zapiski z czasu wojny mogły się ukazać w formie książki dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego. Czytając tę książkę, już po raz trzeci, cały czas myślałem o toczącej się wojnie na Ukrainie.

Hańba

Kolejny raz wertuję „Hańbę domową” Janka Trznadla, książkę pełną odręcznych podkreśleń i zaznaczeń korektorem dokonanych przez jej wcześniejszych czytelników. Jak ja bardzo lubię te wszystkie podkreślenia i zaznaczenia. I tak sobie myślę o tym, czy w naszym literackim regionalnym światku, ta hańba była? Może ktoś o tym napisze!!!

„Więź”

Od bardzo dawna czytam kwartalnik „Więź”, który dawniej był miesięcznikiem. Jest to pismo ekumeniczne, którego redaktorem naczelnym przez wiele lat (1958-1981) był późniejszy premier Tadeusz Mazowiecki. Aby zakupić „Więź”,

należy pojechać do Lublina, Chełma, Zamościa lub zamówić przez Internet. A warto, ponieważ jest to pismo bogate w treści chrześcijańskie, kulturalne i społeczne.

Z dalekiego świata

Wieczorem 28 lutego z Lizbony zadzwonił do mnie mój przyjaciel doktor Leszek Janeczek, a tego samego dnia na FB swoją fotografię sprzed stadionu w Lizbonie zamieścił dyrektor KDK Kozyrski. Kilka dni później dotarły do mnie z dalekiej Sri Lanki, dawnego Cejlonu, serdeczne pozdrowienia od profesora Andrzeja Wac-Włodarczyka i jego małżonki Grażyny.

Pikantny chochlik

Wczesną wiosną 1983 roku wziąłem ze sobą mojego młodszego syna i pojechałem do Edwarda Franciszka Cimka, który w tym czasie uczył historii w izbickiej szkole podstawowej, z informacją, aby udał się do drukarni „Zwierciadło” w Chełmie w celu korekty swoich wierszy do tomiku „Zaczyn”. Edzio to zlekceważył, twierdząc, że drukarze wiedzą, co mają robić. No i drukarze „zrobili” z wiersza „Do skarbczyka twego” pikantny erotyk. Oto oryginał tego wiersza ze wspomnianego tomiku.

Edward Franciszek Cimek

Do skarbczyka twego

Jeszcze się nurza
w miękkim kształcie
niecierpliwosć płocha
i szept skrycie muska
czułość jedwabistą
jaj drżenie jak migot
błyszczą pod rzesą
lecz tylko rozkosz
stygnie w niemocy
słodkiej.

Pamiątkowy medal

W sobotę 3 maja br. Lucjan Cimek i ja, z ręk Marcina Szewczaka, otrzymaliśmy z okazji jubileuszu 550-lecia Województwa Lubelskiego pamiątkowe medale.

Książka za jedyne dwa złote

Kolejny już raz kupuję – za jedyne dwa złote – w naszej miejskiej bibliotece tanią książkę. Tym razem są to opowiadania Jana Rybowicza – poety i pisarza „Samokontrola i inne opowiadania” (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, ss.159). Jan Rybowicz urodził się 26 maja 1949 roku w Koźlu na Opolszczyźnie. Zmarł 21 października 1990 roku w Lisiej Górze koło Tarnowa. Do jego wierszy muzykę pisał Krzysztof Myszkowski z Dobrego Starego Małżeństwa. Warto czytać i pochylać się nad jego twórczością!

„W cieniu patriarchatu”

Od profesora Józefa Franciszka Ferta otrzymałem jego najnowszą książkę „W cieniu patriarchatu” (Wyd. Norbertinum, Lublin 2025, ss. 88), a w niej: Kultura pańszczyźniana. Przywiązane do krowiego ogona. Człowiek – zbiorowy pospolitej rzeczy, oraz dodatek: Cyprian Norwid, Emancypacja kobiet. Jest to wielce pouczająca lektura.

Zamość – czyli kredowe koło

Dosłownie przed chwilą (7 maja 2025 roku) zakończyłem rozmowę z Piotrem Szewcem, poetą, prozaikiem, krytykiem literackim i redaktorem – już od 29 lat – „Nowych Książek”. Pokłosie tego wywiadu ukaże się w czerwcowym numerze „Zamojskiego Kwartalnika Kulturalnego”. Tytuł tej rozmowy został zaczerpnięty z wiersza Piotra Szewca.

Jan Henryk Cichosz

Leszek Janeczek

Opowieści nie tylko dla krasnostawian



Przygoda w Watykanie czyli i sacrum, i profanum

Było to 1 maja 2011 roku, podczas beatyfikacji Jana Pawła II. Na placu św. Piotra zebrał się półtoramilionowy tłum z całego świata. Wśród nich opisujący te słowa. Kiedy obejrzał się, niespodziewanie zobaczył jakieś 20 metrów dalej znajomą twarz, była to Ania Bijatówna z Krasnegostawu. I na długim drzewcu polska flaga z napisem Chełm. Daleko od Polski, a swojsko się zrobiło. Ludzie oczekujący na uroczystość zajmowali różne pozycje. Większość stała, popychana przez całe strumienie przemieszczających się, dużo siedziało, a byli i tacy, którzy rozłożyli śpiwory, zupełnie nie przejmując się tym, że tak wielu nie może nawet swobodnie stanąć. Krasnostawski medyk przeszedł kilka metrów i napotkał niewysoki murek. Chcąc go pokonać, chwycił się ręką, postawił wysoko nogę na przeszkodzie i gdy oderwał się od ziemi, nastąpił nieprzewidziany wypadek. Jego dżinsy nie wytrzymały. Na szczęście w miejscu praktycznie niewidocznym, na samym środku, gdzie od tyłu do przodu przebiega szew łączący obie nogawki. Wtedy jeszcze, niestety, chyba nie było mody na porozrywane portki. Oczekiwano rozpoczęcia mszy beatyfikacyjnej. Nagle, gdzieś z oddali, ale bardzo wyraźne, dało się usłyszeć, zawołanie: – *Medico!* To jakby po polsku ktoś krzyknął: – Lekarza! Głos dobiegł z dala, po hiszpańsku, ludzi dookoła mnóstwo. I choć w pierwszej chwili lekarz drgnął na dźwięk tego słowa, powodowany powinnością zawodową, to jednak stał nieporuszenie, chociaż z niepokojem, oceniając, że to jest zbyt daleko i ktoś na pewno tam się znajdzie. Kilkadziesiąt sekund później zawołanie powtórzyło się, widać nikt odpowiedni się nie zgłosił. Wzbudziło to już w krasnostawskim medyku niepokój, że może powinien, ale z miejsca się nie ruszył, mając za przeszkodę gęsty tłum i odległość. Tymczasem zawołanie powtórzyło się ponownie. Teraz już medyk poczuł napięcie wynikające z faktu, że on tu stoi, a tam ktoś potrzebuje pomocy. Ruszył, najpierw było to bardzo

trudne, bo trzeba było przeciskać się przez blisko siebie stojących ludzi, młodych, starszych, zakonnice w oryginalnych i nietypowych habitach, z jakichś odległych zakątków świata. Gdy zawołanie znowu się powtórzyło, nie miał wątpliwości, że trzeba szybko tam dotrzeć. Tłum się przerzedził i biegnący natrafił na dość duże pole usłane śpiworami z leżącymi na nich przeważnie pojedynczo, co dawało więcej wolnej przestrzeni, młodymi ludźmi. To bardzo ułatwiło sprawę. Zaczął teraz biec, skacząc nad ludźmi, jakby poruszał się po bagnie, stawiając stopy na wolny kawałek śpiwora, niczym na kępy traw trzęsawiska. Ruch jego był energiczny, zdecydowany, a jego ciało nie było filigranowe. To wszystko spowodowało, że kiedy kolejny raz skoczył na wolną część śpiwora, który mając wewnątrz dość śliskie ściany i zadziałał jak oblodzona powierzchnia, biegnący lekarz nagle runął bezwładnie na lewy bok, tak że aż jedna z nóg zadarła się do góry, odsłaniając obserwującej publice tę część, która przed kilkunastoma minutami uległa niespodziewanej awarii. W pierwszym momencie skonfundował się trochę, odsłonięciem wstydliwego miejsca, ale nikt nawet się nie zaśmiał. Nic mu się nie stało, kości całe, więc zerwał się i biegł dalej. Wkrótce zobaczył leżącą młodą dziewczynę, która straciła przytomność, a jej koleżanki, w celu ratowania jej, zamiast unieść jej nogi do góry, podniosły głowę i górną część ciała. Pewnie dlatego nie było efektu tak długo. Przybyły medyk ukląkł po prawej stronie leżącej, naprzeciw jakiegoś mężczyzny i zakomenderował, żeby szybko dano wodę, podniesiono nogi. I wtedy okazało się, że człowiekiem po drugiej stronie leżącej dziewczyny był anestezjolog z Polski, obaj podali sobie nad nią ręce, przedstawiając się. Młodą pacjentką zaś była 18-letnia Hiszpanka z Walencji. Dziwne, że prawie dorosła młodzież z dużego miasta nie potrafiła prawidłowo zachować się w tej prostej dość sytuacji. Anestezjolog pochodził z Nysy, a ginekolog z Krasnegostawu. Dziewczyna doszła do siebie. Teraz spokojnie mógł wracać na swoje miejsce, gdzie była jego żona Magdalena. Szedł teraz między ludźmi, którzy byli świadkami jego upadku, po prawej ręce widząc rozłożone śpiwory leżących na nich młodych Hiszpanów. Gdy tak się przeciskał, nie wiedząc dokładnie w jakim języku powiedzieć „przepraszam”, najwięcej i nieśmiele wypowiadał to po włosku. Niespodziewanie zagadnęła do niego po

polsku młoda kobieta stojąca mniej więcej naprzeciwko miejsca jego wywrotki. Ku jego zdziwieniu, powiedziała ścisłym i pełnym autentycznego zachwyty głosem: – Biegi pan jak bohater.

O swoim niefortunnym upadku na placu Świętego Piotra krasnostawski medico myślał jak o całkowitym profanum w kontekście okazania publicznego niechlubnej awarii portek w części mało chwalebnej, a tu proszę ktoś, i to piękna kobieta, zobaczyła w tym tylko sacrum. Widać i sacrum, i profanum ściśle stoją obok siebie z prawie niewidzialną między nimi granicą, przynajmniej w niektórych przypadkach.

Szef państwa

W roku 1981 z kolegą Krzysztofem Świderskim pojechaliśmy autostopem z Polski aż na południe Francji, nad Morze Śródziemne. Co jakiś czas, wraz z naszymi dobroczyńcami, czyli tymi, którzy zechcieli nas zabrać w podróż swoim samochodem, zatrzymywaliśmy się w przydrożnych barach. W jednych z nich natknęliśmy się na Polaka. Powiedział, że uciekł z Polski, coś tak jakby, że musiał to zrobić przez Wałęsę, dlaczego – nie powiedział. Dla nas było ciekawe już samo to, że oto spotykamy człowieka, który stykał się z nabierającym szybko w tamtym czasie rozgłosu Lechem Wałęsą. Musiało to być krótko po podpisaniu porozumień sierpniowych, ale najbardziej zdziwiło nas to, co ów człowiek powiedział o liderze strajków. Dla niego też to musiało być jakieś godne uwagi, skoro to nam wyjawiał. Wałęsa mawiał do swoich współpracowników, wtedy kiedy jeszcze nic nie znaczył, kilka lat przed pamiętnymi wydarzeniami, że on będzie... szefem państwa. Czy to tylko ambicja, czy przecucie? Tak, właśnie – szefem państwa. W tamtym czasie kimś takim był pierwszy sekretarz PZPR-u. Wałęsa wstąpienia do partii komunistycznej chyba nigdy nie rozważał. Urzędu prezydenta państwa jeszcze nie było. On sam też nie wiedział, jakby się mogła nazywać ta funkcja, ale miał silną wiarę i takie same przekonanie, że będzie rządził Polską jako jej szef. Chociaż od tamtej chwili minęło już 44 lata, to nigdy nie spotkałem się z tą informacją, dlatego chyba warto ją zachować i podać do publicznej wiadomości.

Przygoda we Francji w roku 1981

Z kolegą Krzysztofem wracaliśmy autostopem z południa Francji, niczego tam nie dokonawszy, nie zarobiwszy ani franka, jedynie ze wspomnieniami. Autostop we Francji szedł bardzo źle, w przeciwieństwie do Niemiec. Zwykle udawaliśmy się na obrzeża miast i tam cierpliwie, gestem wyciągniętej dłoni, kciukiem ustawionym do góry w zaciśniętej pięści, jak w starożytnym Rzymie, próbowaliśmy zatrzymać wszystkie przejeżdżające samochody. Było popołudnie w Bourg-en-Bresse, między Lyonem a Strasbourgiem. Krzysztof znał niemiecki, a ja wtedy tylko jeszcze francuski. Tak że we Francji zdany był całkowicie na mnie. Zostałem go na skraju drogi, w zatoczce wysypanej kamieniem, a sam poszedłem do sklepu kupić coś do jedzenia. Było to dosyć daleko. Gdy wracałem, już z daleka zobaczyłem, że Krzysztof zatrzymał jakiś samochód i wsadziwszy głowę przez otwarte okno, prowadził rozmowę. Zaraz wszystko się wyjaśniło. Krzysztof krzyknął: – Chodź szybko, zabiorą nas!

Byliśmy w części Francji należącej kiedyś do Niemiec i ludzie tam umieli mówić po niemiecku. Trzeba było się śpieszyć, podbiegłem, zobaczyłem po drodze małą dziewczynkę niosącą bańkę może 3-litrową, jakie były kiedyś u nas na mleko. Zdziwiłem się swoim widokiem daleko od domu. Szybko wrzuciliśmy nasze bagaże. Działo się to wszystko w pośpiechu. Wsiadamy. Trzech mężczyzn, starszych od nas, głośna muzyka, dym papierosów, jedziemy. Zaledwie po 50-60 km zatrzymali się, droga była taka jakby szybkiego ruchu, nie autostrada i każą nam wysiadać, chociaż widać, że jadą dalej. Wypakowujemy wszystkie rzeczy i nagle spostrzegam, że nie mam swojego chlebaka. Był to rodzaj torby na pasku w której miałem paszport i jakieś tam pieniądze. Mówię, że nie mam tej torebki, na początku podejrzewałem, że mogli oni nam ją zabrać, przeszukujemy siedzenia, bagażnik, nigdzie ani śladu. Nie mam paszportu i ani jednego franka. Może za godzinę będzie zachód słońca. Sytuacja staje się bardzo dramatyczna. Jak wrócić do kraju, gdzie się teraz udać, do ambasady w Paryżu, a może w Lyonie jest jakiś konsulat, jedziemy właśnie od strony Lyo-

nu, byłoby bliżej? Mój umysł już szuka rozwiązań. Kolega Krzysztof jest załamany i przeklina mnie. Nasze wszystkie bagaże są na poboczu. On zmęczony i zrezygnowany usiadł, opierając się o nie plecami, tyłem do szosy. Po lewej stronie była miejscowość, napis na tablicy informował, że jest to St Amour (Święta Miłość), fajnie, ładnie, a nawet ślicznie, ale co z tego w moim położeniu? Biegnę do tego miasteczka, na początku napotykam stację benzynową. Pytam, czy jest tu posterunek policji, powiedziano, że żandarmerii za jakiś kilometr, proszę kogoś, aby mnie podwiózł, ale jedzie w przeciwnym kierunku. Biegnę. Ciągłe świadomość, że zbliża się wieczór, ja muszę wrócić do miejsca, z którego wyruszyliśmy, do miasta Bourg, w nadziei, że może nikt nie zabrał mojej podróżnej torebki. Chociaż to mało prawdopodobne, biały tłuczeń zatoczki czynił ją aż nadto widoczną. Rzeczywiście, po około kilometrze widzę posterunek żandarmerii. Cicho, spokojnie. Pierwsze, co mnie dziwi, gdy chwytam za klamkę, że jest ona na tak starym zamku, jaki widziałem w wiekowej, niezamieszkałej chałupie moich dziadków, postawionej jeszcze w czasie I wojny światowej. A tutaj ten zamek jest taki sam. W środku grubawy żandarm, jeszcze dość młody. Mówię po francusku, tonem podekscytowanym i trochę sztucznie podwyższając tragizm mojej sytuacji, aby zrobić na nim większe wrażenie. Instynktownie czuję, że trzeba go obudzić. Zapomniałem swojego paszportu i wszystkie pieniądze zostały w Bourg – proszę o pomoc. On zblazowanie spokojny, nie robi to na nim większego wrażenia, pyta skąd jestem: – *En Pologne*. Na to on, nadal spokojny, odzywa się z lekką flegmą po polsku: – Moje dziadki z poznańskiego.

Strasliwie mnie to ucieszyło, że w tej zapadłej dziurze trafiłem na kogoś takiego, rodaka, jakże będzie to pomocne – wierzyłem. Jestem uratowany, jaki szczęśliwy traf w tej sytuacji! Teraz już po polsku mogłem więcej powiedzieć. Tonem człowieka, któremu pali się grunt pod nogami, mówię szybko, mniej więcej to samo, co powiedziałem po francusku, ale znacznie więcej.

– Nie tak szybko – odzywa się po polsku, bo polskiego aż tak dobrze już nie zna. Moja pierwsza prośba o pomoc była maksymalistyczna. Proszę żandarma, aby wziął swój samochód i zawiózł

mnie do Bourg, do miejsca, gdzie te dokumenty mogą jeszcze leżeć. Minęła ponad godzina. Trzeba się śpieszyć. On na to, że tego zrobić nie może, bo to nie jest jego rewir. Zapytałem dokąd ten jego teren sięga. Było to gdzieś w połowie drogi, proszę go więc, żeby podwiózł mnie swoim służbowym samochodem do granic swojego obszaru działania. On na to, że też tego nie może zrobić. A wieczór się zbliża. Wymyślam nowe rozwiązania. Proszę go, żeby zadzwonił do swoich kolegów w mieście Bourg, ażeby podjechali w to miejsce, gdzie moje dokumenty mogą się znajdować i zabezpieczyli je do mojego przyjazdu. Zadzwonił, owszem, ale trudność polegała na tym, jak precyzyjnie wskazać to miejsce, mówiłem, że była tam taka zatoka z wysypanym białym kamieniem, że w prawo odchodziła mała droga, że rów obok niej był zarośnięty ciemnozielonym bluszczem. Nic to nie dało. Ostatecznie proszę go, że ponieważ idzie wieczór, to już mnie nikt nie zabierze, chyba wtedy już bano się obcych, jak zrozumiałem. Teraz żądałem już bardzo niewiele, tylko aby podwiózł mnie do głównej drogi, to około kilometra, a przede wszystkim swoim autorytetem żandarma zatrzymał dla mnie samochód, który zawiezie mnie na miejsce. Tego również nie uczynił. Nie chciał, czy nie mógł. Nudził się, nic nie miał do roboty, siedział taki spowolniały. Wtedy jeszcze myślałem, że to tylko w Polsce nic się nie da zrobić. Nawet Święta Miłość nie pomogła. Podróże kształcą także w i ten sposób. Pożegnawszy żandarma, pobiegłem znów przez St Amour w kierunku głównej drogi. Było to miejsce w obniżeniu terenu, za którym droga szła lekko w górę. Słońce chyba już zaszło, lecz nie było jeszcze ciemno. Zatrzymuję, gestykulując rozpaczliwie, moje ruchy tę desperację wyrażają aż nadto, ciągle mając przed oczami problemy, jakie będę miał po utracie paszportu. Nie trwało to długo, Nieduże auto trochę zwolniło na to moje machanie, kierowca jakby zawahał się, ale nie zatrzymał, ja zacząłem biec za nim, jak za cieniem szansy. Chyba widziano moje zdeterminowanie i samochód ostatecznie stanął. Z przodu starsze, jak mi się wydawało, małżeństwo, z tyłu młodziutka córka, może wnuczka i pies. Proszę, żeby mnie zabrali, gdyż zgubiłem dokumenty i powinny być w mieście Bourg. Pozwolili. Jechali w tamtym kierunku. Usiadłem na tylnym siedzeniu z dziewczy-

ną, a czarny pies chodził po naszych nogach i po tylnej półce, tak dookoła. Nic się do mnie nie odzywają. Żeby przerwać tę ciszę zagaduję do dziewczyny o imię psa, który właśnie skacze z kolana z jednego z nas na drugie.

– *Comment s'appelle?* Na to starszy mężczyzna mruknął coś porozumiewawczo do żony, czego nie odebrałem dobrze. Przypuszczam, że w szumie silnika mógł usłyszeć, że powiedziałem *comment t'appelle?* (jak ty masz na imię?), w końcu brzmi bardzo podobnie. Rozmowy nadal było mało, chyba mi nie wierzą. Kierowca pokazał jakiś plac na poboczu, że niedawno był ty straszny wypadek i dalej jedziemy w ciszy. Wreszcie dojechaliśmy na miejsce, ja wysiadłem, ale Francuz nie odjeżdża, czeka z włączonym silnikiem i patrzy, co będę robił. Przeszedłem na drugą stronę, rozglądam się po zatoczce wysypanej białymi, drobnymi kamykami, nic nie widać. Patrzę – idzie ta sama dziewczynka, wraca z tą bańką na mleko, poprzednio szła w drugą stronę. Zagaduję ją, czy nie widziała takiej zielonej torebki, oczywiście nic nie wie. Obok zatoki rosty wysokie pokrzywy, w tych pokrzywach było kilka tuneli, spodziewałem się, że to miejsce przechodzenia kotów, nagle patrzę – w tym ciemnym zakątku jest moja szaszetka, ona miała również kolor ciemnozielony, niby khaki, to ją maskowało. Chwyciłem z radością za pasek i zakręciłem wielkie koło w kierunku patrzących Francuzów, podszedłem podziękować, a kierowca wtedy zagadał: – *En Pologne marche pas bien?* (w Polsce nie idzie dobrze?). Pierwszy raz poważnym tonem, z troską w głosie. Zrozumiałem, że dopiero teraz uwierzył w moją opowieść, jak i chyba w to, że jestem Polakiem. Przecież o Polskę mógł zapytać po drodze. We francuskich miastach, w tamtym czasie, widoczne były wielkie napisy *L'homme de ferre*, pisane „solidarycą”, jak mówili ludzie Urbana. Były to plakaty anonsujące film Wajdy „Człowiek z żelaza”. Byłem uratowany. Robił się zmierzch, stanąłem ponownie w tym samym miejscu jako autostopowicz. Za niedługi czas zatrzymał się mężczyzna w średnim wieku. Musiałem wyjaśnić całą sytuację, że za 50 kilometrów czeka Krzysztof z całym bagażem, aby nie było to podejrzane. Trzeba go zabrać. Gdy nasz samochód dojechał do St Amour, Krzysztof, siedzący tyłem, nawet

tego nie zauważył. Usłyszałem, jak coś mówił do siebie płaczącym tonem, narzekając na mnie.

Wreszcie jedziemy znowu razem. I nasze dokumenty. Możemy śmiało zmierzać w kierunku Niemiec. Nasz Francuz, jak powiedział, przejechał tego dnia blisko 900 km. I chwalebne, że mimo zmęczenia i wieczoru, co wiąże się z większym niebezpieczeństwem, chciało mu się nas zabrać. Nasze krótkie włosy wzbudzały większe zaufanie, o czym przekonał się we Francji wielokrotnie. Po tym także domyślano się, że jesteśmy z Europy Wschodniej. Gdy wysiadaliśmy po dość długiej, kilkugodzinnej jeździe, była ciemna noc, padał lekki deszcz i błyskawice z rzadka rozświetlały niebo. Teraz, w tych ciemnościach gdzieś trzeba rozbić namiot. Odeszliśmy niedaleko drogi nic kompletnie nie widząc a czując tylko zapach jakiegoś pastwiska. Wreszcie można było pod namiotem z tropikiem odpocząć po wielkim stresie minionego dnia. Najlepsze było jednak rano. Wstaliśmy, gdy się rozwidniało i ze zdziwieniem patrzymy, a nasz namiot stoi w bramie odrodzenia, na środku duża kupa gnoju, a było tędy, omijając ją obiema stronami, przechodzi na pastwisko, ślady dobrze widoczne. Nasz „domek” może by ominęło, ochroną była szeroka, wysoka i śmierdząca pryzma. Wstaliśmy wcześniej niż rogacizna. Zapach, wilgoć, chłód. Wszystko jedno, poczucie szczęścia dawała mała książeczka, zwana paszportem.

dr Leszek Janeczek



rys. R. Znajomski

Łesia Stepowyczka

Oczy w kolorze khaki

Oczy w kolorze khaki,
nogi w zmęczonych bercach*
przyszedł do mojej chaty,
wszedł do mojego serca.

Mundur w kolorze khaki,
dymem owiane skronie.
Czerwień polnych maków
w popiołach Bachmutu tonie.

Ręce twoje i twarz
wiatr stepu całuje.
Dobry twój kamuflaż,
śmierć nieustannie czatuje.

Coś ważnego się dzieje
między tobą a mną.
Może to śmierć z nas się śmieje,
proponując miłość bez słów?

Kochany, dziś jestem w Polsce,
Ty – w piekielnych ogniach.
Oczy twoje w kolorze khaki
– a może widziałem je tylko w snach?

*berce – ukr. wojskowe buty

PZS*

Zdrowie rozsypało się
jak groszek z podartej torby.
Pozostałości spróchniałych zębów
każdego ranka pozostają na kawałku chleba.
Krew dudni w uchu,
płyne w żyłach pod szalonym ciśnieniem.
Ledwo słycać grzmot rakiet
nie mówiąc już o gruchaniu gołębi.

Oczy zranione falą uderzeniową
boleśnie reagują na słońce i nocne światła.
Noga zraniona w bitwie wymaga protezy,

proteza wspiera stopę, ale wyginają się plecy.
Wrzód żołądka od suszonej karmy w okopach
i te papierosy, trudno je znieść i łatwo się poparzyć.
Nerwy jak ostre strzały
klują w skroniach, nie dają spokoju.

Cztery kontuzje to prezent z Bachmutu.
Baliśmy się amputacji nogi,
ale rany są bardziej bolesne –
wyłączenie mózgu, fragmenty halucynacji
jeden wielki chaos w pamięci.
Biały świat stał się naraz czarny.

Cóż, trzymaj się, Drogi, kocham cię
ale czy ty nadal mnie pamiętasz?

*PZS – Pourazowe Zaburzenia Stresowe.

Pożegnanie żołnierza z gołębiami

Żegnajcie gołębie Dniepru,
cywilnie, spokojne, miłe!
Byłem z wami, bardzo was kochałem,
jednym z was byłem

A ty moja gołąbko żegnaj,
nigdy nie spotkałem podobnego ptaka,
na ziemi byłaś mi rajem
i posłaś za mną przez ogień bez strachu.

Płonęła jak świeca na wietrze,
gdy odprowadzała mnie na wojnę,
błagała: „Boże, lepiej zabierz moje życie
pozwól mojemu chłopcu żyć spokojnie!”

Moje znad Dniepru słońce zgaś,
nie płacz nie czekaj zapomni o mnie.
Pamięci o tobie śmierć mi nie zabierze.
Szczęśliwą bądź....

Fatum

Nasz dzień – niby Fatum, i my zamknięci w czasie
dla nowych pokoleń obcy i odlegli.
Jesteśmy razem w szczęściu i nieszczęściu,
bo mamy wspólne stepy, miecze i pieśni.

A jednak jesteśmy dziś niby w klatce
ani ją opuścić, ani rozpocząć coś nowego.
Jak długo będzie to trwało, kiedy wreszcie się skończy,
nikt tego nie wie, ani on, ani ty, ani ja.

Skazani na ból, wojnę i rozłąkę
na rzeczywistość w piekielnych snach,
ściskam was przyjaciele, wasze ciepłe dłonie –
cerkiewne chorągwie wciąż nad nami i wokół nas.

Znowu słyszę głosy kolejnych więźniów
i słowa podyktowane przez parszywy los,
więc śpieszę wam wyrazić moją przyjaźń
póki razem jesteśmy i jeszcze mam głos.

Mnie już tu nie ma

Mnie już tu nie ma i mnie tam jeszcze nie ma.
Nikt na mnie nie czeka...
Jakiś pałac tu stoi a może wigwam?
Wije się jak wąż moja skalista droga.

Przedemną rząd ludzkich twarzy
powinny być znajome –
trochę bliskich i krewnych
lecz one stały się obce.

I ten pstrokaty Babilon,
w którym miesza się języki.
Codzienne pogrzeby, rozpacz i żaloba
i wielki nad głowami lament.

To niby przejście z gliny do gliny
czasem nazywa się zwykłym losem.
Jak odcisnąć w nim swój ślad
stawić czoło mrówce w zaciekłym pojedynku?

Płacz, słabość i odwieczna niemota
jak zniewaga zadana od wieków.
Kłopotów narosłych bez miary
nie są zdolne usunąć gołe ręce.

A ziemia jest pełna żelaza i krwi
i po horyzont wiatr kołysze zboża.
Jak bezsilny ptak uderza w okno
tak cicho płacze moja Ukraina.

Może jednak warto było?

Może naprawdę warto
było być zakochanym
polubić późną jesień
z jej skąpyimi darami.

W środku jesiennej rozpacz
nagle poczuć ciepły wiatr
z południowego stepu
zobaczyć trochę słońca
w ciemnej kaluży.

Zawołać za Françoise Sagan: witaj smutku!
dotknąć delikatną dojrzałą kalinę
z kontynentalnej Ukrainy.

Gdzieś w szufladzie leżą listy
napisane w pogoni za latem
cieple czytane od nowa.

Samotne jabłko rumieni się na gałęzi
nieustannie odległe i niezerwane
a może jednak warto było?

Ptaka szczęścia umknął w zarośla
nie chciał pozostać w raju
gotowy być razem z tymi co pragną
dogonić wczorajsze i utracone.

Wiersze tłumaczył z ukraińskiego Waldemar Michalski



Łesia Stepowyczka – ukraińska poetka, prozaik, tłumaczka. Autorka wielu książek poetyckich i prozatorskich. Należy do Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy i Narodowego Związku Dziennikarzy Ukrainy. Wykształcenie wyższe filologiczne (germanistyka). Laureatka ukraińskich i międzynarodowych konkursów literackich. Pochodzi z miasta Dniepr. Od początku wojny mieszka w Polsce, w Lublinie.

Waldemar Michalski

Wiersze jak podanie ręki. O poezji Łesii Stepowyczki



Łesia Stepowyczka (ur. 1952) jest znaną ukraińską autorką wielu książek poetyckich, także recenzji i szkiców literackich. Ukończyła Uniwersytet w Dnieprze (dawniej Dniepropietrowsk), z wykształcenia jest germanistką. Była redaktorem naczelnym pisma literackiego „Siczestław” (2004-2012) i prezesem Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy w Dnieprze (2002-2012). Jej wiersze tłumaczono na język polski, francuski, angielski, hebrajski i azerbejdżański. Do Lublina przyjechała z pierwszą falą uciekinierów z ogarniętego wojną dalekiego ukraińskiego Dniepro. Szybko włączyła się w obieg życia literackiego Lublina. Ma za sobą spotkania autorskie w mieście, które uznała za przyjazne i literacko ważne.

Przeglądam jej nowy, opublikowany już w Lublinie, tom wierszy pt. „Serce w niewoli” (2022). Jest to wybór utworów w wersji ukraińskiej i polskiej w tłumaczeniu Tadeusza Karabowicza, z oryginalnymi, ciekawymi ilustracjami wybitnej ukraińskiej poetki i plastyczki Emmy Andijewskiej. 22 września 2022 r. autorka prezentowała swój tom w czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Lublinie. To piękne miejsce, idealne nadaje się do czytania wierszy i kameralnych rozmów o poezji.

Słucham i czytam. Wiersze do bólu przejmujące. Dotyczą wojny i jej moralnych konsekwencji, także dylematów narodowego sumienia. Równocześnie kontynuują tradycje dawnej i współczesnej liryki ukraińskiej.

Po pierwsze, jest tu obecny charakterystyczny dla poezji ukraińskiej topos stepu, jako przestrzeni, w której człowiek czuje się wolny, swobodny „jak sokół nad stepem”. Poetka wyznaje, że: „twardość stepu pod moimi stopami” to gwarancja pokoju i stabilizacji. Z kolei w wierszu „Kwarantanna w Mohylewie” czytamy:

*Zostawię toksyczne miasto,
pełne masek i strachu przed śmiercią.
I pojedę w głąb stepu
do domu moich przodków.*

Po drugie, w poezji tej jest również topos kwitnącego sadu, ogrodu, symbolicznego drzewa. Wszystko dzieje się w zielonej oprawie, najczęściej w słonecznym świetle. Natura nie jest tu tylko dekoracją, ona się spełnia i dzieje na równi z przedstawionymi osobami. W wierszu bez tytułu możemy przeczytać:

*Byłeś w tym ogrodzie wiele razy
podziwiałeś bieli zamieć
kwiatu jabłoni*

[...]

*Nie zapomnij
o gościnności jesiennego ogrodu
i o jego aksamitnym szeleście
gdzieś na gałęzi może jeszcze
czeka na ciebie ostatnie
najśladzkie złote jabłko...*

Po trzecie, jest tu również obecny topos rodzinnego domu, często z osobami najbliższymi: matką, rodzeństwem, także przyjaciółmi. Dom rodzinny zawsze jest punktem centralnym na mapie świata. Do niego się nieustannie wraca, chociażby listem, także wierszem. W utworze „Astralne spotkanie” czytamy:

*O północy opuściliśmy nasze domy
i wpatrywaliśmy się w niebo z całej siły,
próbując skrzyżować spojrzenia
na jednej ze świecących gwiazd.*

[...]

*Nie rozpaczajmy, łowco Perseidów,
szukajmy siebie – między ziemią a niebem –
w listach, w telefonach, w nadziejach,
w marzeniach i złotych snach.*

Obecne jest w tej poezji coś, co szczególnie bywa mi bliskie i na co chciałbym zwrócić szczególną uwagę: *sacrum*. W wierszach tych uświęcona jest nasza zwyczajna codzienność. Bóg nie jest groźnym mędrce, ale przyjacielem. W poezji polskiej taką wizję obecności Boga wśród ludzi przedstawiał poeta ks. Jan Twardowski. W poezji

Stepowyczki Matka Boża pod krzyżem reaguje jak każda śmiertelna kobieta, po prostu płacze. W średniowiecznych pieśniach pasyjnych przedstawiana była patetycznie jako „boleściwa”, tu zwyczajnie, po ludzku: rozpaczająca, płacząca. Z Biblii wiemy, że Maria Magdalena „płakała ze szczęścia”, gdy się dowiedziała, że Zmartwychwstał, i to też wyczytać można z wiersza Stepowyczki pt. „Łzy Marii Magdaleny”. Osoby z otoczenia Chrystusa, a szczególnie Matka Boża, to ludzie obecni „tu i teraz”. Człowiek w akcie modlitwy klęka przed Chrystusem, ale też Chrystus w tym momencie klęka przed człowiekiem. Jesteśmy świadkami wzajemnego zespolenia w nadziei, wierze i miłości „bo to, co Cię boli, boli mnie także” (wiersz Stepowyczki bez tytułu z tomiku „Serce w niewoli”, s. 105) W wierszu „Szlachetność uczuć” czytamy:

*Kiedy chcę modlić się na kolanach
do ciebie, jak do ikony
podnosisz mnie
i sam klękasz.*

To przykład modlitewnego gestu wobec osoby bliskiej, świeckiej. Przykład apokryficznej wizji miłości bliźniego.

Łesia Stepowyczka w wierszu „Chemia organiczna” wyznaje: *Nasze wiersze, długie rozmowy...* I tym stwierdzeniem poetka dotyka istoty współczesnej poezji, także jej wierszy. Poezja współczesna przestała być manifestem, apelem, patetyczną odą. Jest po prostu wypowiedzią opartą na poetyce rozmowy. Także autentyczna modlitwa jest dziś prywatną rozmową z Bogiem. Rozmowa z przyjacielem bywa zwykle wyciszona w tonie, często wypowiedziana mową potoczną, bez wyszukanych metafor, bez gorsetu wersyfikacyjnego (rymy, regularne strofy itp.). Wiersz staje się relacją z konkretnej sytuacji. Sytuacja liryczna jest ekwiwalentem całego szafarzu dawnej poetyki. Współcześni poeci tematy swoich wierszy „nie biorą z księżycy”, ale odwołują się do konkretnych wydarzeń. Stepowyczka przywołuje sytuacje, które stają się osnową i początkiem wiersza, np. informuje: *Czekałeś na mnie na peronie koło wagonu nr 1* (z wiersza „Chemia organiczna”), w innym wierszu stwierdza: *poeci są jak ptaki, nie*

przestają śpiewać (z wiersza „Pustelnik”), lub komentuje: *od twojego milczenia krew się zatrzymuje* (z wiersza „Zwróć mi moje serce”).

Warto tu przypomnieć, że jeden z najciekawszych wierszy Dmytro Pawlyczki – klasyka współczesnej poezji ukraińskiej – pt. „Buty” zaczyna się od prozaicznego komunikatu, informacji: *Przyjechała siostra / Przywiozła mi walizkę jabłek / i serce skarg...* Wiersz ten znakomicie wykorzystuje konkretną sytuację liryczną (spotkanie z siostrą) jako główną poetycką konstrukcję utworu lirycznego (narracja o ogromnym ładunku emocjonalnym).

Wiersze Łesi Stepowyczki to poezja przyjaznych gestów, słów i znaczeń. Autor wstępu do jej lubelskiego tomiku Tadeusz Karabowicz, pisze, że „Stepowyczka uwielbia kochać i pisać o miłości”. Nie mogło być inaczej, gdy świat postrzega się jako wspólne dobro, a miłość jako dar Boga. Z przyjemnością czytam te utwory, bo emanuje z nich empatia i przekonanie, że „dobro jednak zwycięża zło!”. Jej najnowsze wiersze, które miałem przyjemność tłumaczyć, dotyczą spraw związanych z wojną. Jej konsekwencje rozpatruje w kategoriach dylematów moralnych, osobistych doświadczeń, nie brak tu też wiary w miłość, która potrafi wszystko znieść i zrozumieć.

Waldemar Michalski



Łesia Stepowyczka: *Serce w niewoli. Poezja, poetyckie echa. Tłumaczenie na język polski Tadeusz Karabowicz. Okładka oraz ilustracje Emma Andjewska. Wydawnictwo Narracje, Lublin 2022, ss. 167. Wydanie dwujęzyczne polsko-ukraińskie.*

Wojciech Bieluć (Targosz)



Punkty widzenia

xxx

Chwytałem się na tym, że aluzyjność myśli, wykształca we mnie umiejętność bycia emocjonalnym. Przy tym nie staram się afiszować własnego artyzmu, by nie przybrał pozy chaotycznej bezradności. Nie stał się biernym majakiem, nieostrą konstrukcją intelektu. Swoją logiczność układam z sensów życia, porządku i obiektywnych relacji. Odnoszę jednak wrażenie, że inni z trudem przyswajają filozofię owej nadrealnej przestrzeni, która posiadała własną enigmę. Widzą wszystko niekompletne i rozczarowujące. W tym oddaleniu brakuje im rozmowy z Bogiem o świecie, jakim być powinien.

xxx

Patrząc na życie z pozycji upływającego czasu, widzę sytuacje wyzute z entuzjazmu. Nie ma w nich strategii odnowy, zamysłu co dalej. W dodatku szaro-biała codzienność, przesuwająca się do przodu. Zyskuje realność trwania. Stawia pytania poza rozumem. Przyjęcie jakiegokolwiek nowej reguły, postawiłoby mnie w pozycji podnieconego głuptaka. Może dawniej miałem skomplikowaną wyobraźnię. Dzisiaj na powrót jestem nieskomplikowaną osobą ze skomplikowanymi pomysłami.

xxx

Kiedy wydarza się cud, przypisujemy mu charakter boski. Gdy uderza piorun, wydarza się tragedia i nie umiemy jej nikomu narzucić. Co najwyżej nazywamy przypadkiem. Jeżeli wszystko jednak jest dziełem loterii, naturalnym byłoby myśleć, że nic nie ma znaczenia. W moim przekonaniu, taka analiza pojawia się nagle. To uporządkowanie obcego przekazu. Polemizując, przyjęcie rzetelnej perspektywy. Szerszej, solidniejszej niż własna. Uświadomienie sobie jak funkcjonują głosy, które mają skłonność do kogoś lub czegoś.

xxx

Jestem w wieku, w którym wiem, co mogę, a czego nie. Kiedy patrzę na swoje życie, dostrzegam młodzieńcze popieranie poetyki. Nigdy nie traktowałem jej obojętnie, nosiła w sobie odwagę ukazywania sensów od środka. Wypowiadania

głośnego, co ją ekscytuje, a co osłabia. Nie owijam w bawełnę, że czasem sytuacje bywały niekomfortowe. Miałem wtedy poczucie wykluczenia. Osaczenia wcześniejszymi historiami. Czułem się pusty, jakby moje fantazje pochowały się po kątach. I nagle potrafiłem spojrzeć na to, co sam widziałem, zdając sobie sprawę, jak łatwo było mnie zatrzymać albo odwrócić wszystko do góry nogami.

xxx

Od dłuższego czasu, wytrąca mnie z równowagi przekonanie, że ani przez chwilę nie byłem prawdziwie wolny. Nie łączyłem poczynąń ze ścieżkami wyobraźni. A widząc siebie w łazienkowym lustrze, unikałem odpowiedzi czy jestem sobą. Sobą, a nie lichą opowieścią, utkaną z bylejakości. A przecież, wystarczyłoby wejść w nastrój tego drugiego, mającego swój język i nazywającego wszystko po imieniu. Wytrącającego świat z obowiązującego banału. Wtedy być może pojawia się chwile, które zdecydują o tym, co przyjdzie później.

xxx

Nie staram się opanować filozofii jutra. Ani wyobrazić, co mogłaby przynieść. Jak każdy, mam swoje scenariusze. Czy przystające do schematu, nie wiem. Nie pochodzę z przywileju, widzę jak jest, a nie mogłoby być. Doświadczenie mówi, że ludzi z otoczenia nie interesuje, że żyję w innym świecie i mam zdolność zrealizowania swoich fantazji. Oni jedynie pragną przetrwać kolejny dzień, nie myśląc o pułapce dwuznaczności. Ani taktyce uchwytenia jakiegokolwiek końca nitki.

xxx

Pomalutku mierzę się z samotnością. Mówię o tym na głos, chociaż to mój ulubiony lęk. Czasem brakuje mi odwagi, chowam za niewiedzą. Ukrywam w wątpliwościach. Mam też obsesję na punkcie wiary. Pojęcia – słuszność, błąd, zło, wybór, niby brzmią podobnie, Zastanawia mnie tylko jedno. Jeżeli, można wybrać dobro. To Bóg, który je stworzył, stworzył też zło. Świat bez wyboru okazałby się światem jednoznacznym.

xxx

Znam swoje życie. Jestem marzycielem, nie człowiekiem czynu. Nie wchodzę z nikim w dopasowane relacje. Nie przyciągam zaadaptowanych epizodów. Uczę się, gdzie lokować kapi-

tał, żeby w życiu nie kiwnąć palcem. Własny mieć dom. Napisać dobrą książkę. Mieć swoje parkingowe miejsce. Okno nie na śmietnik. W akcie odwagi przychodzi mi do głowy, że staję się wielością. Dowodem nierozzerwalności z tym pieprzonym światem. Jednak nie potrafię tego zobrazować za pomocą stop-klatki.

xxx

Życie, które mi się przytrafiło, jest może hamletowskie, ale bez rozgłosu. Nieopatrzono opisać, po czasie przestanie istnieć. Odkąd pamiętam mówiono, słowo należy do tego, kto je wypowiada, przy czym myśli mogą być pozorne, ale fakty wyłącznie absolutne. Fikcja dzisiaj traci symbolikę, co przekłada się na nierozumienie rzeczywistości, a porzucone wizje pozbawiają nas przeżycia ich w pełni. Przekreślają, co nie widzimy przed sobą i co nie jest wystarczająco dobre. Bo kiedy przyjdzie nam zmienić opowieść, wtedy być może zmienimy cały świat. Widząc z jakich słów został ułożony.

xxx

Każdego dnia mam świadomość, że przesterżę którą oddycham, staje się światem wybujałych ambicji, ogólników, wzajemnych wpływów, odniesień, skojarzeń i czegoś tam jeszcze. Wisienkę na torcie tworzą faworyci moralni, czytaj legaliści. Ich wywody na temat powiązania dawnego z ówczesnym i przyszłością, w jedno czasowe trwanie, bywają gawędziarskim popisem. Słuchając, czuję się nadwątlonym umysłowo pasożytem niecierpiącym niczego z ich punktów widzenia.

xxx

Wabi mnie domysł, który odkrywa, że jedna z możliwości, silniejsza jest niż inne. Przekonuje, że jako piszący, potrafię projektować emocje, tworzyć uporządkowanie fabuły, coś co ma przesterżać i naciąg rzeczywistości. Kiedyś byłem już na tej drodze. Przez chwilę naprawdę jest świetnie i mam wrażenie, że się do czegoś zbliżam. I czasem tak jest. A potem, to co przyciągało, wywoływało zachwyt, przestaje inspirować. Zostaje poprzednie oddalenie, oprawa niebudząca emocji.

Wojciech Bielun (Targosz)

Miroslaw Iwańczyk

Miłość w Wenecji



Oto zwierciadło duszy i piękna, w nim wyspy, jak perły, co zdobią wejście do miasta na wodzie. I ona na Moście Westchnień, cała w bieli, z włosami złocistymi, rozwianymi na wietrze, ujęła moją dłoń, poprowadziła nad błękitnymi kanałami, co opływają rzędy pałaców, ulice, place, świątynie, tworząc przepiękny klejnot miejski, pełen niezwykłych zdobiei. Zdumiony idę za nieznaną na plac św. Marka, przed nami kopuły świątyni, jej lśniąca mozaiki, niczym szafiry, rubiny, topazy, szmaragdy, olśniewają refleksami cieniowanych barw, na fasadzie złote konie, w promieniach zachodzącego słońca. Wewnątrz romański półmrok i znów mozaiki na sklepieniu, pełne mistycznych odbłasków. Kontempluję taniec Salome, na ścianach baptysterium, złote kopuły nade mną, niczym obrazy Edenu, w ogromnej ciszy dźwięczą dzwony, jakby chorał bizantyjski śpiewały. Oszołomiony, przytłoczony potęgą sakralnej sztuki, wyszedłem na zewnątrz, a tam już czeka ona, piękna nieznajoma, niczym Beatrycze, i znów wyruszamy w objęcia piękna, które mieszka w budowlach nad Canal Grande, w pałacu Ducale, gdzie krzewią się smukłe kolumny i kwitną kapitelami, rzeźbione w półkoliste detale, spięte w ażurowe, koronkowe łuki, woluty i nagle widzę ciągi portyków, jakby lasów orientalnych. W środku gmachu, w olbrzymich, marmurowych komnatach, bije piękno ze sklepień, kasetonów, ze ścian, promieniuje złożonymi, barwnymi freskami, płótnami malarskimi wielkich mistrzów renesansu, manieryzmu: Bellini, Tycjan, Veronese, Tintoretto. Ich dzieła, jak kamienie szlachetne, oprawione w złote, zdobione ramy, emanują jakąś niebiańską, ponadczasową cudownością. Stałem przed nimi, jak zahipnotyzowany, nie mogąc od nich oderwać oczu.

– Chodźmy już! – to głos mej ślicznej przewodniczki, w której się chyba zakochałem, przywrócił mi świadomość, więc ponownie udaliśmy się w dalszą wędrówkę. Doszliśmy do cichej miejskiej enklawy, do Wybrzeża Tratów, gdzie zwykle życie toczy się spokojnym rytmem, tu urokliwe piękno się skryło i zachwyciło nas malowniczymi placykami, krętymi, średniowiecznymi uliczkami, z wąskimi

przejściami, okolonymi wstęgami kanałów, skąd się unosił w powietrzu smakowity aromat smażonej ryby. I właśnie w tej skromnej przystani, intymnym zakątku, dostrzegłem niepozorny spektakl życia powszedniego. Utrudzeni zwiedzaniem miasta, usiedliśmy przy teatrze La Fenice, wachlarz zmierzchu, powieki nam muskał, chłodził skronie, z murów teatru concerto grosso Corellego cicho wybrzmiewało, wsłuchiwalismy się z rozkoszą w jego barokowe frazy, gdzieś czuły śpiew gondolierów niósł się echem wzdłuż rozciągniętych kanałów. Muzyka pełna kolorystycznych melizmatów, inkrustowana wyrafinowaną ornamentyką subtelnych tonacji, obudziła w nas tkliwe uczucia, objęliśmy się czule, zakochani w sobie i w pięknej Wenecji.

Artyzm miłości na płótnach

Proszę, zarecytuj mi wiersz, co opiewa miłość w dziełach mistrzów pędzla, albo opowiedz słowami poetyckiej prozy o obrazach, co lśnią barwami, na płótnach wielkich artystów.

– Pytasz o moje spotkania z muzą malarstwa, więc ci z chęcią opowiem, jak miłość ukazana w obrazach olśniewa, urzeka, wręcz porywa, artystycznym ujęciem, przez genialnych twórców.

Wędrując po galeriach, chłonałem całym sobą to piękno zakłęte na płótnach, bijące niczym źródło Aretuzy światłocieniem barw, z dzieł płodnych artystów. Syciłem swe źrenice harmonią, proporcją postaci, ze scen biblijnych, mitologicznych. Spacerując po florenckiej galerii, nieomal ukłakłem w zachwycie przed *Wenus Botticellego*, jak z muszli się wylaniała, w śnieżnobiałym blasku ciała powabnego, z węzowymi splotami złocistych włosów, którymi przesłaniała swe boskie łono. Jej postać promieniowała, emanowała jakąś nieziemską miłością. Po chwili znów ją ujrzałem, tym razem śpiącą w obrazie *Giorgione*, jej zgrabne, jaśniejsze perłowo ciało miało w sobie jakąś niebiańską słodycz, jakąś tajemną moc, ewokującą uczuciem, łagodnością i spokojem, przyciągając wzrok zakochanych w pięknie ludzi. Jej twarz urodziwa nad podziw, o delikatnych, subtelnych rysach była pogrążona we śnie, jakby śniła o swym ukochanym *Adonisie*.

– Wiesz, opowiadasz tak barwnie, ciekawie i sugestyjnie, więc kontynuuj swoją opowieść, mów jeszcze, co dalej w galerii widziałeś.

Zobaczyłem przepiękną „Kąpiącą się Dianę”, w obrazie Bouchera, tryskającą zmysłowością ślicznego, nagiego ciała. Widziałem też Fragonarda błyskotliwe dzieła, pełne beztroski, frywolności, nasycone gracją i kolorem, jak jego „Dziewczęta kąpiące”, co skaczą w wodzie z euforią, niby w erotycznym szale, jakby urządzały bachanalie na krawędzi wulkanu. Gdy zbliżyłem się do płótna Tycjana, ujrzałem jego cudowną „Danae”. Jej wyzłoczona skóra odbijała się różowymi refleksami czerwieni. Gra światła i cieni zbiegała się w kształt ciała ponętnego, zwróconego z lubością ku promieniom słońca, cała skąpana była w świetlistych barwach, pogrążona w łożu, w zmysłowej pozie, jakby zapraszała do siebie kochanka.

Nagle mój wzrok przyciągnęły wspaniałe „Trzy Gracje” Rubensa. Ich krągłe, pulchne akty lśnią jakąś pogańską światłością, dotykają swych ciał czule, wpatrują się w siebie namiętnie, jakby nawzajem się w sobie kochały, jakby byli kochankami. Wtem Velázquez mnie poraził swoją „Wenus z lustrem”. Obserwowałem z uwagą, jak odcienie szarości, czerwieni, różu tworzą w obrazie intymną scenerię. Smukłe, a zarazem posągowe ciało bogini, o gładkiej, jasnej karnacji można było obejrzeć tylko od tyłu. Dostrzegłem jak Wenus spogląda na swe odbicie w lustrze, podziwiając swą urodę, jak klęczy przed nią zalotny Kupidyn, podtrzymując jej lustro, z jego twarzy wyczytałem, że kocha się w bogini namiętnie. Po harmonijnym, śnieżnobiałym ciele boskiej Wenery, ślizgają się pieszczotliwie świetne refleksy. Jej postać oszałamia erotycznym pięknem. I na tym dziele wielkiego Velázqueza kończy się opowieść o genialnych artystach, co miłość opiewali i ją uwznioślali barwami, na swych nieśmiertelnych płótnach.

Miroslaw Iwańczyk

Jan Henryk Cichosz

Ścieżka i wąż



Dawniej wystarczyło podejść do okna, aby zobaczyć tuż nad samą łąką wąskie pasemko wydeptanej ziemi, które prowadziło licznych pielgrzy-

mów w tę i tamtą stronę świata. Raz tą ścieżką, tuż przed samym zmierzchem, poszliśmy z bratem za starym człowiekiem, który dźwigał w ręku duży, czarny, błyszczący futerał ze skrzypcami. Nad skarpą głębokiego wąwozu grał nieznanne nam melodie. Pachniało dymem, tarkami, ziołami i Bóg raczy jeszcze wiedzieć czym. Ścieżka zachowała się jedynie na starej sztabowej mapie, którą ojciec mojego kolegi w lipcu 1944 roku znalazł w Lasach Janowskich przy zabitym oficerze niemieckim. Po latach chciałem przejść raz jeszcze tym wąwozem, po którym jeżdżono furmankami w pole i z pola, a w świąteczne dni na odpusty i wesela. Niestety, wąż, zwany przez miejscowych wążkopem, był tak zarośnięty krzakami i młodymi drzewami, że po kilku zaledwie krokach musiałem poddać się...

Ojciec

Od zawsze pachniał wrzeźniami i wrzosami gdzieś z polan Mokrej, Modlina i lasów wokół Warszawy, do której nie dane mu było wjechać raz jeszcze na swoim wiernym koniu Rusinie. Ręce ojca, z żyłami jak postronki, budziły szacunek, podziw i strach przed przekroczeniem któregoś z przykazań rodzinnego dekalogu. Najpiękniejsze były długie, barwne opowieści ojca o ułanach, strzelcach konnych i wojnach: bolszewickiej i tej, w której na zawsze umarła polska kawaleria. Po wielu latach, czytając historię, odnajdywałem ułamki tamtych wieczornych opowieści, snutych przy trzasku polan w kuchni i dalekich odgłosach odchodzącej burzy.

Cyganie

To było gdzieś pod koniec września lub na początku października – drzewa w złotej szacie, w powietrzu płynęły nitki babiego lata. Stałem nad brzegiem gęsto porośniętej tatarakiem krętej rzeki, patrząc, jak młoda, ładna Cyganka kąpie w zimnej wodzie niemowlę. Krzyczało wniebogłosy, a jego zdrowy płacz odbijał się echem od pobliskiej ściany lasu i ploszył ostatnie ptaki tego lata, ukryte wśród nadbrzeżnych zarośli. Widząc moją głupią minę i skuloną sylwetkę, Cyganka śmiała się do łez, ukazując biel swoich zębów. Mało brakowało, a pojechałbym z Cyganami w daleki, nieznaną świat, pełen ognisk, śpiewów, wiatru i polnych, sypek dróg.

Początek

Był ciepły koniec października, dwa lub trzy dni do Wszystkich Świętych. Stałem w sadzie oparty plecami o jabłoń. Wąchałem jesień i było mi z tym dobrze. Czułem jak rozchodzi się po kościach słodkie lenistwo. I nagle krzyk Marka Swatowskiego, który jak oparzony wybiegł pomiędzy ospałych o tej porze uli: „Heniek, jest w gazecie twój wiersz!”. Po Marku pozostał obrosły słodkim winogronem, poczerniały, wysmukły rycerz z sumiastym wąsem. A mój debiutancki wiersz, który Marek wkleił w swój zeszyt-pamiętnik, pożółkł. Wówczas nie wiedziałem, jak mi daleko do miana poety.

Wędrowanie

Lubię spotykać tych, którzy życie mają jakby po drugiej stronie. W Cedzynie koło Kielc, oficer 7 pułku ułanów, opowiadał mi o Huculach i o tym, jak podczas okupacji niemieckiej (był lekarzem weterynarii) oszukiwał wraz z chłopami Niemców. Mój rozmówca był na tyle jeszcze żywotny, że na prośbę mojej żony, zatańczył piękny huculski, za co zebrał od licznych gapiów rzęsiste brawa.

W Kazimierzu spotkałem poetę z Lublina zapatrzonego w Wisłę i szepczącego jakieś dziwne zaklęcia. Wówczas przypomniał mi się fragment wiersza Anny Kamieńskiej:

*Zmierzyć ojczyzny głąb
aż po korzenie zabobonu,
po skamieniały w kurhanach – mowy proch,
Z ucha od dzbana domyślać się rąk,
i z łuku koromysła – nachylenie grzbietu.
Z dyszla u wozu z kłody pszczelej –
dostłuchać boru szum.*

Najlepiej było gdzieś za Hrubieszowem, kiedy szukając drogi i opuszczonych cerkiewek, trafiłem do sadu, w którym podbierano miód z uli. Pszczoły były łagodne, i gospodarz, który raczył mnie miodem wonnym i słodkim, opowiadając, jak tuż przed wojną zakochał się w dziedzicze z pobliskiego dworu, której aby się przypodobać założył tę pasiekę.

Niemiecki pas

Odkąd pamiętam, był w naszym domu, niemiecki pas z tajemniczym napisem na klamrze: *Gott mit uns*. Tata przywiózł go z niemieckiej niewoli późną jesienią 1945 roku, na kilka dni przed zastrzeleniem przez funkcjonariuszy MO i UB w sąsiedniej wsi Niemienice, legendarnego dowódcy miejscowej partyzantki kapitana Stanisława Sokołowskiego. Sąsiedzi długo musieli ojcu tłumaczyć wszystkie zawiłości związane z „utrwalaniem władzy ludowej”, a także to, co się stało z gorzkowskimi Żydami.

Pamiętam jak tym pasem opinał swój ułański kozuszek, a w niedzielę od samego rana na tym pasku, z wielkim skupieniem, ostrzył brzytwę, którą później z wielkim namaszczeniem i robieniem komicznych min, golił swój tygodniowy zarost.

Jak to się stało, że w pewnym momencie pas zniknął z naszego pola widzenia? Kto wie, czy to nie brat upłynął go na targu w Gorzkowie lub Krasnymstawie. Dziwiło mnie tylko, że nasz tato nie szukał tego pasa i ani razu o nim nie wspominał...

Ludwik

Do późnych godzin nocnych ślęczał pochyłony nad zadaniami z matematyki, które mu przywoził bratanek studiujący na warszawskiej politechnice. Na długim kablu wisiła nad nim słabo świecąca żarówka, wokół której fruwały jak oszalałe różnej wielkości ćmy. Po nieprzespanej matematycznej nocy, z wielkim mozołem zabierał się do gotowania kartoflanki, rozpaliwszy wprzód ogień pod fajerkami. Potem jeszcze raz zasiadał do zadań i dopiero późnym popołudniem, gdy słońce było na czterech chłopów nad ziemią, kładł na furmankę pierzynę i poduszkę, miednicę, bańkę z wodą, kubek, wyklepaną kosę, a także tomiki wierszy Mickiewicza i Słowackiego. Za wozem ciągnionym przez starego siwka, szła uwiązana na postronku krowa – jego jedyna żywicielka. Po drodze mijali go powracający z pola sąsiedzi. Nadziwić się nie mogli dlaczego jedzie kosić żyto i pszenicę o tak późnej porze, wozem wypełnionym pierzynami. A on przy świetle księżyca półszepem odczytywał wiersze jak jakieś zaklęcia. Nad ranem, jeszcze cały w snach, na kolanach witał nowy dzień. Obok leżała nietknięta kosa.

Jan Henryk Cichosz

Andrzej Bałys

Miasteczko



Rozdział 1 Polizane lusterko

Do połowy ubrany był po ludzku, a dalej już po swojemu. Franek, chociaż na imię miał Eustachy, głównie z ambicji ojca, który uważał, że długie imię to rozum i większa pewność, że syn wyjdzie na ludzi. Jednak matka wołała na niego Franek i tak już zostało. Poza ojcem i księdzem, mało kto wiedział, że to Eustachy. Może z pożytkiem dla chłopca, bo nie wyglądał na Eustachego ani za dziecka, ani też później, jak już zrobił się duży i mocny w karku oraz w ramionach, które szczególnie podobały się kobietom. Nie tylko prostym, ale również zamężnym, poślubionym z rozsądku i kalkulacji. Inne także oglądały się za nim. W związku z tym Franek odbywał rozmowy. Z księdzem proboszczem oraz naczelnikiem. Zgodnie, choć niezależnie od siebie, przekonwali go, że wstrzemięźliwość to piękna cnota i warto dla niej poświęcić cielesne uniesienia. Franek zupełnie się z nimi zgadzał. Ryglował drzwi i tarasował je kredensem, jednak kobiety i tak znajdowały drogę. Czy to przez okno, czy inaczej. Przychodziły, kiedy leżał już w łóżku, przytulały się do jego szerokiej piersi i dotykały ramion. Nie było na nie sposobu.

Należy koniecznie zaznaczyć, że Franek nie kochał żadnej z nich. Często się o to obrażały i robiły mu gwałtowne wymówki. Czasem nasyłały mężów. Mężowie, zamiast odwiedzać Franka, upijali się na odwagę. Tak bardzo, że opuszczali ich siły. Upadali więc na ziemię i tak kończyła się interwencja. Szczęśliwie dla nich, bo Franek był bardzo silny. Nieraz w rękę zostawała mu klamka. Czasem z drzwiami lub całą futryną, gdy na przykład rozmarzył się i zapomniał o całym świecie. Z łatwością podnosił też konia. Wiele razy udowodnił to niedowiarkom na targu. Wchodził pomiędzy przednie nogi, zapierał się, a potem powoli prostował. Łeb konia i szyja, i cała przednia połowa unosiły się lekko do góry. Niczym zabawka pełna

pierza. Koń rżał. Śmiał się z tych, którzy przegrali pieniądze, założyli się z Frankiem, że nie da rady, bo koń jest za ciężki, żeby człowiek go dźwignął. Z wygraną szedł Franek do baru. Koń czekał na zewnątrz, aż wszystko przepije. Starał się nie stać przy oknie. Bywało, że wypadali przez nie poturbowani przez Franka mężczyźni. Zawsze obcy. Swoich raczej nie ruszał. Jeśli zdarzyła się bójka, to wcześniej wychodził z baru, bo część wygranej musiał dać na wstawienie nowych szyb.

Franek był utrapieniem Miasteczka. Był także bardzo pożyteczny, tolerowano więc jego wybryki z graniczącą z rezygnacją cierpliwością. Franek potrafił wszystko. Naprawiał buty i zegarki. Najlepiej kiścił kapustę i oprowiał świnię. Umiął nastawić złamaną rękę czy nogę i obłaskawić wściekłego psa, a nawet opętanego kota. Nie potrafił tylko odmówić kobietom, a jak pił wódkę, to proboszcz leżał przed ołtarzem, zaś naczelnik chodził w tę i z powrotem po swoim wielkim gabinecie i ocierał spocone czoło jedwabną chusteczką. Franek dostarczał im nie mniej emocji niż wizyta biskupa albo kogoś ważnego z województwa. A może nawet więcej. Zgodnie, choć niezależnie od siebie, obawiali się, czy dożyją emerytury. A jeśli tak, to w jakim stanie. Czy jeszcze będą mogli się nią pocieszyć, czy zostanie im tylko łykanie otrzymywanych od aptekarza pastylek. Skądinąd bardzo zanego obywatela. Jednak na starość woleliby grać z nim w karty, niż dostawać kolejne garście dziwnie brzmiących leków, ale była to rzecz niepewna. Przynajmniej dopóki żył Franek.

Franek nie miał podobnych wątpliwości. Uważał, że jego życie jest dobre i nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, a każdy dzień będzie lepszy od poprzedniego. Jeśli czymś się martwił, to dość powierzchownie i krótko, bo zasypiał utrudzony miłością. Ukołysany rytmicznym ruchem rozpędzonych namiętnością bioder. A taki sen jest najzdrowszy. Chroni przed koszmarami i niedobrymi myślami nad ranem, przed brakiem apetytu i włosami sterczącymi z uszu. Tę ostatnią wiedzę Franek pozyskał od fryzjera. Wielkiego znawcy w tym temacie. Dzięki zręcznie zadawanym podczas strzyżenia pytaniom, wiedział o mieszkańcach Miasteczka wszystko. I dobrze znał ich uszy. Jego teoria miała więc solidne podstawy, wręcz

ocierała się o naukę. Fryzjer od lat pisał stosowny artykuł. Miał go ukończyć lada dzień i opublikować w bardzo poważnym piśmie. Czekali na to wszyscy i traktowali go z należnym szacunkiem. Wyjątkiem byli nauczyciele z liceum. Ich zdaniem fryzjer oszukiwał. Nie widziano, żeby kupował atrament. Nie kupował też długopisów. Nie miał maszyny do pisania ani gęsi, z której pozyskiwałby pióra. Wniosek był taki, że nie mógł pisać. Nie miał po prostu czym. Szanowali go jednak za to, jak golił i strzygł. Nie zdarzyło się, żeby kogoś zaciął, a fryzury wyglądały jak na filmach. Nie różniły się nawet drobnymi szczegółami. Stwierdzono to zgodnie, oglądając klatka po klatce najwspanialsze produkcje hollywoodzkiego kina. Poza tym był przystojny jak mało kto.

Nic nie zapowiadało niczego. Każdy znał swoje miejsce. Miasteczko słynęło z dostatku i nietuzinkowej mądrości, utrzymywanych w wielkiej tajemnicy za radą starożytnych liter. Głosiły umiarkowanie i uroki skromności. Dawno temu ktoś wyrył je na czyjejs sztachecie i umieścił nad wejściem do ratusza. Nikt nie pamięta, czy naczelnik opuścił ratusz przed, czy po zawieszeniu sztachety. Na pewno urzęduje gdzie indziej. W gmachu, nad którego drzwiami nie ma żadnych sztachet z hasłami i jest przez wszystkich nazywany dużym czerwonym domem.

Stary rok skończył się dobrze. Nowy rozpoczął wręcz lepiej. Nie było powodu, żeby nasłuchiwać wzdłuż dróg, czy patrzeć z niepokojem w niebo. Na stacji kolejowej głównie hulał wiatr. Rzadko ktoś wysiadał z zatrzymujących się w Miasteczku pociągów. A jeśli już, to żeby rozprostować kości albo wypalić szybko papierosa. Konduktorzy cierpliwie czekali na nielicznych palaczy. Gwizdali do odjazdu dopiero, gdy niedopałki zostały wdeptane w nierówny peron, a podróżni wrócili do wagonów. Poza palaczami w Miasteczku nie wysiadał nikt. Zmarniały, drewniany dworzec skutecznie do tego zniechęcał. Nie było więc możliwości, że nadejdzie od niego jakieś zło, jak zdarzało się czasem gdzie indziej.

Jako jedyny zaniepokoił się Franek. Wstał wcześniej i podrapał się po pośladku. Czynność przerwał i po chwili powtórzył, ale nie to wywołało u niego niepokój. Drapał się tak co rano. I zawsze w dwóch turach. Przerywanych chwilą na swo-

bodną refleksję. W ten sposób przywoływał się do rzeczywistości. Intensywne drapanie pozwalało szybciej opuścić krainę snu i zacząć ochotnie żyć. Po drapaniu poprawił kalesony. Stopy wsunął w ciapy i wstał. Następnie powinien był udać się na strych, odkroić kawał zawieszanej na belce słoniny, jednak coś kazało mu przysiąc na krzesło. Spojrzeć na stojące na stole lustro i polizać je mocno językiem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się go lizać. W ogóle nie czuł takiej potrzeby. Przeglądał się w nim od czasu do czasu, głównie kiedy się golił i kiedy układał włosy, idąc na tańce z dziewczynami, ale nigdy go nie polizał. Uznałby to za dziwne, więc zmartwił się tym, co się wydarzyło. A nie było to wcale wszystko. Coś bardzo niedobrego stało się z samym lustrem.

Franek chwilę rozmyślał, ale nie dał rady. Ta sprawa pozostawała poza jego rozumem. Zaradzić mogła tylko jedna osoba – doktor. Oplukał więc twarz zimną wodą i ułożył zmierzwiłone myśleniem włosy. Zrobił to na wycucie, bo uprzątnął ze stołu lustro i zawinął w szary, gruby papier. Taki, w jaki pakowało się marmoladę. Ubrał białą koszulę i krawat. Na to kamizelkę. Z niedużej, płytkiej kieszonki zwieszała się dewizka złotego zegarka. Miał go jeszcze po dziadku i brał ze sobą, kiedy szedł za ważnymi sprawami. Po to, żeby się przypadkiem nie spóźnić, ponieważ załatwianie zaczynał zawsze od wódki. Niekoniecznie z rozsądku. Raczej dla zachowania tradycji i trochę z upodobania. Na kalesony naciągnął drugie, czystsze, tak zwane wyjściowe. Z uwagą i tył na przód, a w pasie przewiązał się troskliwie szalikiem, bardzo pilnując, by po zawiązaniu, jeden z dwóch końców był koniecznie dłuższy. Chwycił go, przeciągnął między nogami i założył na plecach za oplatającą go część szalika. W ten sposób zabezpieczał się przed chłodnym, styczniowym powietrzem. Nie mogło się zdarzyć, że przewieje obszary, o które szczególnie dbał i uważał, żeby nie dotknęło ich jakieś nieszczęście. Na nogi wdział ocieplane gumowce, a na wierzch narzucił czarny, skórzany płaszcz. Zdobyczny, pamiętający koniec wojny. Tak wystrojony udał się w drogę do doktora. Zamknął za sobą furtkę i ruszył w lewo. Nad nierówną, brudną ulicą górowała wieża ratusza i podwórza przyrynkowych kamienic. Wszystkie upstrzone lichymi komórkami i wychod-

kami pomurowanymi z wybrakowanych cegieł. Na końcu ulicy pozdrowił grupkę mężczyzn. Pili piwo z pękatych butelek i zjadali końską kielbasę. Stali przy niedużym, parterowym budynku, w którym był bar. Miejsca w środku starczało najwyżej dla czterech osób, dlatego sprawy pomiędzy sobą rozstrzygali przy wejściu albo niewiele dalej, na księżej łączce. Krzyknęli na Franka, żeby do nich dołączył. Franek lubił ten bar, ale podziękował. Dziś miał załatwienie ważniejsze od towarzystwa. Kierował się więc do lokalu, szemranej restauracji uważanej powszechnie za spelunę. Upodobał ją sobie szczególnie. Pasowała do jego charakteru. Nazywał ją lokalem i zachodził do niej przy doniosłych okazjach. Z uczciwą gotówką, a nie taką z wygranej. Ważył w niej myśli i nie zdarzało się, żeby musiał w niej płacić za szyby.

Wąską, stromą ulicą wspiął się do rynku. Ze ścian stojących przy jej wylocie kamienic, odpadał tynk. W wielu miejscach widać było nadkruszone cegły, wilgotne zacieki i wydrapane w murze napisy. Mijając brudne okna, usłyszał podniesione głosy. Ktoś skarżył się, płacząc, a ktoś inny roześmiał. Ochryple i wstrętnie. Rozbiła się uderzona o kant stołu butelka. Kolejnym hałasem był krzyk. Franek wałnął pięścią w szybę. Prawie natychmiast odsunęła się poźółkła firanka. Gdy czerwona, nabiegła wściekłością twarz rozpoznała Franka, pojaśniała służalczym uśmiechem. Otworzyło się okno. Wielkie, brudne łapy grzecznie podały ogień. Franek odpalił sporta i usłyszał, że nie będzie kłopotów. Palił w milczeniu. Bełkotliwe słowa próbowały rozpędzić krępującą ciszę. Franek nie lubił awantur w swojej części Miasteczka. Surowo je karał. Jeśli ktoś miał prawo je wszczynać, to tylko on. I każdy o tym wiedział. Franek rzucił pęta na ziemię i wyszedł z wąskiej, ciemnej uliczki. W oddali, na wprost siebie miał budynek dawnego sądu, zaś po prawej rozległy, zadbany rynek. Dorodne drzewa sprawiały, że wyglądał bardziej jak park i tak o nim powszechnie mówiono, a ponieważ było słonecznie i ciepło, zapełnił się ludźmi. Na ławkach siedziały zakochane pary. Matki spacerowały z wózkami. Dzieci bawiły się przy nieczynnej fontannie. Większe i odważniejsze nawet do niej wchodziły i biegały wkoło z głośnym krzykiem. Wygrywało to, któremu najpóźniej zakręciło się w głowie. Palący papierosy

ojcowie, obserwowali to ze spokojem, a starsi panowie grali w warcaby i szachy. Przesuwali figury z namysłem i bez zbędnych słów. Zgodnie z zasadą, że z wiekiem ubywa chęci do mówienia. Słowa wydają się mniej znaczne. Czas uczy traktować je z dystansem.

Od kościoła nadjechała warszawa. Zatrzymała się, żeby przepuścić Franka. Skinął głową i przeszedł przez ulicę. Na chwilę stanął przy kiosku. Łysiejący mężczyzna z niezdrową cerą podał mu zapalki i sporty, a potem pochwalił się, że ma na oku emzetkę. Jaskółkę w pięknym stanie. Wspaniała maszyna. Taki motor może odmienić życie. Mrugnął do Franka i roześmiał się odsłaniając żółte, nierówne zęby. Franek przyznał mu rację. Pożegnał się i ruszył wzdłuż okalającego rynek murku. Na jego końcu skierował się w prawo, na przejście. Lokal znajdował się po przeciwnej stronie ulicy w narożnej, zielonej kamienicy. W środku Franek od razu udał się do drugiej, wąskiej sali. Wszyscy, którzy tam byli, wyszli, żeby mu nie przeszkadzać, a kto nie wiedział, został objaśniony. W pewnym sensie wąska sala należała do Franka. Kiedy się zjawiał, miał ją tylko dla siebie. Usiadł przy stoliku i położył opakowany w szary papier przedmiot na blacie. Będzie tematem dociekań przez kilka następnych tygodni. Aż nie zastąpi go coś bardziej sensacyjnego. Kelnerka przyniosła trzy kieliszki wódki. Franek nie musiał zamawiać konsumpcji. Podła galareta i nieświeże jaja nigdy nie trafiały na jego stolik. Franek mógł pić wódkę bez przeszkód. Pierwszym kieliszkiem wprowadził się w nastrój. Drugim pobudził myślenie. Trzecim podsumował ciężki, intelektualny proces i obtarł usta dłonią. Był gotowy na rozmowę z doktorem. Wstał, wziął opakowany w szary papier przedmiot i wyszedł. Do wąskiej sali mogli wrócić inni. Zawołali kelnerkę, a ona odkrzyknęła „zaraz!”. Specjalne traktowanie miał tylko Franek. Kelnerka nie po to pracowała, żeby usługiwać.

Kelnerka była wysoka i szczupła. Ładnie zaokrąglona w miejscach, na które patrzą mężczyźni. Na ogół żuła gumę. Wyjmowała ją z buzi tylko do posiłków i gdy przychodził ktoś znaczny, na przykład Franek. Wtedy wychodziła przed lokal i wypluwała ją pod nogi przechodniów. Potrafiła też dalej, na popękany asfalt. W tym celu brała głęboki wdech. Cienka bluzeczka trzeszczała na

jej wezbranych piersiach, a mężczyźni zamierali z wrażenia, oszołomieni widowiskiem. Latem lubiła się opalać. Wynosiła przed lokal leżak i kładła się na nim w skąpym stroju. Jak na komendę pojawiali się motocykliści. Wykonywali różne figury: jeździli na tylnym i na przednim kole, bez trzymania, tyłem i stojąc na siodelku. Z okien, balkonów i dachów obserwowali te zawody mieszkańcy. Ryk silników z łatwością zagłuszał stukot maszyn do pisania pracujących na zapleczu księgarni, bicie kościelnych dzwonów i dzwonki w szkołach. Niósł się daleko na łąki, dziwiąc pasące się krowy. Z reguły obojętne na wszystko, unosiły rogate łby i wpatrywały się w sylwetkę Miasteczka w niemym, krowim zachwycie. Przesławały nawet żuć trawę, co zdarzało im się tylko w momentach wielkiego zadziwienia. Zwycięzca motocyklowych zawodów zabierał kelnerkę nad zalew. Kupował jej colę i lody w niedużym pawilonie, a potem leżeli na kocu na pomoście. Do domu wracała na drugi dzień. Przegrani motocykliści pili piwo na koszt lokalu. Obsługiwali się sami, dopóki ostatni z nich nie runął na podłogę. Kierownik lokalu załamywał ręce. Chodził do naczelnika po interwencję, prosił, żeby zwolnić dziewczynę, ale niewiele mógł zyskać, bo to naczelnik kupował jej gumy do żucia w sklepie za dewizy. Przyjmował więc kierownika życzliwie, grzecznie wysłuchiwał skarg i prośb, ale stanowczo odmawiał usunięcia jej z grona personelu. Obiecywał za to, że Miasteczko pokryje szkody. Niech tylko je obliczy i dostarczy stosowny dokument. Odprowadzając kierownika do drzwi, klepał go po ramieniu i mówił, żeby się nie martwił. To tylko pieniądze. O pieniądze nie warto robić awantur. Zamykał za kierownikiem drzwi, siadał w starodawnym, rzeźbionym fotelu, który z powodzeniem mógł uchodzić za tron i sięgał po stojący na wielkim biurku telefon. Chwilę zastanawiał się, o co poprosić. Ostatecznie mówił, że ma ochotę na koniak. Koniak zawsze go uspokajał i wprowadzał w znakomity nastrój. Podobnie jak kelnerka, chociaż nie łudził się, że jest jej jedynym kochankiem. Przecież nad zalewem nie czytała wierszy. Nie czytała ich również z Frankiem, a zachodziła do niego często. Częściej niż inne kobiety. Dla naczelnika nie miało to znaczenia. Nie potrzebował jej na wyłączność. Wystarczało mu, że była na telefon.

Kelnerka lubiła naczelnika. Podziwiała go za jego pozycję i wpływy, cieszyła się, kiedy obdarowywał ją drobiazgami. Ale potrzebowała także dzikości Franka i łaknęła przygód, których dostarczali jej młodzi motocykliści. Jednak najbardziej chciała mieć ich wszystkich u stóp. Na każde skinięcie. Marzyła o tym od dawna i łatwo uwierzyła, że przedmiot zawinięty w gruby, szary papier na pewno jej w tym pomoże. Franek nie spuszczał z niego wzroku. Nawet jak pił wódkę, a przecież zapomina wtedy o całym świecie. Musiał to być przedmiot niezwykły. Jakiś skarb obdarzony niezwykłymi mocami. Czytała o takich w cienkich, niedużych książeczkach. Czuła, że to jej jedyna szansa, żeby zasiąść na tronie w dużym, czerwonym domu. Potem rozkaże odbudować zamek i przeniesie się tam w uroczystym orszaku, depcząc po ciałach swoich kochanków. Ta wizja sprawiła jej wielką radość.

Zgromadzeni w lokalu goście spojrzeli po sobie. Kelnerka śmiała się rzadko, a jeszcze rzadziej szczerze i wesoło. Z reguły był to pogardliwy albo szyderczy śmiech, więc nie wiedzieli, co o tym myśleć. Nie nawykli do nagłych zmian. W Miasteczku zmiany zachodziły powoli. Gramoliły się z wielkim trudem, jak pijak, który upadł na ziemię i próbuje wstać, wspinając się niezdarnie po murze. Nagle traci chwyt, zsuwa się na powrót na ziemię i zaczyna mozolną pracę od nowa. W Miasteczku nie było entuzjazmu dla zmian, bo przecież było dobrze, a lepsze jest wrogiem dobrego. Te słowa wisiały w gabinecie naczelnika od wieków, oprawione w wykonane przez najlepszych majstrów ramy. Ponoć po ich ukończeniu przepadli bez wieści. Podobno ktoś wcześniej wyraził nadzieję, żeby nigdzie na świecie nie było piękniejszych ram, ale to wszystko legendy. Przekazywane z pokolenia na pokolenie. Z dumą i satysfakcją, bez litości dla biednych majstrów. W sumie ludzie to tylko ludzie, a piękne ramy cieszą oko wybranych do dziś. Nie ustępują piramidom i Wielkiemu Murowi Chińskiemu, a przynajmniej tak myśli o nich naczelnik, chociaż nigdy nie widział piramid ani Wielkiego Muru na żywo. O ramach wiele słyszała kelnerka. Uważa, że się marnują. Powinno zostać wprawione w nie lustro i służyć głównie jej. Gdy zdobędzie zawinięty w gruby, szary papier przedmiot, zajmie się tym niezwłocznie, bo nigdy

nie zaniedbywała siebie. Różnie o tym mówiono w Miasteczku, ale zawsze szeptem i oglądając się wcześniej za siebie. Nikt nie chciał narazić się na czelnikowi. Na urok ram zupełnie obojętny był tylko Franek. Ogólnie mało cenił przedmioty. Skoro nie można zabrać ich na tamten świat, to po co się ekscytować? Więcej sensu ma opróżnienie butelki albo patrzenie w rozgwieżdżone niebo. Gdyby kelnerka uważnie słuchała Franka, nie uwierzyłaby, że przedmiot zawinięty w papier to skarb. Zaoszczędziłaby sobie dużo trudu i zachowała życie, które miała. Lekkie i dosyć przyjemne. Niestety głównie słuchała siebie, nie dopuszczając do głosu innych. Nawet, jeśli pozwalała im mówić, to puszczała ich słowa mimo uszu. Uśmiechając się i potakując od czasu do czasu, żeby myśleli, że jest inaczej. Doskonaliła tę technikę od dziecka. Dlatego niewiele wiedziała o świecie, ale mogła sobie na to pozwolić, bo w swoich oczach była wspańska.

Frankowi trochę zeszło z drogą do doktora. Co prawda spieszył się bardzo, jednak gdy zdarzyła się jakaś ławka, to rozsiadał się na niej wygodnie na tak zwaną chwilę. Sięgał do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjmował ładną i dużą piersiówkę. Podobnie jak płaszcz, również była zdobyczna i pamiętała koniec wojny. Od kiedy powstała, należała do wielu osób. Niektórzy jej właściciele żyli długo, inni dość krótko. Zwykle miało to związek z okolicznościami, w jakich ją nabyli. Ostatnia transakcja była uczciwa. Matka Franka otrzymała ją za kilka jaj i kawałek chleba od uciekającego przed ruskimi żołnierzami. Pewnie dlatego piersiówka zatrzymała się w ich rodzinie na dłużej. Najpierw służyła matce Franka, a potem jemu. Służyła dobrze. Pita z niej wódka zawsze smakowała wybornie. Może to potwierdzić każdy, kto przytknął ją do ust, a było takich wielu. Franek nie zawsze brał ją na drogę. Wbrew temu, co mówili o nim po kątach i nigdy prosto w oczy, dość często przemieszczał się trzeźwy, ale na drogę do doktora piersiówka była niezbędna. Jego gabinet znajdował się bowiem w bardzo niebezpiecznym miejscu, omijanym przez wszystkich z lękiem i z daleka. Z pozoru zwyczajnym. Ponieważ był nim długi, parterowy dom ustawiony frontem do ulicy. Mógłby być własnością zamożnego gospodarza albo kogoś znacznego, ale był szpitalem i to nie jakimś zwykłym, ale zakaźnym, czyli takim, wokół

którego latają śmiertelne zarazki. Do budynku prowadziły umieszczone w trzech miejscach drzwi. Pierwszymi wchodziło się i wychodziło, podobnie drugimi, jednak tylko w niedzielę, w czas widzeń i tylko do metalowego ogrodzenia oddzielającego teren szpitala od chodnika i świata ludzi zdrowych. Trzecimi było się wynoszonym, raz, krótko po śmierci. Stąd nikt nie lubił trzecich drzwi, choć same w sobie nie miały złych intencji, a tylko ktoś przypisał im złowieszczą funkcję, a one się temu poddały. Kiedy je otwierano, proszono pacjentów na górę, do znajdującej się na strychu świetlicy. Któraś z pielęgniarek nastawiała głośno telewizor. W ten sposób zagłuszano zgrzyt odryglowywanego zamka i niepokojące skrzypienie, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Oglądali telewizję w milczeniu, z nadzieją, że jednak wyjdą przez pierwsze drzwi, zanim znowu otworzą się trzecie. To było coś, czego warto było się trzymać, chociaż niektórzy patrzyli się obojętnie w sufit albo na ściany. Tacy byli najrzadziej wynoszeni przez trzecie drzwi, o co wybuchały gwałtowne teologiczne dysputy między doktorem i księdzem proboszczem. Nabierały na sile po alkoholu. Towarzyszyło im tłuczenie szkła i wzywanie świętych nadaremno, bo nigdy nie zstąpili, żeby bronić proboszcza. Opuszczał gabinet doktora w pośpiechu, przez okno, sprawnie przeskakiwał metalowe ogrodzenie i biegł z wysoko podkasaną sutanną, gdyż w ten sposób poruszał się szybciej. Świadkowie tych biegów podziwiali jego wydolność. Pomimo znacznej nadwagi potrafił się dobrze rozpędzić i wyprzedzał nawet samochody. Dobiegał do plebanii w imponującym czasie, zatrząskiwał za sobą drzwi i opadał bez sił na fotel. Siostra Lucyna ustawiała się na straży. Była gotowa umrzeć w obronie wiary i dopisać swe imię do listy męczenników. Jak na złość doktor nigdy nie ruszał w pościg za proboszczem. Pojawiał się zwykle po kilku dniach. Nie na plebanii, tylko w kościele i rzucał na tacę imponujący nominał banknot. Jakkolwiek piękny był to gest i wspańska pokuta za występki, to nie zadowalała ukrytych pragnień siostry Lucyny. Nie przybliżał jej do świętości, a lata nieubłagane leciały. Widziała to w lusterku, rozczesując przetykane srebrnymi nitkami włosy i w oczach księdza proboszcza, który nie patrzył się na nią jak dawniej. Gdzieś przygasał żar rozpalonego wcześniej spojrzenia. Nie odpro-

wadzał już jej sylwetki, kiedy szła korytarzem. Nie pomagał w zmywaniu naczyń, ani rozwieszaniu prania za plebanią. Ten etap mieli już, niestety za sobą. Żeby odzyskać jego uwagę, potrzebowała być świętą. Najlepiej za życia. Przecież nie wiadomo, czy spotkają się kiedyś w niebie. Szczerze mówiąc, bardzo w to wątpiła. Ksiądz proboszcz często wracał po nocy. Z trudem wysiadał z auta i zasypiał w sutannie na fotelu. Ile musiała się nie-raz namęczyć, żeby obudził się w łóżku. W czystej pidżamie w aniołki, które sama wyszyła złotą nitką, wzdychając i wznosząc oczy ku niebu. W oczach mieszkańców Miasteczka już dawno zasłużyła na świętość. Do niej samej nie mogło to dotrzeć przez skromność i miłość do księdza proboszcza, która utrudniała jej właściwe rozumienie spraw. Mieszkańcy Miasteczka powszechnie jej współczuli.

Kiedy Franek dotarł w końcu do gabinetu doktora, niestraszne mu były żadne zarazki. Zabezpieczył się przed nimi solidnie. Potwierdzała to pusta piersiówka i stan, w którym znajdował się Franek. Pion odnajdywał z trudem i tylko na chwilę, więc z ulgą opadł na wskazany przez doktora zydelek. Doktor również był zabezpieczony przed zarazkami, ale na razie wstępnie. Ktoś mało przenikliwy mógł nawet pomyśleć, że doktor był trzeźwy. Na pewno uznał tak doktor, bo sięgnął za oparcie stojącej przy ścianie wersalki. Zadzwonily poruszone rękami butelki. Frankowi wydało się, że słyszy niebiańską muzykę. Wzruszył się i uronił łzę. Doktor spojrzał na niego z przyganą. Mężczyznom nie wolno płakać. Płacz jest domeną kobiet i dzieci. Dorastając, chłopiec oducza się płakać albo nie zostaje mężczyzną i nie może odnaleźć się w życiu. W to wierzył doktor i nie krył się ze swą wiarą, bo udawaniem gardził bardziej niż trzeźwością. Krzyknął na pielęgniarkę, żeby przyniosła alka-prim. Nastawił czajnik i wyjął naczynia. Dwie szklanki na wódkę i dwie filiżanki. Te ostatnie napełnił wodą, kiedy już była gotowa i wrzucił do nich przyniesione przez pielęgniarkę tabletki. Nie lubił pić na pusty żołądek. Skinął na Franka. Wzniesli toast za zdrowie. Potem ponownie skinął i jeszcze kilka razy. Komunikacja inna niż za pomocą gestów, zaczęła nastroczać trudności. Uzupełniali ją dźwiękami, które mogły oznaczać wszystko. Po wstępnych uprzejmościach, nadszedł czas przejść do rzeczy. Franek wyjął z kieszeni płaszcza opako-

wane w gruby, szary papier zawiniątko. Położył je sobie na kolanach i zaczął mozolnie rozplątywać sznurek. Doktor w międzyczasie nalał do szklanek. Mruknął do Franka i wypili. Nie ułatwiło to Frankowi zadania. Jego i tak bardzo losowa koordynacja utraciła związek z rzeczywistością. Nabrała cech wykonywanego w stanie nieważkości baletu. Doktor patrzył na widowisko zafascynowany i nawet zapomniał o wódce. Kiedy Frankowi opadły ręce, podniósł swoje i zaczął klaskać, a potem przytulił bezwładnego Franka. Pielęgniarki nie wiedziały, co o tym myśleć. Pacjenci uznali, że wymyślił lek na zakaźne choroby. Zdemontowali trzecie drzwi i rzucili na ziemię przed szpitalem. Ktoś wzniecił ogień. Klaszcząc i śpiewając, tańczyli uradowani wokół ogniska. Za ogrodzeniem zebrali się gapie. Obraz żółtych, wynędzniałych pacjentów podrygujących w starych, znoszonych pidżamach okazał się być silniejszy od strachu. Potrzebna była interwencja. Pod pretekstem, że nie zgłoszono zgromadzenia, rozpędzono tłum. Naczelnik wypił więcej koniaku niż zwykle. Źle znosił wydarzenia. Wolał jak nie działa się nic. Humoru nie poprawiła mu nawet kelnerka. Zamyślona i jakby nieobecna, słabo reagowała na jego pieszczoty. Miał wrażenie, że trzyma w rękach plastikową lalkę, a przecież nie po to kupował jej gumy do żucia w sklepie za dewizy. Pomyślał, że czas ją zmienić. Najlepsze lata miała już ewidentnie za sobą.

Tamtego dnia doktor nie dowiedział się, co było w opakowanym w papier zawiniątku. Wsadził je Frankowi do kieszeni płaszcza, a potem dźwignął go jak szmacianą lalkę i objął w pasie. Lewą rękę Franka przerzucił sobie przez ramię i mocno chwycił. Tak wyszli przez pierwsze drzwi, potem przez furtkę i dotarli do głównej ulicy. Doktor oparł Franka o słup i ciężko oddychał. Chociaż był silny i dużo wyższy od Franka, to mocno się zmachał. Niełatwo się idzie z bezwładnym człowiekiem. Tym bardziej, że Franek to sporych rozmiarów mężczyzna. Doktor powoli uspokoił oddech, zapalił papierosa i czekał. Potrzebował kogoś, kto odwiezie Franka do domu. Pierwsza nadjechała furmanka. Chłop nie zgodził się zawieźć Franka pod sam dom. W wozie nie miał hamulca i bał się. Odcinek z rynku do baru przy księżej łączce jest bardzo stromy. Ustalił więc z doktorem, że wysadzi Franka przy kawiarni. Stamtąd będzie miał blisko. Nogi

poniosą go same w dół, żeby tylko dobrze wykręcił przy barze. Inaczej trafi na łąki. Ale to już nie jego sprawa. On zawiezie tylko pod kawiarnię. Doktor wiałował Franka na furę i podał chłopu banknot. Ten podziękował, zdejmując wielką baranią czapkę. Kusiło go obejrzeć pieniądz pod światło. Jednak bał się obrazić doktora. Wiadomo było, że łatwo wpadał w gniew, zwłaszcza po gorzałce. Cmoknął więc na konia i ruszył. Poganiając go batem, zaniosł modlitwę do Najświętszej Pani. Prosił ją, żeby banknot nie był fałszywką, bo inaczej baba nie da mu żyć i zwyzywa od głupich i najgorszych. Przez lata małżeństwa obniżał się jego autorytet i bardziej już nie mógł. W pewnym sensie chłop stał nad przepaścią.

Naczelnik planował udawać, że nic się nie stało. Poczyniono już nawet pierwsze kroki. Udało się wstać nowe trzecie drzwi. Uprzątnięto ślady po niefortunnym ognisku. Pacjenci na powrót byli w salach. Pielęgniarki przekonywały ich, że śnił im się absurdalny sen. Doktor nie wymyślił cudownego lekarstwa, a oni nie zdjęli trzecich drzwi z zawiasów i nie spalili ich w radosnym ognisku. Dowody na to były mocne. Drzwi, jak dawniej znajdowały się w futrynie, a jeden z pacjentów zmarł. Wszystko układało się w logiczną całość i prawda skłaniała się ku wersji głoszonej przez pielęgniarki. Pozostawała kwestia rozpedzonych przez służby porządkowe gapiów. W związku z tym naczelnik zwołał naradę w gabinecie. Zaprosił samą śmietankę, elitę swoich urzędników. Powiedział po nich zmęczonym wzrokiem i wyraził pewność, że znajdą wyjście z sytuacji. Przemoc wobec obywateli nie wyglądała dobrze. Mogła źle wpłynąć na jego popularność i odbić się na karierze. Należało temu koniecznie zaradzić. Liczył na nich. To był ich czas, żeby odwdziżyć się za tytuły i liczne zaszczyty. Czuli to, intensywnie pracując intelektami. Słysząc było charczące, graniczące z zawałem oddechy i pot obficie wydzielający się z porów. Słysząc było nawet prąd w kablach, gniazdkach i licznych żarówkach. Ludzie naczelnika wyjątkowo tęsknili do jakiejś uczciwej pracy.

– Przecież funkcjonariusze wcale nie wyszli na ulicę – w końcu odezwał się komendant. Naczelnik wytrzeszczył oczy i zamienił się w słuch. Taka wersja, zupełnie sprzeczna z prze-

biegiem wydarzeń bardzo odpowiadała jego oczekiwaniom. Komendant uśmiechnął się skrycie, widząc, jak fenomenalne zrobił wrażenie. Wypiał pierś. Wisało na niej więcej medali, niż mógłby unieść generał. W świetle żyrandola błyszczwały prawdziwym blaskiem, bo naczelnik nie oszczędzał na swoich ludziach. W myśl zasady, że prawdziwą wierność można kupić tylko prawdziwym złotem. Zgodnie z tym postępował od zawsze i nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek żałował.

Zebrani w gabinecie naczelnika, spojrzeli na komendanta z uznaniem. Rzadko imponował myślą. Głównie przez skromność i charakter urzędu. Raczej słuchał, niż mówił, a patrzył, jakby chciał zajrzeć w głąb głowy. Dzięki temu miał imponujące wyniki i nie popełniał błędów. Jeśli się jakieś zdarzały to tylko jego podwładnym, nawet jeśli wynikały z jego bezpośrednich poleceń. Każdy rozumiał, że tak musi być. Komendant ośmielony przychylnymi spojrzeniami, odezwał się znowu:

– Nie miała miejsca żadna interwencja. Są na to niezbita dowody w postaci zdjęcia pustej ulicy.

Na potwierdzenie swych słów zaprezentował odbitkę. Przedstawiała długi parterowy dom, w którym mieścił się szpital. Zdjęcie zrobiono z oddalenia. Widać więc było nie tylko dom, ale też ogrodzenie i chodnik, i duży fragment ulicy, zupełnie pustej, bez śladu człowieka. Ten ostatni fragment szczególnie przykuwał wzrok. Nietrudno było spostrzec, że pochodził z innego zdjęcia. Został naklejony niechlujnie, a ciągnące się pomiędzy ulicą i chodnikiem kwietniki, mieniły się dziesiątkami soczystych, jaskrawych barw. W styczniu nie mogły tak wyglądać. Jednak jednogłośnie uznano zdjęcie za niepodważalny dowód.

– Są również zeznania świadków zajścia, potwierdzające, że go nie było – uzupełnił swą prezentację komendant. – Zdjęcie oraz zeznania zostaną przekazane prasie. Na ich podstawie powstanie stosowny artykuł. Zaprzeczy ustnym relacjom uczestników zgromadzenia. Mowa będzie bezradna wobec pisma. – zakończył dobitnie. Naczelnik rozpogodził się. Spłacyli się, zawieszono na piersi komendanta medale. Fundując je, często ograniczał inne wydatki. Na przykład na szkoły albo utrzymanie szpitala. Zazwyczaj szukał oszczędności, tam gdzie szkodziły najmniej,

bo tak postępuje dobry gospodarz. Zadowolony z przebiegu narady, zdjął z widełek telefonu słuchawkę i wykręcił numer. Nie potrzebował nic mówić. Numer, który wykręcił, mówił sam za siebie.

Po kilku chwilach otworzyły się masywne, podwójne drzwi. Ubrany w smoking mężczyzna wprowadził nieduży, zaopatrzony w kółka stolik. Nie było na nim wiele. W zasadzie tylko magnetofon szpulowy i poza nim nic więcej. Mężczyzna ujął w obleczone w białe rękawiczki dłonie ciasno zwinięty kabel. Rozwijał go powoli, stąpając ceremonialnie ku gniazdku. Pochylił się, żeby wetknąć w nie, kończąc kabel wtyczkę. Wyprostował się i odwrócił. Nie mniej ceremonialnie powrócił do stolika i zastąpił w bezruchu. Czekał na znak. Naczelnik wstał.

Lubił ten moment. Zawsze do oczu napływały mu łzy. Wzruszał się swoją dobrocią i wspaniałomyślnością. Gdyby było więcej takich ludzi jak on, świat nie miałby żadnych wad. Nic dziwnego, że wszyscy go bezgranicznie kochali. Czuł się jak dobry ojciec i w pewnym sensie nim był. Troskliwym i łaskawym. Uniósł powoli prawą rękę, przytrzymał ją chwilę w górze i nagle gwałtownie opuścił. Mężczyzna w smokingu przekręcił pokrętkę. Wybuchnęły nagrane na taśmę brawa. W ten sposób naczelnik dziękował swoim podwładnym za wspaniałe wykonaną pracę. Za to, że ocalili prawdę. Tę, którą szczerze kochał, do której się bardzo przywiązał. O spokojnym Miasteczku, w którym nic się nie dzieje. Panuje zawsze spokój i wszyscy są bardzo szczęśliwi, nawet jeśli to szczęście drugiej kategorii. Potrzebował koniecznie ją ocalić. Bez niej nie wyobrażał sobie życia. Aplauz nie cichnął. Gdy przebrzmiewały jedne, zjawiały się kolejne oklaski. Głośniejsze, bardziej szaleńcze, wręcz histeryczne. Urzędnicy upajali się szczęściem. Czuli się jak kochane dzieci i że na pewno trafią na pomniki. Być może jeszcze przed śmiercią. Rozemocjonowani zerwali się z krzeseł. Dziękowali naczelnikowi i gratulowali sobie nawzajem. Po uściskach rąk wpadali sobie w objęcia. Nie zabrakło mocnych, męskich pocałunków. Słów uznania. Wyznań wykraczających poza służbowy obowiązek. W powietrzu zawisnął romans. Choć dojrzały, młodzieńczo namiętny. Gdy skończyła się taśma, byli wyczerpani. Jednak uratowali prawdę. Przynajmniej na jakiś czas, a na pewno do jutra.

Znikoma trwałość ich prawdy nie wynikała z zaniedbania. Swoją pracę wykonali wspaniale, z troską o każdy szczegół. W końcu należeli do najlepszych w swoim fachu. Potwierdzały to ich stanowiska oraz tytuły. Nic nie mogło pójść źle. Z tą myślą rozeszli się do domów.

Nazajutrz obudził się Franek. Niewiele pamiętał z poprzedniego dnia, większość mu w zasadzie umknęła. Nie miał pojęcia, że wychodził z domu, ani dlaczego spał w ubraniu. W pewnym sensie doświadczył amnezji absolutnej. Uznał więc, że poprzedni dzień nie wydarzył się wcale, a przynajmniej nie dostatecznie, żeby uznać go za przeżyty. Postanowił przeżyć go od nowa. Najlepiej w ten sam sposób, żeby nie było nieścisłości w ostatecznym obliczeniu życia, bo jak wytłumaczyć się z brakującego dnia na sądzie ostatecznym. Nie da się też tu wrócić i dołożyć go do rachunku. Franek niewiele znał się na teologii, ale instynktownie to czuł. Jednak plan ponownego przeżycia ubiegłego dnia nie należał do najłatwiejszych. Nie pamiętał go przecież w ogóle. Nie pamiętał też, że w nocy była u niego kelnerka. Usiadła na nim okrakiem i pytała o jakiś przedmiot. Zawinięty w gruby, szary papier. Wierzyła, że pijany wyśpiewa jej wszystko, ale i mówienie sprawiało mu trudność. Coś tam tylko do siebie bełkotał. Kelnerce nie udało się tego ułożyć w żaden sens. Przeszukała więc dom oraz podwórek. Zajrzała do studni i w miejsca intymne Franka. Gdyby przyszło jej do głowy powąchać jego dłonie, mogłaby wpaść na trop, ale mogłaby też zwymiotować. Niestety, nie miała talentu do niuansów. Nawet oczywiste potrafiło jej umknąć. Za to Franek rozpoczął dzień od wachania. Niepokoił go smród. Bardzo dbał o czystość. Ubranie miał zawsze przewietrzone i co tydzień prane. Dom sprzątał starannie. Z czystości słynął na całej ulicy, jednak tamtego poranka dokuczala mu bardzo dotkliwa woń. Żywcem wyjęta z ustępu. Pomyślał nawet, że umarł i się rozkłada, ale poczuł też głód, który stanowczo temu zaprzeczał. Trafnie zaczął wachanie od rąk. Nie z przenikliwości, lecz z fizjologii. Do nóg nie potrafił dostać i zostawił je sobie na potem. Odór rąk dźwignął go i wypędził na podwórkę, gdzie zwymiotował na zmarzniętą ziemię. Na rozmarzłej rozjechałby się w poślizgu. Nie wiadomo jak i w jakiej płaszczyźnie, więc przymrozek ewiden-

tnie ocalił mu życie, a smród rąk mógł oznaczać tylko jedno. Ukrył coś, jak zawsze ukrywano w jego rodzinie. W najbardziej bezpiecznym miejscu – w wychodku. Musiało być zatem cenne. Należało koniecznie wygrzebać tak troskliwie zabezpieczony depozyt. Najlepiej przed myciem rąk, żeby nie robić tego dwa razy. Czynność wykonał, mdlejąc. Potem odpakował paczuszkę i wbrew sobie polizał lusterko. Wywołany tym wstrząs gwałtownie przywrócił mu pamięć. Przypomniawszy sobie, że jest sprawa, na którą tylko doktor może zaradzić. Mógł więc przystąpić do przeżywania ubiegłego dnia na nowo bez przeszkód. Uważając, żeby nie spojrzeć w dół, opłukał lusterko. Od nowa zapakował je w papier i ubrał się. Do połowy po ludzku, a dalej już po swojemu. Wziął napełnioną piersiówkę i udał się do lokalu. Tym razem kieliszki podał mu kierownik. Jak wyjaśnił, kelnerka nie zjawiała się w pracy. Często tak się zdarzało i nic nie mógł z tym zrobić. Franek wzruszył ramionami. Opróżnił kieliszki i ruszył do doktora. W międzyczasie przysiadł na ławkach, żeby uodpornić organizm od zarazków. Spotkanie z doktorem przebiegło jak poprzednio. Pacjenci zdemonstrowali trzecie drzwi i rozpalili ognisko. Szybko zebrali się gapię, których rozgoniły służby porządkowe. Po wszystkim doktor wsadził Franka na furę i dał chłopu banknot.

Franek przeżył na nowo ubiegły dzień zbytnie doskonale. Stworzył kopię perfekcyjnie naśladując oryginał. W związku z tym doktor znowu nie dowiedział się o istnieniu lusterka, Franek zasnął w ubraniu, a naczelnik był cieniem samego siebie. Zdawało mu się, że ma *déjà vu*, ale kalendarz temu zaprzeczał. Niewygodne rzeczy wydarzyły się po raz drugi. Dlatego zwołał drugą radę w gabinecie.

– Przecież funkcjonariusze wcale nie wyszli na ulicę – powtórzył swoją wersję komendant. Tym razem nie wydała się tak wspaniała jak poprzednio. Podał do wglądu znane wszystkim zdjęcie. Z rezygnacją zgodzono się, że stanowi niepodważalny dowód.

– Poza tym zeznania świadków potwierdzają, że zajścia nie było – uzupełnił łamiącym się głosem. Naczelnik westchnął. Bez przekonania wezwał magnetofon. Brawa zabrzmiały jakoś płasko. Urzędnicy mimo wszystko wpadali sobie w objęcia. Nie chcieli obrazić naczelnika. Nie za-

brakło więc mocnych, męskich pocałunków i słów uznania. W powietrzu zawisnął romans. Udawany i zupełnie nieszczerzy, ale namiętny. Gdy skończyła się taśma, siedzieli ośowiali. Tępo wpatrywali się w swoje dłonie. Czuli, że nie ocalili prawdy na długo. Raczej na krótko i na pewno tylko do jutra. Wątpili, czy przemogą Franka w tej walce.

– A może zamknąć Franka w areszcie? – propozycja była nieśmiała, a głos, który ją z siebie wydobył anonimowy i niepewny. Naczelnik skrzywił się. Chłubił się, że w Miasteczku areszt był pusty. Poświadczało to powszechną uczciwości mieszkańców, a więc dostatek, ponieważ przestępstwa biorą się z biedy. Umieszczenie Franka w areszcie zrujnowałoby ten wspaniały obraz. I na pewno wywołałoby zamieszki. Dużo większe niż kilku gapiów przed ogrodzeniem szpitala. Franka powszechnie lubiano i szanowano. Był również cennym fachowcem. Miasteczko potrzebowało go na wolności.

Naczelnik pożałował, że Miasteczko nie jest sto razy większe. Wtedy byłoby łatwo usunąć Franka zupełnie. Nikogo by nie obeszło, gdyby pewnego dnia zniknął, a jego umiejętności dałoby się łatwo zastąpić kimś innym.

Z zadumy wyrwało go chrząknięcie.

– A jakby posłać do Franka doktora? Franek musi mieć jakąś sprawę, że tak do niego lezie. Jak odwiedzi go doktor, to Franek nie wyjdzie z chałupy i nie będzie w szpitalu awantury – na środku gabinetu stała sprzątaczką. Nikt nie zauważył, kiedy weszła. Opierała się o szcztokę na długim kij. Gdy skończyła mówić, wyjęła z kieszeni fartucha kanapkę z mortadellą i odgryzła kawałek. Naczelnik rozłożył się i wysłał ją do stu diabłów. Niech lepiej bierze się za sprząatanie, a nie miesza do ważnych spraw. Od tego są mężczyźni. Wygonił ją precz, a potem ustalili, tak jak powiedziała. Rano doktor miał odwiedzić Franka w chałupie. Naczelnik ponownie wezwał magnetofon. Brawa zabrzmiały wspaniale. Znowu były pocałunki i gorące uściski. Romans wisiał w powietrzu, a prawda o spokojnym Miasteczku została ocalona na zawsze.

Andrzej Bałys

Wiesław Krajewski

Podwójna moralność



Interesuje mnie zagadnienie pewnej niejednoznaczności w ocenie ludzkiego postępowania. Z reguły niby jest tak, że potrafimy odróżnić prawdę od fałszu, czyn prawy od nagannego, uczciwość od przestępstwa, bandytę od policjanta, grzech od świętości, złodzieja od stróża prawa, oprawcę od ofiary, winę od niewinności, dobroczyńcę od złoczyńcy. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. I nie chodzi mi tu wcale o sytuacje trudne do zinterpretowania, wymykające się typowym osądom, działania na zasadzie siły wyższej, mniejszego zła itp. Nie chodzi też o okoliczności skłaniające do zachowań sprowadzających się do wystąpienia tzw. syndromu sztokholmskiego. Polega on na tym, że ktoś, kto stał się ofiarą przemocy, wykazuje się sympatią do swego oprawcy, usprawiedliwia go, broni i nawet pomaga mu i nie chce, aby poniósł karę za swoje czyny. Nie o to mi chodzi. Chcę zwrócić uwagę na zachowania wykazujące sympatię do przestępcy nawet wtedy, kiedy nie jesteśmy jego bezpośrednią ofiarą. Słucham? To niemożliwe? A jednak! Służę przykładami.

Według średniowiecznych podań, w lesie Sherwood, rozciągającym się wzdłuż północnego brzegu rzeki Trent, nieopodal Nottingham, grasował wraz ze swoją drużyną Robin Hood. Postać można by rzec kultowa, bohater licznych ballad, powiastek, poematów. Echa jego wyczynów trwają do dziś. Obecnie już nie ballady i pieśni a filmy, także rysunkowe dla dzieci, i seriale wychwalają jego imię i dokonania. Był wspaniałym łucznikiem, człowiekiem o niebagatelnej odwadze i – jak to jest przedstawiane – wzniosłych cechach charakteru. Sławiony jest też jego rycerski stosunek do kobiet. Tak naprawdę wątpić należy, czy jest on autentyczną postacią historyczną, ale ta kwestia jest zupełnie nieistotna. Przeszedł on do legend jako „szlachetny zbójca”. W ogóle nie pojmuję, jak rozumieć to dziwaczne określenie. To, że okradał bogatych i dawał biednym (przynajmniej tak mówią legendy) nie zmienia faktu, że był rabusem, rozbójnikiem a najpewniej też zabójcą. Kradzież jest kradzieżą

nawet, jeśli okrada się bogatych. Robin Hood działał oczywiście w określonych czasach, w okresie wygórowanych podatków i ucisku, bezwzględnych i bardzo uciążliwych zobowiązań nałożonych przez króla na poddanych. Czynny sprzeciw wyrażający powszechne niezadowolenie z tego stanu rzeczy był konieczny. I tu działalność Robina z Locksley odnajdywała usprawiedliwienie i podatny grunt do szerzenia jego szlachetnych intencji. Stał się on mścicielem chłopskich krzywd. Mam jednak spore wątpliwości dotyczące altruistycznych pobudek tej działalności. Wcale nie jestem pewien, czy bardziej zależało mu na rozdawnictwie łupów biednym, czy też na samej działalności rozbójniczej i uczynieniu jej sposobem na życie. I czy to akurat on i w taki sposób, na własną rękę i według własnego uznania powinien wymierzać sprawiedliwość społeczną? Będę ostrożny i subtelny w osądach – nie wydaje mi się, żeby podania o szlachetności i bezinteresowności, jak i dobroczynności Robin Hooda były prawdziwe.



Kevin Costner jako Robin Hood w filmie „Robin Hood: Książę złodziei” (USA, 1991).

W tym miejscu nie sposób nie przypomnieć o Janosiku. Nasz, a właściwie słowacki bohater narodowy Jerzy Janosik, wł. Jura Janošik, był chłopem z Dolnej Orawy, żyjącym w latach 1688–1713. Został przywódcą ok. 30-osobowej bandy zbójckiej działającej głównie na terenie Słowacji. Dokonał z nią kilkunastu napadów rabunkowych. Nie działał długo, bo został ujęty już w wieku 25 lat i po wyroku sądu stracono go przez powieszenie na haku za „pośrednie zbrodnie”. Mimo krótkiej działalności, Janosik stał się bohaterem legend i pieśni ludowych, a jego wyidealizowany wizerunek przetrwał do dziś. Pisali o nim i Tetmajer, i Pol, Witkiewicz i Kasproicz, Żeromski i Orkan. Cykl drzeworytów o nim stworzył Władysław Skoczy-

las. Jednym z najpopularniejszych polskich seriali telewizyjnych jest właśnie „Janosik” w reż. Jerzego Passendorfera z Markiem Perepeczką w roli tytułowej. Nakręcony w konwencji przygodowej z elementami humoru. Nie przedstawia on jednak tego prawdziwego, legendarnego Janosika (który nie działał na Podhalu), a jedynie harnasia nazywanego jego imieniem. Podobnie jak Robin Hood, walczył przeciwko wyzyskowi i niesprawiedliwym stosunkom społecznym. Zabierał bogatej szlachcie i kupcom, a rozdawał ubogim chłopom. Nigdy nie podniósł ręki na bezbronnego i niewinnego, kobietę i dziecko. Troszczył się o sieroty i wdowy. Jeśli zabijał, nie robił tego dla przyjemności, kładł trupem tylko zbrojnych i ludzi o nieczystym sumieniu. Legendy i podania wynosiły go do rangi niepokonanego herosa. Za sprawą magicznych przedmiotów, miał niemal nieograniczone możliwości – cudowna koszula zapewniała odporność na zranienia, czarodziejski pas – nadludzką siłę, a magiczna ciupaga pozwalała pokonać całe zastępy wrogów. Co najmniej wątpliwe jest jednak, czy w działalności Janosika dominowała świadomość nierówności klasowej i chęć niesienia pomocy uciskanym, czy raczej wzięła górę jego buntownicza góralska natura. Jak by nie było, fakt jest faktem, że Janosik był rabusiem, zbójnikiem i zwykłym przestępcą. Jego banda napadała na handlarzy, kupców, rabowała też gospodarstwa chłopskie, pasterskie szałas i plebanie. Zrabowanej biżuterii i kosztowności Janosik bynajmniej nie rozdawał ciemieżonym chłopom. Czy wobec tego powinien być przedstawiany jako bohater?



Marek Perepeczko w serialu „Janosik”
(reż. J. Passendorfer, 1973).

Śląskim odpowiednikiem Janosika był Ondraszek – Andrzej Szebesta. Obaj działali mniej więcej w tym samym czasie. Ten syn bogatego wójta w Janowicach koło Frydka na Zaozlu był przywódcą bandy grasującej na Śląsku Cieszyńskim, który, jak mówią przekazy, zagrabione łupy rozdawał biedocie. Był ideałem harnasia – obrońcą i opiekunem uciemieżonych, mścicielem ludzkich krzywd. A więc ten sam schemat działalności. Zginął zabity przez swego towarzysza, takiego samego bandytę Jurasza. Najpewniej i on sam niejedno życie miał na sumieniu. Ponoć jego pistolety zawsze trafiały celu. Ondraszek stał się bohaterem licznych legend i opowieści ludowych. Z czasem jego postać uległa wyidealizowaniu, powieść o nim napisali sam Gustaw Morcinek i Zofia Kosak-Szczucka. Stał się – ale już po śmierci – szlachetnym i niezłomnym rycerzem, prawdziwym królem zachodnich Beskidów. Przypisywano mu niezwykłą siłę, magiczną moc, nadnaturalne zdolności. Ale czy można gloryfikować złodzieja, zbira i bandziora?

W ogóle w wiekach XVII-XIX zbójnictwo na terenach Karpat było mocno rozpowszechnione. Grasowało tam dziesiątki różnych band. Dokumenty historyczne mówią o ich brutalności i bezwzględny traktowaniu ofiar. Ich aktywność polegała na rabunkach, napadach, gwałtach i mordach. Wszelkie zasady uczciwego życia i sprawiedliwości społecznej, szlachetności i rycerskości były im obce. Łakomi posiadania cudzego dobra, bezwzględnie ten głód zaspokajali. I nawet nie myśleli o rozdawaniu swoich łupów komukolwiek. I z tego uczynili swoją filozofię życia. Byli postrachem dla podróżnych, kupców, mieszkańców wiosek. Na huculczyźnie działał Oleksy Dobosz – torturował, gwałcił, mordował; w Beskidach grasował Józef Baczyński; w Beskidzie Żywieckim Sebastian Bury – skazany potem na śmierć przez powieszenie na haku za żebro, a jego kompani zostali poćwiartowani; tamże siał postrach Martyn Portasz stracony w Żywcu; do bardziej znanych należeli też Mateusz Klimczok, Wojtek i Jasiek Klimczokowie, Jerzy Fiodor zwany Proćpakiem i wielu jeszcze innych. Wszyscy za swe nieczne czyny skończyli marnie. Z czasem wytworzył się kult zbójnictwa, przypisywano im najszlachetniejsze pobudki. O wszystkich podania mówią, że byli

obrońcami chłopów, „grabili bogatych, rozdawali biednym”, kierowali się poczuciem sprawiedliwości społecznej i honorem. Bzdura. A najsłynniejsi Janosik i Ondraszek byli tylko jednymi z wielu podobnych, wyjętych spod prawa opryszków. I choć legendy mówią inaczej, nie należy wierzyć, że byli oni wyjątkami – byli takimi samymi bandytami jak inni. Taka jest brutalna prawda.



Władysław Skoczylas, „Ondraszek”, 1926 (źródło: <https://polona.pl/item-view/af2b836c-591e-4084-b002-289db99b2093?page=0>).

O Janosiku powstał nawet serial animowany dla dzieci emitowany w TVP ABC. I nie jest to jedyny serial rysunkowy, którego bohaterem stała się osoba o – delikatnie mówiąc – co najmniej dwuznacznej moralności. W latach 70. ub. wieku dużą popularnością cieszył się czechosłowacki serial o rozbójniku Rumcajsie. Film opowiada o przygodach brodatego rozbójnika, szewca z zawodu, żyjącego w rzaholeckim lesie razem z żoną Hanką i synem Cypiskiem. Chyba niedaleko pada jabłko od jabłoni, bo później nakręcono dalszą część pt. „Cypisek – syn rozbójnika Rumcajsa”. Rumcajs, jak to rozbójnik, znał swój fach i postępował jak

na niego przystało. Nie rozstawał się z pistoletem, a fabuła poszczególnych odcinków toczyła się wokół konfliktu z księciem panem zamieszkującym w zamku w Jiczynie. Choć pistolet Rumcajsa niejedną raz wypalił, to jednak nikogo nie zabił, on sam był człowiekiem sympatycznym, ale niech ten obraz nas nie zwodzi – jednak był rozbójnikiem działającym wbrew prawu i ściganym przez to prawo. Czy wobec tego jest on człowiekiem właściwym jako bohater opowiadań dla dzieci?



Rumcajs z serialu „Rozbójnik Rumcajs” (reż. Ladislav Čapek, 1967).

Przenieśmy się w inne czasy, inne okolice. Francja, *Belle Époque* i później. Wymyślony przez pisarza Maurice'a Leblanca bohater jego powieści Arsène Lupin – dżentelmen-włamywacz. Tak przynajmniej nazywany. Ale czy dżentelmen może być włamywaczem i złodziejem? Czy włamywacz i złodziej może być dżentelmenem? Może i może – jak nie kradnie. Bo jedno z drugim się chyba wyklucza. I co z tego, że wykazywał niezwykłą bystrość umysłu, że był ponadprzeciętnie inteligentny, elokwentny, uwodzicielski i wręcz szarmancki wobec kobiet, których towarzystwo uwielbiał? Co z tego, że był czarujący, uprzejmy, elegancki, kulturalny, znał zasady *savoir-vivre'u*, odznaczał się ogładą w towarzystwie, wyszukаныmi manierami, wzbudzał sympatię otoczenia, wykazywał cechy rasowego dżentelmena? Co z tego, że okradał złoczyńców. wymierzając im tym sprawiedliwość? Na jakiej podstawie? Kto go do tego upoważnił? Przecież on sam prawo miał za nic. Działal poza prawem, a może ponad prawem.

To wszystko nieważne. Arsène Lupin był złodziejem i tyle! Żył z kradzieży, ale i kradł dla przyjemności. Złodziejstwo wpisywało się w jego osobowość. Taki miał sposób na życie. Pokonywanie trudnych wyzwań i realizacja misternych przestępczych planów sprawiały mu przyjemność. Złodziejski fach najwyczejniej go bawił. Jego łupem padały tylko najcenniejsze przedmioty, biżuteria i dzieła sztuki. Prowadził też swoistą zabawę ze stróżami prawa, wykorzystując sztukę kamuflażu i charakteryzacji, wyprowadzając ich w pole i wyśmiewając umiejętności. Fakt, że robił to z wdziękiem chyba nie przemawia na jego korzyść? Kultura osobista raczej nie będzie dla niego usprawiedliwieniem? Nienaganne maniery nie zostaną uznane jako okoliczności łagodzące? To, że nie był mordercą chyba go nie rozgrzesza?



Georges Descrières w popularnym serialu telewizyjnym „Arsène Lupin” (1971-1974).

Rozbójnicy, mordercy, gwałciciele i złodzieje, a może filantropi, dobroczyńcy i stróże prawa? Kim byli opisywani przeze mnie osobnicy? Ja nie mam wątpliwości. Dlaczego wierzymy w romantyczne, ale nieprawdziwe legendy, patrzymy z zachwytem na tych, których powinniśmy potępiać? Co sprawia, że opryskom przypisujemy szlachetne intencje, bezkrytycznie przyjmujemy wizerunki, które narzuca nam kultura masowa? Dlaczego stosujemy podwójną moralność tam, gdzie żadnych dylematów być nie powinno? Odpowiedź jest prosta – nie wiem.

Wiesław Krajewski

Postowie

Stare, wyidealizowane historie i legendy nasuwają myśl, czy to tylko przeszłość? Zauważmy, jak łatwo jest manipulować ludźmi i ich poglądami, jak łatwo jest wmówić ludziom, że biały kot jest czarny, jak łatwo można zrobić z przestępcy uczciwego obywatela, ale też odwrotnie – jak łatwo jest zniszczyć szlachetnego człowieka... Jakże często z ofiary robi się winnego, z ciemniźcyli – wyzwolicieli, z wrogów – przyjaciół, bezpardonowo atakuje się ludzi szlachetnych, a wybiela dokonania bandytów, wybitnych bohaterów narodowych bezwzględnie strąca się z należącego im panteonu, z ludzi niezłomnych robi się wyklętą zgrają wichrycyli, a osoby prawe, wręcz święte są bez skrupułów oczerniane...

I to się dzieje teraz, nie przed wiekami. Historia jest nagminnie zakłamywana nie tylko w stosunku do osób, ale i wydarzeń.



Pomnik poświęcony pamięci Robin Hooda na zamku Nottingham (fot. Wikipedia).

Teresa Chomik-Kazarian

Obrazy nie istniałyby bez naszego spojrzenia i wrażliwości

Nic nie jest w stanie równie szybko i sugestywnie oddziaływać na nasze emocje, decyzje i przekazywać tak wiele informacji, jak obraz.

Na dzisiejszej wystawie prac bardzo wrażliwej malarki Honoraty Lipińskiej znajdziemy wiele pięknych i „najpiękniejszych” cykli opowiadających o wrażeniach, jakie towarzyszyły autorce w chwili tworzenia.

Zaczynała z tęsknoty do malowania tego, co czuła, ale brakowało jej warsztatu, więc dołączyła do istniejącej od osiemnastu lat grupy „Tęcza” z Rejowca Fabrycznego. Zaczynała jak inne koleżanki – od podstaw, czyli rysunku. Po wstępnych pracach szybko podjęła decyzję, że będzie rysowała, ale kolorem. Była to decyzja bardzo odważna, ponieważ pastel to najtrudniejsza technika malarska. Przypomnę tu słowa wybitnego artysty, który powiedział: „poznaję i uczę się pastel od 20 lat i w dalszym ciągu ich nie rozumiem”. Honorata z pastelami suchymi dogadała się bardzo szybko, o czym świadczy dzisiejsza kolejna jej wystawa indywidualna. Początkowo było to przedstawianie martwej natury. Aktualnie maluje ona cyklami, które wiążą z kolorem, np. zielone, niebieskie, niosącymi jakieś treści. Jej malarstwo daje odbiorcy ogromny ładunek emocjonalny i możliwość interpretacji. Tematycznie są zbliżone do abstrakcji lub są abstrakcją. Widz może odczytać w nich przekaz, jaki czuje i widzi, ponieważ malarstwo abstrakcyjne, poza geometrią, ma w sobie treść dowolną do interpretacji.

Podziwiamy więc obrazy autorki dzisiejszej wystawy i odgadujemy to, co ona nam przekazała w tych barwach, plamach, kreskach i cieniach oraz ukrytych treściach z bijącym od nich światłem. Zapamiętajmy to światło i wyjątkowy, wysublimowany kolor prac Honoraty, ponieważ to druga jej wystawa indywidualna, a będą kolejne, czego artystce życzę.

Teresa Chomik-Kazarian



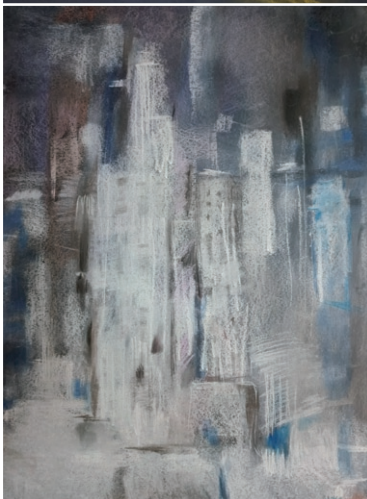
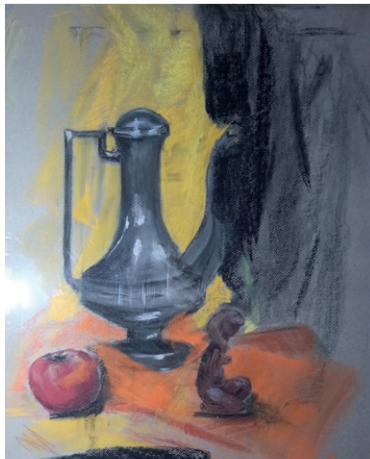
Honorata Lipińska – malowanie obrazów sprawia jej niezwykłą radość, samorealizację, odkrywanie nowych możliwości oraz celów. Pogłębianie tej pasji pozwala spojrzeć z innej perspektywy na wiele innych aspektów. Technika, którą stosuje to sucha pastel. Przedstawia martwą naturę, pejzaże i ostatnio abstrakcję.

Do grupy malarskiej „Tęcza” w Rejowcu Fabrycznym dołączyła w 2016 roku, gdzie pod kierunkiem Teresy Chomik-Kazarian szlifuje swój warsztat malarski do chwili obecnej. W ramach działalności grupy „Tęcza” uczestniczyła w wielu wspólnych wystawach malarskich, m.in. w Miejskim Ośrodku Kultury „Dworek” w Rejowcu Fabrycznym w 2023 i 2025 roku, w Chełmskiej Bibliotece Publicznej im. Marii Pauliny Orsetti w 2023 roku, w Galerii Atelier w Chełmie w 2024 roku.

Uczestniczyła w wystawach malarskich w Hrubieszowskim Domu Kultury w ramach „Jesieni plastycznej” w 2021, 2022 oraz 2023 roku. Tutaj, w konkursie „Najciekawsza praca roku 2021” została wyróżniona nagrodą rzeczową przez Hrubieszowski Dom Kultury za technikę, subtelność i estetykę w zestawie 3 prac „Martwa natura”. W styczniu 2025 roku w Gminnym Ośrodku Kultury i Rekreacji w Siedliszczu miała indywidualną wystawę obrazów pn. „Na przestrzeni lat”.



Honorata Lipińska – malowanie obrazów sprawia mi niezwykłą radość, samorealizację, odkrywanie nowych możliwości oraz celów. Poglębianie tej pasji pozwala mi spojrzeć z innej perspektywy na wiele innych aspektów. Technika, którą stosuję to sucha pastel. Przedstawiam martwą naturę, pejzaże i ostatnio abstrakcję. Uczestniczyłam w wystawach malarskich w Hrubieszowskim Domu Kultury w ramach „Jesieni plastycznej” w 2021, 2022 oraz 2023 roku. Tutaj w konkursie „Najciekawsza praca 2021 roku” zostałam wyróżniona nagrodą rzeczową przez Hrubieszowski Dom Kultury za technikę, subtelność i estetykę w zestawie 3 prac „Martwa natura”. W styczniu 2025 roku w Gminnym Ośrodku Kultury i Rekreacji w Siedliszcu miałam indywidualną wystawę obrazów pn. „Na przestrzeni lat”.





mal. Honorata Lipińska